

Ewa Partum:
Mój problem
jest problemem
kobiety



► 25

**50 lat młodszego
Kliczki**
Król życia słyszy
shahedy



► 30

WYSOKIE OBCASY

**Zuzanna
Stańska**
Superbohaterka
2025 roku



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Strażnicy rewolucji

Najniebezpieczniejsi i najbogatsi w Iranie

► 10

FOT. ATTA KENARE/AFP

WYBORCZA

Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



TVN + USA = ???
Czy Amerykanie
zrobią drugą
Republikę ► 4

Kłopot premiera
Kto pójdzie
do Kanalu Zero
► 7

Gra „Madziara”
Ukraińskie drony
mają nowy cel
► 20

**Sekrety
sardynek**
Pływająca recepta
na wszystko ► 36

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Sobota – czwartek, 21-26 marca 2026 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 67.11166, 1

Nakład 72 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

Tusk nie odrobił tylko jednej lekcji. Ale za to jakiej

Wystarczy, że mamy rację

SAFE to kolejna kampania koncertowo zawalona przez zaplecze KO

Kublik



W sprawie SAFE rząd zachował się niebezpiecznie. Żarcik słowny uzasadniony, bo będzie mowa o komunikacji, marketingu i piarze.

To kolejna kampania koncertowo zawalona przez ludzi PO. Widać te same koszmarnie błędy, które, popełniane od 2014 r., dały prawicy osiem lat na demon-taż instytucji i rozkradanie państwa.

Opracowanie strategii na wybory prezydenckie w 2015 r. – nie takie w gronie paru współpracujących polityków i prezydenckich urzędników, ale wspólnie z ekspertami, którzy mają doświadczenie, jak się wygrywa – było odkładane od jesieni 2014. Bo najpierw Wszystkich Świętych, potem Mikołajki, Boże Narodzenie, Sylwester Nowy Rok, Trzech Króli, Wielkanoc.... To nie hiperbola, to fakty.

Taki detal: wiosną 2015 r. jeden z doradców Komorowskiego sprowadził z Francji fotografa specjalizującego się w portretach politycznych. Sztab uznał, że prezydent nie znajdzie dla niego czasu. No ale i sondaże, i słuszność są po naszej stronie, wygraną mamy w kieszeni.

Porażka Komorowskiego niczego ludzi w PO nie nauczyła. Chwilę potem przegrali, tkwiąc w tych samych błędach, kampanię parlamentarną. Władza wykonawcza, ustawodawcza, sądownicza i media trafiły w ręce PiS.

PO przegrywała z wyborów na wybory, bo za nic miała ekspertów od prowadzenia kampanii. Machała ręką na ludzi, którzy proponowali za darmo armię wolontariuszy gotowych chodzić z ulotkami, zagadywać, rozmawiać tam, gdzie wyborcy są do Platformy nieprzekonani albo wręcz „plafusom” wrodzy.

Specjaliści różnych dziedzin, od nauk społecznych po marketing, byli gotowi pomóc PO skutecznie się komuniko-

wać z wyborcami, zbierać podpisy, rozmawiać z ludźmi w domach, na ulicy, roznosić ulotki, rozwieszać plakaty. Marketingowcy, graficy, nawet inżynierowie i informatycy, którzy przygotowali aplikację pokazującą, do jakich miejsc docierać, jakimi trasami, gdzie jest największa szansa na wyborczą mobilizację. Oni byli w stanie to określić z dokładnością co do ulic! Wreszcie socjologowie i politolodzy proponowali pomoc w przygotowaniu badań, sformułowaniu pytań i ich przeanalizowaniu. Nikt nie chciał ich pomocy. W PO uważali, że wiedzą lepiej, w końcu mają za sobą tyle kampanii i zawodowo zajmują się polityką.

To samo było w roku 2019 w wyborach do Sejmu i Senatu oraz w europarlamentarnych, i 2018 w samorządowych, i w 2020 w prezydenckich.

Udało się raz, w październiku 2023 roku. Dzięki wspólnemu frontowi opozycji, charyzmie i energii powracającego Tuska, coraz liczniej wypływającym aferom i zwyktemu zmęczeniu ludzi długimi rządami jednej ekipy, wypełnionymi wpadkami na tyłu polach, że praktycznie każdy obywatel, którego można było czymś oburzyć lub skrzywdzić, został obsłużony. Ale też dzięki temu, że KO zrobiła to, co w każdej kampanii robił PiS – sięgnęła po ekspertów, posłuchała doradców – specjalistów, a nie tylko kolegów, skorzystała z fachowej wiedzy socjologicznej, narzędzi Big Data i statystyki. Oraz z usług piarowców, marketingowców, fachowców od komunikacji w internecie.

Udało się, więc uznano – mimo błędęgo wyniku w wyborach samorządowych raptem kilka miesięcy później, co powinno być dzwonkiem ostrzegawczym – że start Rafała Trzaskowskiego na prezydenta to już tylko formalność, naturalny ciąg dalszy – i poszło po staremu. Kandydat był ewidentnie lepszy od Karola Nawrockiego, ale kampania była znacznie gorsza. W sztabie PiS podejście „my sami wiemy, co i jak”, było zakazane. Sztabowcy korzystali z doświadczeń i ludzi zwycięskich amerykańskich kampanii.

A teraz rząd Tuska pokpił sprawę z SAFE. Widać to w badaniach CBOS. Pod koniec lutego za unijnym projektem zbrojeniowym opowiadało się 52 proc. badanych, 35 było przeciwko. Alarmujący wynik, bo przecież sam pomysł budowy europejskiego systemu bezpieczeństwa w trakcie wojny za naszą granicą powinna wspierać przytłaczająca większość. A jeszcze idą za tym korzyści dla przemysłu, nie tylko zbrojeniowego. Rozwój gospodarczy, technologiczny, miejsca pracy. Dlaczego zatem tylko 52 proc. było „za”?

Bo PiS koncertowo rozegrał kampanię postpowonania tego programu. Wykorzystał te lęki, którymi od lat umiejętnie rozgrywa demokratów. To strach przed spiskiem „obcych”, znową brukselsko-berlińską przeciwko Polsce. PiS wmontował teraz strach przed SAFE i uzależnieniem Polski w starą bajeczkę o pronie-mieckim Tusku.

Starą, bo przyklejoną liderowi PO już w 2005 r., w pierwszych latach politycznych startupów Tuska i braci Kaczyńskich – i to przez PiS. Wtedy to Jacek Kurski pracujący na rzecz Lecha Kaczyńskiego, kandydata na prezydenta, rozpuścił przed pierwszą turą informację, że dzia-

dek Tuska służył w Wehrmachcie i zgłosił się tam na ochotnika.

To było kłamstwo. Dziadka Tuska do Wehrmachtu wcielono siłą w drugiej połowie 1944 r., służył dwa miesiące, zdezerterował i w listopadzie 1944 wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Lech Kaczyński swojego spin-doktora usprawiedliwił: – Pan Kurski powiedział jedynie, że chodzą tylko takie pogłoski, i był od tego prowokowany przez dziennikarza. Może i jest sk...yn, ale wolę go mieć po swojej stronie.

Wybory wygrał.

Dziwne, że Tusk – który przecież od 2005 r. stał się jednym z najbieglejszych politycznych graczy, świetnych i w zakulisowych rozgrywkach, i w dalekosieżnym planowaniu, i w czytaniu nastrojów społecznych, i w indywidualnej komunikacji z wyborcami, umiejętnie wykorzystującym populistyczne chwytły i emocje – od tamtego czasu jeszcze nie nauczył, że po stronie jego rywali zawsze znajdzie się jakiś „sk...yn”. Dlatego trzeba być na to zawsze przygotowanym.

Rząd nie był przygotowany.

Nie umiał odeprzeć ataków

PiS i pokazać – mając dostęp

do telewizji, fundusze

i możliwości prowadzenia

kampanii społecznych oraz

młodych specjalistów od TikToka

i Instagrama – że w SAFE chodzi

właśnie o suwerenność

Ale teraz jego rząd nie był przygotowany. Nie umiał pokazać – mając dostęp do telewizji, fundusze i możliwości prowadzenia kampanii społecznych oraz młodych specjalistów od TikToka i Instagrama – że w SAFE chodzi właśnie o suwerenność. O niezależnienie się od aroganckiego, nieprzewidywalnego i interesownego sojusznika zza oceanu – i o zajęcie należnej nam równorzędnej pozycji między Niemcami i Francuzami.

A PiS znakomicie wykorzystał czas przed uchwaleniem SAFE, by nagać takie bzdury, ile się da i wszędzie, gdzie się da. Cytaty z samego tylko Kaczyńskiego: „Nikt, kto chce silnej i suwerennej armii, nie powinien popierać funduszu SAFE”; „Program SAFE, z którego mamy otrzymać kilkadziesiąt miliardów euro w postaci nisko oprocentowanych pożyczek, to niemiecki spisek wymierzony przede wszystkim w Polskę”; „SAFE to element szerszego planu politycznego, mającego na celu zjednoczenie Europy pod niemieckim przywództwem”. Absurdalne? Ale proste i łatwo się utrwalające.

W żadnym innym europejskim kraju rozmowy o SAFE nie były tak niemądre – i pozostawione bez mądrej reakcji rządu. Wyniki CBOS to żelazny dowód.

Oto bowiem w kolejnym sondażu CBOS, z 11 marca, za SAFE opowiedziało się 43 proc. przeciwko 39. Czyli przewaga zwolenników nad przeciwnikami

SAFE zmalala raptem w dwa tygodnie z 17 punktów procentowych do 4! Tempo prawie takie, jak erozji przewagi dla merytorycznego pewniaka Komorowskiego nad pozbawionym szans, mało znanym Andrzejem Dudą w 2015 r.

W dwa tygodnie PiS zrobił wiele, by Polakom obrzydzić SAFE, rząd w tym czasie zrobił niewiele, by Polaków przekonać do SAFE.

Prezydencki pomysł „SAFE zero procent” wzmocnił ataki na program – że zagrożą naszej suwerenności, bo na pokolenia uzależnią nas od wrogów – ale przede wszystkim był chwytliwym hasłem. I tylko Tusk stanął na wysokości zadania, wyręczył, znów, swoich ludzi, i odpowiedział nie jak gadająca głowa, a w podobnym stylu („SAFE zero złotych”).

Populistycznie, powiedzą niektórzy, wchodząc w manierę przeciwnika i w ten sposób utrwalając zepsucie debaty publicznej. Ale skoro dziś robienie polityki to gra na emocjach, wygrywa ten, kto przebiję się z trafnym skojarzeniem, to czy tak ważny cel, jak obronność i dobrobyt Polski nie uświęca środków?

A drugie badanie zostało przeprowadzone jeszcze przed prezydenckim wetem, które nie dość, że jeszcze bardziej nagłośliło wątpliwości wobec programu, to nadało im charakteru państwowego.

Majestat urzędu ma znaczenie dla wielu – bo z innego sondażu CBOS wiemy, że aż 63 proc. Polaków widzi, że współpraca pomiędzy prezydentem Nawrockim a premierem Tuskiem układa się źle. Oraz że 41 proc. w sprawie reprezentowania interesów państwa ufa bardziej Nawrockiemu niż Tuskowi. Jednocześnie – kolejne ostrzeżenie dla rządu – ponad połowa badanych (54 proc.) ocenia, że prezydent wetuje odpowiednio często i powinien robić to częściej.

Premier i Radosław Sikorski zareagowali na krytykę SAFE, a potem na weto, świętym oburzeniem. Tusk o Nawrockim: „Stracił szansę, aby zachować się jak patriota”, „Ludzie w Polsce zastanawiają się, czy jest to zdrada”. Sikorski: „Zdrada i zaprzęstwo”, „Albo podpis, albo hańba”.

Szkoda czasu. W boju na epitety i odwracanie sensu słów PiS jest niepokonany. Więc dlaczego parlamentarnym pracom nad SAFE nie towarzyszyła kampania informacyjna, co na nim zyskamy? Billboardy, ulotki, spotkania w regionach. Dyżury poselskie z ekspertami objaśniającymi wątpliwości podnoszone przez opozycję. Programy w radiu i telewizji – nie żadne tam gadające głowy, ale konkrety, na co i gdzie wydamy te pieniądze.

Mamy prawo do rzetelnej informacji i do oczekiwania, że władza doloży wszelkich starań, by ucieleśniały się projekty najlepsze dla Polski. Z SAFE rząd zawalił. Wygzeknujmy od naszych reprezentantów prawo do wyjaśnień.

Oraz obietnicę, że ktoś wreszcie wyciągnie wnioski na przyszłość. Wybory do Sejmu i Senatu – z Nawrockim w Pałacu Prezydenckim, nabierającym rozpędu PiS, przyczajoną Konfederacją Mentzena i Bosaka oraz Grzegorzem Braunem zdobywającym sympatyków już nie tylko w króliczych dziurach foliarzy, putinofilów i antysemitów, a więc kolejne „o wszystko” – już za kilkanaście miesięcy. ● **Agnieszka Kublik**

Andrzej rysuje



Podwodne towarzystwo Mój przyjaciel rekin

Naukowcy z Wielkiej Brytanii, Fidzi i Szwajcarii przez sześć lat badali 184 żarłaczce tępogłowe w różnym wieku przyplływające do znajdującego się w archipelagu Fidzi rekiniego rezerwatu morskiego. Naukowcy nadali imiona obserwowanym przez siebie rekinom. Dzięki identyfikacji mogli dokonać statystycznej kalkulacji czasu, jaki poszczególne osobniki spędzały w towarzystwie innych.

Okazało się, żarłaczce tępogłowe nie grupowały się chaotycznie. Wręcz przeciwnie – uparcie szukały towarzystwa tych samych osobników. – I tak jak ludzie niektórych unikały – opowiada Natasha Marosi, pierwsza autorka publikacji, etolożka (badaczka zachowań zwierząt) i doktorantka na Uniwersytecie w Exeter.

– Wbrew stereotypom rekiny mają bogate i złożone życie społeczne – dodaje prof. Darren Croft, współautor publikacji i ekolog behawioralny z tej samej placówki. – Dopiero zaczynamy rozumieć społeczne zachowania wielu gatunków rekinów – wyjaśnia uczony. – Podobnie jak inne zwierzęta czerpią one korzyści z bycia towarzy-



skimi. Pomaga im to w zdobywaniu pożywienia, partnerów i w unikaniu konfliktów.

Naukowcy wyróżniają kilka zasad rządzących przyjaźniami wśród żarłaczy tępogłowych. Dorosłe rekiny zwykle przyjaźnią się z osobnikami o podobnych rozmiarach, obie płcie wolą towarzystwo... samic, a samce, które u żarłaczy tępogłowych są mniejsze od samic, częściej zawiązują więzi z innymi rekini. Najbujniejsze życie społeczne toczy się wśród dorosłych, ale nie wiekowych żarłaczy. Młode i stare rekiny wiodą bardziej samotniczy tryb życia.

Wyniki badania opublikowano w „Animal Behaviour”. ●
Tomasz Ulanowski

FOT. GEORGE KARBUS PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES



Od 1 września 2026 r. w szkołach podstawowych wprowadzimy zakaz używania telefonów komórkowych na lekcjach

BARBARA NOWACKA
ministra edukacji

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl**

**Liczba
tygodnia**



1

BILION ZŁOTYCH
– tyle przez najbliższe 10 lat
ma zainwestować Polska
w energetykę, zapowiedział
premier Donald Tusk

REKLAMA

Kraj/34422759

Albatros travel

Najpiękniejsze zakątki Portugalii

Zobacz największe atrakcje Portugalii: urokliwą Lizbonę, stylowe miasteczko Cascais, historyczne Óbidos, sanktuarium w Fatimie oraz klifowe wybrzeże Atlantyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. Zakwaterowanie w hotelu 4* w Cascais. Dz. 2 Spacer do pobliskiego Estoril i zwiedzanie, czas wolny. Dz. 3 Zwiedzanie Sintry wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO oraz przylądka Cabo da Roca. Dz. 4 Całodzienna wycieczka do Lizbony. Dz. 5 Dzień do własnej dyspozycji. Dz. 6 Wyjazd do Fátimy. Klasztor Matki Boskiej Zwycięskiej w Batalha. Obiad w Nazaré. Zwiedzanie Óbidos. Dz. 7 Degustacja wina w Azetão. Wizyta w miejscowości Sesimbra. Park Narodowy Arrabida. Miasto portowe Setúbal. Dz. 8 Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 07/10 2026 | od 5.998,-



3 posiłki dziennie w Chinach kontynentalnych

Wielka podróż przez Chiny i Hongkong

Fantastyczna podróż szybkimi kolejami przez największe atrakcje Państwa Środka od Pekinu i Szanghaju po Hongkong i Makau.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przylot do Pekinu. Zwiedzanie Świątyni Nieba i kolacja powitalna. Dz. 3 Pekin. Plac Niebiańskiego Spokoju, Zakazane Miasto i Wzgórze Węgłowe. Dz. 4 Pekin. Sklep z perłami, Wielki Mur Chiński, Pałac Letni i kaczka po pekińsku. Dz. 5 Pekin – Szanghaj. Szybki pociąg do Szanghaju i rejs po rzece Huangpu. Dz. 6 Szanghaj. Budynek Jin Mao, bazar Yuyuan i ulica Bund. Dz. 7 Szanghaj – Zhujiajiao. Wycieczka po mieście kanałów i wieczorny pokaz akrobatyczny. Dz. 8 Szanghaj – Guilin. Lot do Guilin, system jaskiń Pałacu Natury i wizyta w tradycyjnej herbaciarni. Dz. 9 Guilin – Longji – Guilin. Tarasy ryżowe w Longji i wizyta u lokalnej rodziny. Dz. 10 Guilin – Yangshuo. Rejs po rzece, wycieczka rowerowa i zwiedzanie wsi, a także możliwość obejrzenia plenerowego pokazu świetlno-teatralnego. Dz. 11 Yangshuo – Guilin – Hongkong. Szybki pociąg do Hongkongu i czas na relaks. Dz. 12 Hongkong. Zwiedzanie miasta z rejsu po zatoce Victoria Harbour, Mount Victoria, świątynia Man Mo i lokalny targ. Dz. 13 Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Makau. Kolacja pożegnalna. Dz. 14 Czas wolny. Przelot Hong Kong – Warszawa. Dz. 15 Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 22/05, 06/10 2026 | od 15.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.

Kod reklamy: GW11

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Fejki

PO FAKTACH

Nowi właściciele TVN nie muszą od razu kasować „Szkła kontaktowego”, Anity Werner zastępować Danutą Holecką, zatrudniać Jacka Kurskiego i zapraszać Jarosława Kaczyńskiego. Żeby pomóc PiS w przyszłorocznych wyborach i zadowolić Trumpa, wystarczą sygnały i drobne ruchy.

Dominika Wielowieyska

Krystyna Pawłowicz, słynąca z niewybrednego poczucia humoru była sędzią pisowskiego Trybunału Konstytucyjnego, zamieściła na platformie X zdjęcie. Trzyma mikrofon z kostką z logo TVN24, obok siedzi kolejny harcownik PiS Dominik Tarczyński. A podpis brzmi: „No i co, TVN już przejęty... Za chwilę będą redukcje...”.

Ironiczny komentarz polityka PiS: „Tak, a Monikę Olejnik zastąpi zaraz Dorota Kania”.

Ale od początku. Ta historia zaczyna się w Waszyngtonie, Hollywood i Dolinie Krzemowej – a w zasadzie w Teksasie, bo tam ma siedzibę Oracle, firma może mniej znana niż Nvidia czy Google, ale może nawet potężniejsza, bo to jej urządzenie obsługuje infrastrukturę internetu.

David Ellison, prezes koncernu filmowo-medialnego Paramount Skydance, jest synem jednego z najbogatszych ludzi świata, Larry’ego Ellisona, współzałożyciela Oracle Corporation, a przy okazji przyjaciela prezydenta Donalda Trumpa. Paramount Skydance do końca trzeciego kwartału 2026 roku ma przejąć Warner Bros. Discovery, do którego należą słynna wytwórnia Warner Bros., rywalizujący z Netflixem serwis streamingowy HBO Max, kanały Discovery, CNN – oraz polskie TVN i TVN24. Paramount ma już w swych szeregach inną wielką amerykańską stację informacyjną, CBS News.

Prawicowe tygodniki „Sieci” i „Do Rzeczy” już opublikowały entuzjastyczne artykuły dotyczące sprzedaży Warner Bros. Discovery, podkreślając więzy nowych właścicieli TVN z prezydentem USA, wieszcząc koniec „monopolu liberalno-lewicowego”. I z satysfakcją odnosząc się do niepokoju amerykańskich dziennikarzy po zmianie właściciela CNN: oto stery krytycznej wobec Donalda Trumpa stacji, która stała się synonimem całodobowej telewizji informacyjnej oraz rzetelnej informacji, przejmują patroni konserwatywnej prawicy. Trochę tak, jakby – alt-right lubi odwoływać się do tego popkulturowego uniwersum, sobie przypisując rolę wolnościowych buntowników, a liberalnemu mainstreamowi gębę Imperium – bojownicy Rebelii przejęli imperialną Gwiazdę Śmierci, najpotężniejszy statek wojenny w „Star Wars”, trzymający w szachu całe planety.

A obawy ludzi mediów, ombudsmanów i obrońców wolności słowa w USA są uzasadnione. Sekretarz wojny Pete Hegseth, zresztą były prezenter telewizyjny związany z Fox News, prawicowym rywalem CNN, podczas konferencji w Pentagonie skrytykował materiał CNN na temat irańskiej blokady cieśniny Ormuz. I dodał: – Im szybciej David Ellison przejmie tę stację, tym lepiej.

Fuzja budzi obawy wśród pracowników CNN i CBS News z przyczyn czysto bytowych – pojawiły się informacje o „integracji struktur” obu stacji, a to oznacza zwolnienia – ale i etyczno-ideowych. Bo Ellisonowie w CBS już umieścili konserwatywnych szefów, i choć na poziomie informacji zmiany nie są może bardzo widoczne, to w sferze komentarzy owszem.

Po decyzji o przejęciu Warner Bros. Discovery przez Paramount Skydance młody Ellison spotkał się z kierownictwem przejętej firmy. „Hollywood Reporter” rozmawiał z kilkoma uczestnikami zebrania, którzy byli mocno przygnębieni. Mówili o „wielkiej niepewności”.

A teraz Paramount Skydance będzie właścicielem TVN i TVN24 – największych telewizji w Polsce, które przez osiem lat rządów PiS były solą w oku ekipy Kaczyńskiego. Bo ich zasięgi, oglądalność i popularne nazwiska na antenie częściowo neutralizowały kłamstwa władzy PiS, zmasowaną propagandę sukcesu oraz hejt TVP na opozycję czy określone grupy zawodowe i różne mniejszości. Stąd nie tylko na Nowogrodzkiej, ale też – choć stara i nowa prawica walczą o tego samego wyborcę i o dominację – w Konfederacji Mentzena i Bosaka – nadzieje, że TVN będzie spacyfikowany.

Co władze polskiej stacji mówią o tej sytuacji swoim pracownikom? Że nie ma co martwić się na zapas, dopinanie transakcji, a później ewentualne decyzje w sprawie TVN zajmą bardzo dużo czasu. Stacja ma dobre wyniki oglądalności i jest bardzo dochodowa. Jedynie, co się zmieni na razie, to fakt, iż TVN będzie częścią jeszcze większego koncernu.

Trzeba jednak brać pod uwagę istotną informację, która zaważy na losach CBS i CNN, a także TVN. Chodzi o skalę zadłużenia potężnego koncernu. Przejmując WBD, Paramount bierze na barki potężne długi Warnera. Dług netto połączonych firm ma wynosić astronomiczne 79 miliardów dolarów. Ale nerwy inwestorów ma ukołoić fakt, że taki wielki podmiot gospodarczy udźwignie ten ciężar, a przyszłoroczna kumulacja spłat (16,5 miliarda) nie zachwieje stabilnością finansową koncernu.

Rozmawiałam nieoficjalnie z kilkoma osobami, które mają rozeznanie w stosunkach amerykańsko-polskich, i biznesowych, politycznych. „Ellisonowie sprzedadzą TVN, bo nie jest im do niczego potrzebny. A mają gigantyczne zadłużenie i potrzebują pieniędzy” – wyjaśnia jeden z moich rozmówców. Lecz inny przekonuje, że wbrew pozorom nowi właściciele są dobrze zorientowani w polskich sprawach.

W TVN pocieszają się, że Ellisonowie są skupieni na tym, co dzieje się w USA, a polska stacja niespecjalnie ich nie interesuje. Ale mój kolejny rozmówca kręci głową. „Ich może nie interesuje, ale może zainteresować Trumpa. A oni zrobią wszystko, czego Trump sobie zażyczy”. I wyjaśnia, nieco sumiutując się, że mówi oczywistości, że prezydent USA lubi mieć swoich przywódców w różnych krajach. Angażuje się w wybory na Węgrzech, żeby bronić Viktora Orbana. Pomaga prezydentowi Argentyny Javierowi Milei. Wsparł Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich, a teraz chwali się, że Nawrocki wygrał właśnie dzięki niemu – Trumpowi. Jeśli polska skrajna prawica i Nawrocki dotrą do ucha Trumpa, ten może przekazać wskazówki Ellisonowi.

Prezydent USA chciałby mieć w Polsce swój europejski przyczółek, a ewentualna klęska Orbana w kwiet-



niowych wyborach jeszcze wzmocni jego determinację. Wtedy już z pełnym zaangażowaniem będzie kibicował prawicy w wyborach parlamentarnych w 2027 roku. Oczywiście z wyłączeniem Grzegorza Brauna – bo nawet jeśli pakiet antyukraińsko-antyunijno-tradycjonalistyczny wpisuje się w emocje i interesy MAGA, to antysemityzm bezwzględnie dyskwalifikuje go jako sojusznika w oczach i klasycznych Republikanów, i trumpistów. I z przyczyn moralnych, i dlatego, że lobby amerykańskich Żydów jest bardzo wpływowe, i z tego powodu, że jedni i drudzy mają „specjalne relacje” z premierem Netanjahu oraz bezwarunkowo – podobnie jak religijna prawica, zwłaszcza ewangelikanie – wspierają Izrael.

Inny z moich rozmówców kreśli taki obraz: „Czy los TVN jest niepewny? Tak. Stary Ellison jest bardzo zagozonym trumpistą i libertarianinem i jest cholernie bogaty, więc zadłużenie go nie przeraża. Jeśli Trump go o coś poprosi, to on to zrobi. A Trump zamierza się zaangażować w kampanię parlamentarną w Polsce, tak jak zaangażował się w kampanię Nawrockiego. W Stanach siedzi cały czas Adam Bielan, od dwóch dekad jeden z najważniejszych spin-doktorów PiS. Bardzo mocną pozycję na Nikodem Rachoiń z kancelarii prezydenta, brat Michała Rachonia z Republiki. W PiS-ie mają obstawioną Susi Wiles, szefową staffu* w Białym Domu oraz wpływowe małżeństwo Schlappów z kierownictwa konferencji CPAC**. Biorąc pod uwagę zmianę w CBS, można się spodziewać znaczących zwrotów w mediach, które przejęli Ellisonowie. Pierwszym miernikiem będzie CNN. A potem przyjdzie czas na TVN”. – A transakcja nastąpi. Bo ani regulator amerykański, ani polski nie ma powodu, aby ją zatrzymać – dobija mój rozmówca.

Lecz zaraz nieco pociesza. „Ale jest wiele zmian, które mogą mieć wpływ na los stacji. W listopadzie w USA są wybory połówkowe, jeżeli Trump straci Izbę Reprezentantów – co nie jest wykluczone – to atmosfera zacznie się zmieniać i pojawi się pytanie, czy wtedy faktycznie wszyscy sponsorzy będą robić to, co chce Trump. Sympatie przesuną się ku umiarkowanym, klasycznym Republikanom, a może i w stronę Demokratów”.



• **Dziennikarze:**
Anita Werner
i Grzegorz
Kajdanowicz
w studiu Faktów
- flagowego
programu
informacyjnego
TVN

FOT. JAKUB WŁÓDEK /
AGENCJA WYBORCZA.PL

**Trump chce mieć w Europie
jakiś przyczółek, a zaraz może
stracić Węgry, więc w pełni
zaangażuje się w polskie wybory
parlamentarne**

„Owszem, sprzedaż TVN lub istotne zmiany będą następować w 2027 roku, czyli w roku wyborczym w Polsce – ciągnie. – Nie chodzi o to, że TVN stanie się Republiką, ale może być tak, że czas przekształceń, chaosu i niepewności wpłynie na pracę w tej telewizji. Nieformalne właścicielskie naciski z góry, by wstrzymać konie, mogą stać się faktem. I to wystarczy, aby osłabić demokratyczny przekaz”. Ale... „Z drugiej strony sprzedaż TVN może stać się jednak częścią jakichś transakcji związanych z administracją USA. Przecież ambasador w Warszawie Tom Rose przyjechał tu po to, aby załatwić drugą elektrownię atomową dla Amerykanów. A transakcyjny wymiar wzmocni pozycję polskiego rządu”.

W politycznych kulisach można usłyszeć, że Jarosław Kaczyński zafiksował się na zniszczeniu TVN.

Już kilka lat temu wielu polskim politykom, również rządzącej Zjednoczonej Prawicy, w głowie się nie mieściło, że w obliczu wojny w Ukrainie prezes PiS chciał pójść na zwanie z takim sojusznikiem, jak administracja Joe Bidena, i forsował tak zwane „Lex TVN”, ustawę, która uderzała w amerykań-

skich właścicieli stacji i umożliwiała rządowi ingerencję w działalność stacji. Ostatecznie nie weszła w życie, bo Amerykanie postawili na dobre relacje z prezydentem Andrzejem Dudą, który ustawę zawetował.

Ale Dudy już nie ma, jest Nawrocki, a Kaczyński walczy – być może po raz ostatni, i zdaje sobie z tego sprawę – o wszystko. Czyli o odbicie państwa, przejęcie instytucji już na dobre, umocowanie w nich i zabezpieczenie partyjnych nominatów. O urządzenie sądów, szkolnictwa, służb po swojemu na wzór Orbana, tak, by kolejny raz nie oddać władzy, a jeśli to się zdarzy, znacznie utrudnić następcom odkręcanie wszystkiego. Oraz o urządzenie materialne swoich ludzi i zauszników, by mieli motywację do obrony władzy i poczucie, że mają zabezpieczoną przyszłość, gdyby przyszły chude lata. A inni widzieli, że „na prezesie można polegać, nie zostawia ludzi samych sobie”, i wyciągali z tego wnioski. Dlatego PiS chce zniszczyć TVN i wykorzysta każdą okazję, by podkopać pozycję Wiertniczej – jak mówi się w środowisku na stację od stołecznej ulicy, przy której ma centralę.

TVN nie zmieni się w TV Republikę czy w Polsce24 albo TVP z czasów Jacka Kurskiego – Kaczyński wie, że to byłby strzał w stopę, bo skończy się utratą widzów i potężną stratą finansową. Tak stało się z TVP, gdy stacja została przejęta z rąk PiS. Jacek Kurski zbudował tak wierną widownię, że gdy zmieniły się władze i zespół telewizji publicznej, publika odpłynęła do Republiki Tomasa Sakiewicza. TVP Info do dziś nie może się podnieść z upadku. W 2025 roku jej udział w oglądalności wzrósł z 1,4 do 1,68 procent, ale stacji daleko do 4,87 procent, czyli wyniku z 2023 roku, ostatniego pod rządami PiS.

Czy jakkolwiek amerykański inwestor chciałby tracić pieniądze, nawet jeśli by zażądał tego Trump? Wątpliwe także dlatego, że wpływ takiej telewizji na rzeczywistość byłby co najmniej skromny. Gdy odpłynęłaby od niej nie tylko najwierniejsza liberalna publiczność spod znaku „Szkła kontaktowego”, ale też zniechęciliby się liczni zwyczajni odbiorcy, ci niezaangażowani.

Bo mimo brutalizacji publicznego języka i debaty za sprawą serwisów społecznościowych widzowie wciąż w większości – nawet jeśli mają prawicowe poglądy czy są tradycjonalistyczni – inną miarę przykładają do Facebooka czy Twittera vel X, inną do klasycznych środków przekazu. W telewizji nie lubią obrażania ich inteligencji i chamstwa, razi ich wulgarna propaganda czy nienawistny język. A więc model „TVN Republika” tylko zniechęcałby potencjalnych wyborców.

Dlatego sprzedaż wydaje się optymalnym rozwiązaniem. Ellisonowie dostaną gotówkę na spłatę długów, a TVN może obecnej opozycji nie wesprze, ale będzie osłabiona, bo akurat podczas kampanii wyborczej stację czekałyby gwałtowne zmiany – a więc będzie rozchwyta, jej ludzie emocjonalnie skupieni na niepewnej sytuacji wewnętrznej.

Ale sprzedaż nie jest prostą operacją, bo polski rząd musi na nią wydać zgodę. Premier Donald Tusk TVN i Polsat wpisał na listę spółek strategicznych. Lecz co będzie, jeśli po 2027 roku rządzić będzie PiS z Konfederacją? Taki rząd chętnie zgodzi się na transakcję, która zmieni TVN jeszcze bardziej niż obecny zakup przez finansowych patronów i przyjaciół Trumpa.

Czy politycy PiS wydeptują ścieżki w tej sprawie w Waszyngtonie? Oprócz drugiego z Rachoniów i Bielana bywa tam także Jacek Kurski. Został wyautowany z pisowskich mediów, więc liczy, że jest w stanie wyrobić sobie odpowiednie kontakty w administracji Trumpa – a wtedy wróci do telewizyjnej gry od razu na wysokim poziomie, przeskakując kilka pól.

Były prezes TVP kupił w USA dom i tam głównie urzęduje. Kupił, bo sądził, że utrzyma się tam z miesięczną pensją około 80 tysięcy złotych, jaką pobierał na posadzie w Banku Światowym, którą załatwił mu prezes NBP Adam Głański. Stało się inaczej: Tusk szybko doprowadził do usunięcia Kurskiego. Dom w Stanach jednak pozostał. Może się przydać, a po pewnych zawirowaniach Kurski ma za co żyć – jako doradca Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim zarabia kilkanaście tysięcy euro. Dzięki decyzji Jarosława Kaczyńskiego, choć niektórych europosłów PiS krew zalała na wieść o tej posadzie. Przecież jeszcze w grudniu Waldemar Buda, człowiek Mateusza Morawieckiego – który uważa Kurskiego za szkodnika, bo zdaniem ekspremiera jego metody i propaganda bardziej zaszkodziły niż pomogły PiS

w wyborach 2023 roku – zbierał podpisy pod wnioskiem o usunięcie „Kury” z partii.

Mimo iż „Kura” sporo zarabia, szkoda mu było pieniędzy na loty do USA, więc wymyślił, że zostanie doradcą prezydenta Karola Nawrockiego do spraw stosunków polsko-żydowskich i będzie latał za ocean na koszt Kancelarii Prezydenta. Przekonywał, że przecież pochodzi „żydowskiej arystokracji”, co opisał w książce „Dziady i dybuki” jego brat Jarosław, wieloletni wicenaczelnny „Wyborczej” i chadeciki liberal.

Nagle przywiązanie „Kury” do żydowskich korzeni jest zabawne, bo w przeszłości, jeszcze jako polityk radiomaryjnej Ligi Polskich Rodzin, robił wszystko, aby nikt nie podejrzewał go o takie pochodzenie. Lecz dziś „Kura” pokazuje książkę brata, komu się da. Argumentuje, że dzięki temu będzie miał dobre relacje z proizraelską administracją Trumpa. A co więcej, Ellison też ma żydowskie korzenie, jest z nich dumny, deklaruje się jako amerykański Izraelczyk i nawet wpłacił kilkanaście milionów dolarów na izraelskie wojsko. Kurskiemu wydaje się więc, że może w Waszyngtonie zaistnieć.

Nieszczęśliwie dla niego ludzie Nawrockiego na czele z szefem gabinetu prezydenta Pawłem Szefernakerem nie znoszą byłego szefa TVP. Dali temu wyraz, gdy w czasie kampanii prezydenckiej Kurski w rozmowie z reporterem TVP Info buńczucznie zapowiadał swój powrót do stacji. Komentarz do tej wypowiedzi na społecznościowym koncie Nawrockiego brzmiał: „Po moim trupie”.

Kurski lata więc do Stanów za swoje, ale nie porzucił pomysłu rozbudowania kontaktów w Waszyngtonie i cierpliwie wydeptuje swoje ścieżki, poczynając od najniższych kręgów rządowych.

Właśnie z nadzieją na odegranie większej roli w świecie mediów, bo to jego żywioł, choć oczywiście zabezpiecza się na innym polu – chce wystartować do Senatu albo do Sejmu w 2027 roku.

O ile w PiS z nadzieją patrzeć na ruchy w Stanach, o tyle Tomasz Sakiewicz obserwuje wydarzenia z niepokojem.

Ledwo co po latach robienia wegetującej z dnia na dzień taniej niszowej telewizji i klepania biedy może nie osobistej, ale biznesowej, dzięki kłęsce PiS zbudował mini concern medialny, osiągnął pozycję w branży oraz polityczną, jego TV Republika przegoniła poważne stacje informacyjne w rodzaju TVN24 czy Polsat News, a po prawej stronie bezwzględnie dominuje, o kilka długości wyprzedzając konkurentów. A tu grozi mu wejście Godzilli – bo tym będzie dla rodzimych prawicowych mediów przejęcie takiego giganta jak TVN przez prawicowych właścicieli. Powiedzieć, że konkurencja gwałtownie wzrosła, to nic nie powiedzieć.

A szef Republiki i „Gazety Polskiej” i tak ma olbrzymie problemy finansowe, co rusz błąga widzów o wpłaty, ma trudności z zapłaceniem rocznej raty opłaty koncesyjnej. Pierwsze miesiące po przejściu doń pisowskich gwiazd TVP i gwałtownym wzroście oglądalności były bajeczne, bloki reklamowe wypełniały już nie telezakupy i spoty małych przedsiębiorców, ale producenci samochodów, popularne dyskonty, znane marki kosmetyczne i spożywcze. Lecz z czasem ze względu na narastający hejt, absurdalną propagandę i zwykłe kłamstwa duzi reklamodawcy zaczęli się wycofywać, a nowi się nie garną. Właściciel Republiki liczył na wsparcie z USA, po to zainwestował grube kwoty w dolarach w medialne partnerstwo z CPAC, ale jakoś nie udało się niczego załatwić.

Nie tylko sprawa TVN spędza Sakiewiczowi sen z powiek. Gruchoła bowiem wieść, że do Polski zawita konserwatywny Newsmax, sporo mniejszy, ale poszerzający widownię konkurent Fox News, również dzięki temu, że jest jedną z ulubionych stacji telewizyjnych Trumpa. Czyli kolejna konkurencja.

A Sakiewicz ma jeszcze na głowie Kanał Zero starający się dowieść, że nie jest medium tożsamościowym, ale wielotematycznym medium telewizyjno-internetowym z prawdziwego zdarzenia – i najsprawniej zbiera reklamy z rynku dzięki sporej liczbie widzów. Oraz braci Karnowskich z ich wPolsce24, która sama z siebie, wiecznie niedofinansowana i nieco paździerzowa, nie była dlań żadną konkurencją, ale w takim ścisku każdy kawałek ograniczonego reklamowego tortu jest na wagę złota.

A tu właśnie powstała spółka Newsmax Gateway Poland. Prezeską została Aleksandra Krstić z doświadczeniem w Newsmax Balkans, telewizji kablowej z siedzibą w Belgradzie. Założona w marcu 2024 roku, na stronie przedstawia się jako pierwszy partner medialny amerykańskiej telewizji Newsmax poza granicami Stanów Zjednoczonych.

Ludzie Sakiewicza nie pozostawili tej informacji bez odpowiedzi. Na portalu Blaskonline, należącym bezpośrednio i pośrednio między innymi do wieloletniego szefa „Super Expressu” i chwilowego właściciela blogowego Salonu24 Sławomira Jastrzębowskiego, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego i niegdyśszego mentora Nawrockiego w IPN, radykalnego historyka Sławomira Cenckiewicza oraz Michała Rachonia, pojawiła się analiza dotycząca polskiej wersji Newsmax.

Najpierw autor artykułu wskazuje, że konflikt między twórcami telewizji wPolsce24, Michałem a Jackiem Karnowskim, się pogłębia. Do rozstania braci doszło już kilka miesięcy temu. Jacek został w imperium senatora Grzegorza Biereckiego, byłego prezesa upadłej parabankowej sieci SKOK i sponsora licznych związanych z PiS inicjatyw społecznych, Michał razem z Marcinem Tulickim i dawnym gwiazdorem TVP Michałem Adamczykiem założył na YouTube Kanał Tak. Blaskonline twierdzi, że bracia rywalizują o wpływy przy budowie polskiej wersji Newsmax. A tymczasem za tym przedsięwzięciem stoi Telekom Serbia, który ma powiązania z Rosją. I choć Newsmax kojarzy się z amerykańską telewizją, to tak naprawdę ekspansję w Europie prowadzi serbski podmiot należący do państwa, które sprzyja Rosji.

Rzeczywiście, choć prezydent Aleksander Vucic deklaruje zachodni kurs i chęć przystąpienia do Unii Europejskiej, to utrzymuje dobre relacje z Moskwą, Belgrad nie przylączył się do wszystkich sankcji wobec Kremla, liczni rosyjscy „turbopatrioci” kursują między Rosją a Serbią, gdzie mieszkają, prowadzą biznesy i działalność propagandową, mnożą się doniesienia o współpracy serbskich służb z FSB.

Czy więc projekt z kapitałem powiązanym z serbską spółką państwową będzie w Polsce postrzegany jako „amerykańska telewizja” – pyta między wierszami portal Jastrzębowski i Rachonia. I stwierdza, że „w tle jest wywiad, który tygodnik »Sieci« braci Karnowskich przeprowadził z rosyjskim ambasadorem Sergiejem Andriejewem tuż po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę”.

Michał Karnowski nazwał te doniesienia „bzdurą” i napisał na X, że nie chce tego komentować. „Mogę jedynie powiedzieć, że pracuję przede wszystkim nad rozwojem mojego kanału, który tworzę z Michałem Adamczykiem i Marcinem Tulickim”. Jacek Karnowski zaś nie odpowiedział na pytanie portalu Blaskonline.

Nie wiadomo, jakie są fakty w sprawie braci Karnowskich i rewelacji ich konkurencji. Pewniki są dwa: że znaczące postaci prawicowego rynku ostro walczą – i że Republika ma o wiele więcej widzów niż wPolsce24 zawiadywane przez Jacka Karnowskiego.

W 2025 roku Republika miała 6,06 procent rynku, wPolsce24 – 1,33. A kanał Michała Karnowskiego „TAK” na YouTube nie odniósł sukcesu. Ale co ciekawe, teraz Karnowski koncentruje się na atakowaniu nie Republiki, lecz Kanału Zero i portalu Zero.pl.

Komentując występ Karola Nawrockiego w internetowej telewizji Krzysztofa Stanowskiego, Karnowski stwierdził, że był to przyimilny wywiad i „propaganda”. Wkroczył też w wieloletnią wojnę lobbingsową koncernów tytoniowych i oskarżył Zero.pl o działanie na rzecz jednego z graczy. Ale sam wykorzystał materiały podesłane przez konkurencyjną firmę tytoniową – i do tego wdał się w pyskówkę z byłym rzecznikiem PiS, obecnie wpływowym lobbystą i piarowcem Adamem Hofmanem. Obaj zarzucali sobie chodzenie na pasku konkurencyjnych koncernów tytoniowych i powiązania rosyjskie.

To wszystko chwilowe imby bez większego politycznego znaczenia i z pogranicza groteski, ale dobrze pokazują, że napięcia po stronie mediów populistycznej prawicy są bardzo silne.

Nikogo tam nie było, Pałac się chce trzymać z daleka od Zondacrypto – słyszę w PiS, kiedy pytam o konferencję Sakiewicza z Bannonem w Waszyngtonie, która towarzyszyła wizycie Karola Nawrockiego u Trumpa

Każde z nich zresztą ma swoich biznesowych faworytów. Karnowski na przykład bardzo chwala Rafała Brzosek, współwłaściciela InPostu. Z kolei Sakiewicz trzyma się z firmą Zondacrypto – która zyskała rozgłos, sponsorując Polski Komitet Olimpijski, dzięki czemu siedziba PKOl i centrala polskich olimpijczyków nosi nazwę Zondacrypto Centrum Olimpijskie imienia Jana Pawła II – i jej właścicielem Przemysławem Krale. Kral wspiera Republikę, co ma znaczenie, gdy omijają ją reklamy. Problem polega na tym, że Zondacrypto nie budzi entuzjazmu i w „starym” PiS, i w otoczeniu Nawrockiego, ze względu na burzliwą przeszłość tego przedsięwzięcia, włącznie z – jak sugerują doniesienia i śledztwa mediów – kryminalnymi, wręcz mafijnymi historiami.

Prezydent jest zwolennikiem kryptowalut, bo uważa, że sprowadzają inwestowanie pod strzechy oraz dają wolność jako mało uregulowane i nadzorowane przez państwo. Gdy zawetował ustawę o rynku kryptowalut, interpretowano to jako ukłon w stronę Krala – ale sam Nawrocki tłumaczył, że bronił „wolności” Polaków, a z korytarzy Kancelarii Prezydenta słychać było, że w „dużym pałacu” nie chcą być kojarzeni z tą firmą.

Gdy we wrześniu Karol Nawrocki poleciał do Waszyngtonu, by spotkać się z Donaldem Trumpem, Sakiewicz w tym samym czasie urządził imprezę w Kennedy Centrum, sponsorowaną przez Zondacrypto. Szczyt o nazwie Polish-American Strategic Industries Summit reklamowano jako część wizyty prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Na stronie Republiki czytamy, że „szczyt, odbywający się pod hasłem »Razem dla silnej gospodarki i polityki«, towarzyszy wizycie prezydenta RP Karola Nawrockiego w stolicy USA”.

Ze strony amerykańskiej u Sakiewicza występowali nie tylko Jack Posobiec i Matthew Foldi, czyli ważni aktywiści ruchu MAGA, oraz sam Steve Bannon, intelektualny guru amerykańskiego alt-rightu, współtwórca pierwszego sukcesu wyborczego Trumpa, obecnie, po kilkuletniej nielasce, łącznik trumpistów z europejską alt-prawicą, ale też Mercedes Schlapp, dyrektorka do spraw komunikacji strategicznej Białego Domu, Darren J. Beattie, podsekretarz stanu do spraw dyplomacji publicznej USA czy Corey Lewandowski, doradca sekretarza Departamentu Bezpieczeństwa We-

wnętrznego. Ze strony polskiej, jak donosiły prawicowe profile, w imprezie wzięli udział urzędnicy Nawrockiego, na czele z Marcinem Przydaczem, ministrem odpowiedzialnym za sprawy zagraniczne w Pałacu Prezydenckim.

Tylko że „nikogo tam nie było, Pałac się chce trzymać z daleka od Zondacrypto” – słyszę w PiS. A minister Przydacz na moje pytanie o udział w imprezie odpowiedział: „Nie byłem na tym spotkaniu i według mnie nie było nikogo z Kancelarii Prezydenta. Nikt też z organizatorów tej konferencji nie był członkiem delegacji prezydenta i nie leciał samolotem. Odpowiadam awansem, bo wiem, że sporo narosło dezinformacji wokół tego tematu”.

– Niemniej Nawrocki był w czasie kampanii wyborczej na konserwatywnym kongresie CPAC w Rzeszowie, który był sponsorowany przez Zondacrypto – zwracam uwagę jednemu z polityków prawicy będących blisko Pałacu Prezydenckiego.

„Sztab się zastanawiał, czy tam jechać. Nie chciał być kojarzony z Krale. Widać, że tam brylował Przemek Wipler z Konfederacji, który z Krale ma dobre relacje. On zresztą też bryluje wciąż w Republice – odpowiada. – Nawrocki ostatecznie tam pojechał, ponieważ gościem imprezy była Kristi Noem, ówczesna sekretarz do spraw bezpieczeństwa. Gdyby nie ona, Nawrockiego by tam nie było właśnie ze względu na Krala”.

Napięcia i podziały na rynku medialnym po stronie skrajnej prawicy są więc silne, rywalizacja bardzo ostra – a będzie coraz ostrzejsza. Bo wcześniej o starciach Karnowskich z Sakiewiczem krążyły legendy, obie stacje podkradły sobie prestiżowych gości z PiS – ale te rozgrywki, choć ważne dla polityczno-biznesowego ekosystemu prawicy i eksycytujące odbiorców głęboko zainteresowanych bieżącą polityką, to były kanapowe przepychanki, polityczne zabawy w piaskownicy. Ale dziś, gdy Budapeszt może stracić status europejskiej stolicy eurosceptyków i radykałów, zaś amerykańska prawica angażuje się politycznie i biznesowo w Warszawie, drugorzędni gracze czy postaci z pogranicza politycznego kabaretu poczuły się figurami w poważnej grze. A w PiS nie brakuje ludzi, którzy podbijają stawkę, marząc, że Polska przejmie rolę mekki alt-rightu w Europie. Również dzięki temu, że przekaz populistycznej prawicy stanie się dominujący i promieniujący na resztę kontynentu dzięki przejściu tym mediom głównego nurtu.

Lecz mimo wszystkich śmiałych kalkulacji na razie kręgi decyzyjne PiS przyjęły doraźną perspektywę i skupiają na tym, jak telewizyjno-biznesowe przetarasowania lub sama ich perspektywa może wzmacnić Nowogrodzką najpierw na samej na prawicy.

Partijnej centrali nie zależy na dominacji Sakiewicza, woli, aby mediów prawicowych było jak najwięcej, aby żadne z nich nie stało się autonomicznym ośrodkiem władzy. Jarosław Kaczyński podkreśla, że to pies ma kręcić ogonem, nie odwrotnie.

Co nie przeszkadza strategom i taktikom Kaczyńskiego korzystać z każdej okazji do podkopywania niezależnych mediów głównego nurtu. Choćby poprzez sianie niepokojów, osłabianie ich ducha. Zgodnie ze starą zasadą prezesa: przygotowujemy grunt pod różne scenariusze, nawet jeśli zdają się fantastyczne, bo nie zaszkodzi. Okoliczności potrafią zmienić się z dnia na dzień, a wtedy to my wskoczmy na falę.

• * Szef personelu Białego Domu to jedno z najważniejszych stanowisk w prezydenckiej administracji – ustawia pracę najbliższego zaplecza prezydenta, decyduje, kto, kiedy i z czym zostanie dopuszczony do Gabinetu Owального, stale towarzyszy prezydentowi i nierzadko mu doradza.

• ** Odbywający się od 52 lat największy coroczny kongres Republikanów, prawicowych stowarzyszeń i konserwatywnych aktywistów w USA, ostatnio otwierający ekspozycję w innych krajach, w tym w Polsce i na Węgrzech.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Skąd wziąć CZARNKA NA MIARĘ NASZYCH MOŻLIWOŚCI

Kaczyński może wybierać wśród wielu wyrazistych nazwisk.

Tusk ma na ławce rezerwowych biurokratów, partyjnych baronów, prymusów i polityków gabinetowych

Arkadiusz Gruszczyński

Jarosław Kaczyński potrzebował kilku tygodni na znalezienie nowego premiera. A Donald Tusk? – Nie ma takich dyskusji, nie ma mowy o innym kandydacie na premiera niż Kierownik – słyszę w Koalicji Obywatelskiej.

Pierwsza dyskusja o nowym szefie rządu zaczęła się po przegranej Rafała Trzaskowskiego. – Premier zapadł się pod ziemię, był zszokowany wygraną Karola Nawrockiego. Przez kilkanaście dni w partii wrzało. Ludzie rzucili się sobie do gardeł, na zamkniętych spotkaniach w obecności premiera oskarżano sztab o lenistwo i wyciąganie złych wniosków z badań. Młodzi posłowie chodzi po Sejmie i rozpowiadali, że to koniec Tuska, bo z Kierownikiem, którego nie słuchał sztab Rafała, nie wejdą do Sejmu – wspomina jeden z tej właśnie grupy w Koalicji Obywatelskiej.

Mówiło się wtedy głośno o Radosławie Sikorskim, który miał zastąpić Tuska w fotelu premiera. Nic z tego nie

wyszło, bo ani minister spraw zagranicznych, ani premier nie zamierzali nigdy zmieniać rządowej układanki. – A partia musiała się wyszumieć i wykrzyczeć – dodaje trzeźwo inny poseł.

Tymczasem miesiące mijały, rząd otrząsnął się z porażki prezydenckiej, a Tusk wrócił do starych zwyczajów. – Decyzje trzyma blisko serduszka, nie poszerza grona doradców, sporo pracuje, ale też sprawia wrażenie, że mało go interesuje partia. To gra pozorów, choć słyszałem, że współpracownicy na korytarzu śmieją się, że muszą „czytać z Tuska” – mówi jeden z ministrów.

„Czytanie z Tuska” to określenie, które oznacza: trzeba się domyślać, jakie decyzje tak naprawdę podejmie premier. Co ma znaczenie dla naszej opowieści.

Po pół roku po wyborach prezydenckich w większe tarapaty wpadło Prawo i Sprawiedliwość, co mogło zaskoczyć opinię publiczną, ale problemy Kaczyńskiego były logiczną konsekwencją zwycięstwa. Prawicowi wyborcy zobaczyli, że mogą decydować o wyborze głowy państwa, ale nie muszą wiernie popierać PiS.

A Nowogrodzka – od siedziby partyjnej centrali przy tej stołecznej ulicy – nie odrobiło lekcji po zakończonych oddaniem władzy przegranych wyborach

parlamentarnych z 2023 roku: prezes nie rozliczył bohaterów największych afer, nie wymienił kierownictwa i uwierzył, że Nawrocki został prezydentem dzięki niemu.

Tylko że nowym prezydentem został polityk, który mówił w kampanii prezydenckiej językiem nie PiS, a Suwerennej Polski, czyli małego środowiska politycznego Zbigniewa Ziobry. Nawrocki był antyunijny, antyukraiński i radykalnie prawicowy. To nie był konserwatywno-narodowo-socjalistyczny Kaczyńskiego ani technokratyczny ekspremier Mateusza Morawieckiego. To była w treści i formie narracja politycznych radykałów spod znaku Sebastiana Kalety, Mariusza Goska czy Jacka Ozdoby, czyli najbliższych współpracowników Ziobry.

Po zwycięstwie Nawrockiego doszło więc do kilkumiesięcznej wewnętrznej awantury, którą można streścić cytatem z mojej rozmowy z jednym z bardziej znanych posłów PiS. – Prezes albo uzna, że partia wygra każde wybory, używając języka Suwerennej Polski, albo zaufa Morawieckiemu, który gospodarczymi wizjami przekona do siebie sieroty po Polsce 2050 i PSL – usłyszałem w Sejmie.

Kaczyński wybrał pierwszą strategię. Przemysław Czarnek jako kandydat na premiera ma odzyskać wyborców, którzy odpłynęli do dwóch Konfederacji. Z tym zadaniem wiąże się jednak pewne pułapki. – Część z naszych byłych wyborców odeszło do Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna nie ze względu na program, nasz mało radykalny stosunek do Ukrainy czy Unii, ale ze względu na afery, o których dowiedzieli się po przegranych wyborach – opowiadał jeden z posłów PiS, niezwiązany na stałe z żadną z frakcji.

Tylko że Kaczyński odpuścił wygraną w przyszłorocznych wyborach do Sejmu i Senatu. Jeśli się uda, to będzie miły bonus, ale „Prezes” walczy o odbudowę wieloletniej hegemonii po prawej stronie. Jego marzenia polityczne są jasne: do przyszłego Sejmu nie wchodzi Braun, Konfederacja Mentzena i Bosaka zdobywa poniżej 10 procent, a PiS zajmuje drugie miejsce.

Może się więc okazać, że wyścig na radykalizm – a Czarnek zdążył w ciągu kilku dni obrazić kobiety, mieszkańców domków jednorodzinnych, którzy mają na dachach panele fotowoltaiczne, osoby homoseksualne, wyborców Koalicji 15 Października, Ukraińców, Unię Europejską i Niemcy – skończy się jeszcze większym spadkiem poparcia dla PiS. Partia może stracić elektorat umiarkowany, a ci radykalni nie wrócą do Kaczyńskiego, ponieważ – o czym zapominają politycy – nie są workiem ziemniaków, który można przenieść z jednego pokoju do drugiego, tylko świadomymi, nierzadko oczytanymi, uważnymi i zorientowanymi wyborcami.

W Koalicji Obywatelskiej przywitano wybór byłego ministra edukacji z ekscytacją. Moi rozmówcy na sejmowych korytarzach twierdzili, że kandydat na premiera „jest wymarzoną i wdzięcznym przeciwnikiem dla Tuska”. Czarnek może zmobilizować demokratyczny elektorat, który szybko się zorientuje, że hamujące wszystkie progresywne zmiany, od okiełznania myśliwych przez ochronę przyrody i małżeństwa jedнопłciowe po liberalizację aborcji, Polskie Stronnictwo Ludowe jest miłą, nowoczesną partią w porównaniu z szykowaną po wyborach w 2027 roku koalicją PiS – Korona Grzegorza Brauna.

Lecz politycy KO powoli zaczynają dostrzegać, że Czarnek ma wiele cech, które w warunkach kampanijnych mogą okazać się zabójcze dla strony demokratycznej. Wicowe talenty, dosadny język, taki, jakim mówią zwykli ludzie, umiejętność prostego i obrazowego streszczania problemu, podobna do tej, którą kiedyś miał chłopski trybun Andrzej Lepper oraz urok osobisty – to, co dla wielu komentatorów jest „Edkiem z »Tanga« Mrożka” i „burractwem”, wiele osób odbiera jako swojskość – to tylko część obrazu. Czarnek ma coś, co wyborcy i publicyści widzieli u Nawrockiego: chce się bić i na końcu wygrać.

Jedno starcie – choć mowa tylko o potyczce – już wygrał, pokonał frakcję Morawieckiego. Żeby wygrać bitwę – odbudować poparcie dla partii – a następnie wojnę, czyli zostać prawdziwym premierem albo następcą Kaczyńskiego, będzie więc chwytal się wszystkich, również nieczystych, zagrywek.

Pytanie brzmi: czy Koalicja Obywatelska jest przygotowana na takiego przeciwnika? I czy wyobrażamy sobie debatę telewizyjną lub na antenie Kanału Zero, w której biorą udział Tusk oraz Czarnek?

Czarnek ma tyle za uszami – słyszę w KO – że wygrana z PiS będzie bułką z masłem. Jako minister edukacji w rządzie Morawieckiego przyznawał dotacje organizacjom pozarządowym o prawicowym charakterze; wprowadził do szkół indoktrynującą Historię i Teraźniejszość, czyli osławiony HIT; wielokrotnie szczuł na mniejszości seksualne i kobiety; atakował Ukraińców. A także – co ważne dla wolnościowej części wyborców Konfederacji – zamykał szkoły w czasie pandemii, zgadzał się na re-



• **Przemysław Czarnek – przyszły premier namaszczonego przez prezesa Kaczyńskiego na Konwencji PiS w Hali Sokoła w Krakowie (7.03.2026)**

FOT. JAKUB WŁÓDEK
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

strykcyjną i słuszną politykę zdrowotną, za co jest do dzisiaj krytykowany przez Mentzena i Brauna. Według polityków KO to wszystko wystarczy: Czarnek nie da zwycięstwa Kaczyńskiemu.

No cóż, rok temu mówiło się, że Trzaskowski może wygrać z Nawrockim już w pierwszej turze.

Kaczyński mógł sobie pozwolić na wybór Czarnka, ponieważ niczym nie ryzykuje, a może zyskać wszystko, czyli realną władzę, powrót do spółek skarbu państwa, ostateczne rozprawienie się ze środowiskiem sędziowskim – co zapowiedział w projekcie ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa Karol Nawrocki – oraz przejęcie mediów publicznych i zmarginalizowanie coraz bardziej niezależnej od Nowogrodzkiej Telewizji Republika.

A teraz zastanówmy się, że podobną drogę musi przejść Donald Tusk. Wiadomo, że w KO nie toczy się żadna dyskusja o potencjalnym kandydacie na premiera w nadchodzącej kampanii wyborczej. Nie tylko oficjalnie, w wersji dla dziennikarzy i opinii publicznej – takiej dyskusji naprawdę nie ma, ponieważ Tusk jest niekwestionowanym liderem. Partia pod jego przywództwem ma najlepsze notowania w sondażach od lat, koalicja rządząca przetrwała kilka poważnych kryzysów, rozliczenia poprzedników trwają, inflacja spada, płace rosną, naprawdę nie ma na co narzekać. Więc wymiana premiera w tym momencie byłaby politycznym samobójstwem.

**Po pokonaniu PiS
jesienią 2023 r. PO wróciła
do dawnych nawyków
i dopiero po przegranych
wyborach prezydenckich
zaczyna na poważnie
zajmować się ofertą dla
młodych oraz oddaje Tik Toka
w ręce młodych działaczy**

Ale pytanie o ławkę kadrową KO trzeba zadać, bo to pytanie o to, czy największa partia w Polsce i jej lider są gotowi na sukcesję? I jak to się stało, że Kaczyński mógł wybierać wśród wielu nazwisk, a Tusk w podobnej sytuacji musiałby postawić na lidera innej partii?

Spójrzmy raz jeszcze na PiS. Co byśmy nie mówili o tej partii, mając w pamięci całe zło, jakie wyrządziła, to jednak Kaczyński pozwolił na kariery kilku politykom młodszej pokolenia. W jego wodzowskiej partii jest miejsce na technokratycznego Morawieckiego (w chwili dołączenia do Kaczyńskiego – 47 lat), trybuna ludowego Czarnka (wojewoda lubelski z ramienia PiS w wieku 38 lat), kreującego się na państwowca szefa Kancelarii Prezydenta Zbigniewa Boguckiego, (został wojewodą pomorskim jako 40-latek), elokwentnego i budującego rozpoznawalność Tobiasza Bocheńskiego (wystawiony do rywalizacji z Trzaskowskim o prezydenturę Warszawy w wieku 37 lat) czy ukrywającego się na Węgrzech Zbigniewa Ziobry, byłego ministra sprawiedliwości, który pierwszy raz objął tę funkcję jako 31-latek. A Kaczyński wszystkim tym politykom pozwolił rosnąć, gdy byli o kilka lat młodszy, więc teraz – zdając sobie sprawę z niechęci społecznej, jaką wywołuje on sam – mógł w ciągu kilku tygodni wybrać kandydata na premiera.

W Koalicji Obywatelskiej nie ma podobnych postaci. Na siłę znaleźlibyśmy trybuna ludowego, technokratę, młodego zdolnego czy znienawidzonego przez drugą stronę „czarnego charakteru”, ale za to uwielbianego przez „swoich” – lecz wszystko to postaci mniej wyraziste niż pisowskie młode wilki, niekiedy oble, kojarzące się, jeśli w ogóle, z zawodowym gabinetowym politykiem w typie „od liceum działacz”.

Z trybunem ludowym w ogóle będzie najgorzej, ponieważ politycy KO – oprócz samego Tuska – nie rozumieją tłumy, źle się w nim czują, nie potrafią przemawiać i utrzymywać uwagi. Z technokratami jest lepiej. – W rządzie i przy samym premierze mocno urosł ostatnio Andrzej Domański. Mówi się nawet o „efekcie Domańskiego” w kontrze do „efektu Żurka” – twierdzi jeden z ministrów.

Po wejściu do rządu na stanowisko ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka notowania Koalicji Obywatelskiej znacząco się po-

prawiły. Ale frakcja 42-letniego w chwili objęcia teki ministra gospodarki twierdzi, że to koincydencja, wcale nie efekt wyrazistości, umiejętności posługiwania się Instagramem i platformą X oraz demonstracyjnych rozliczeń aferzystów PiS, tylko skutek poprawiającej się sytuacji ekonomicznej Polaków.

– Problem w tym, że Domański nie ma charyzmy. To samo dotyczy Adama Szlapki, naszego rzecznika, który ma wizerunek grzecznego, sumiennego chłopaka, ale do władzy to on nas nie poprowadzi – mówi inny poseł. Niemniej 41-letni Szlapka wyraźnie rośnie przy Tusku, uczestniczy w każdym spotkaniu premiera, ma z nim dobry kontakt, ponoć „Kierownik” chwilami widzi w nim swojego następcę.

Czarnych charakterów, czyli wyrazistych jastrzębi, realizujących najtwardszą linię rządu, jest kilku. To przede wszystkim Żurek, ale też Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych i administracji, Dariusz Joński i Michał Szczerba, przebojowi europarlamentarzyści tropiący największe afery rządów Zjednoczonej Prawicy.

Intuicyjnie czujemy, że żaden z tych polityków nie byłby w stanie samodzielnie, dzięki energii, wyczuciu i empii wygrać dla Koalicji Obywatelskiej wyborów parlamentarnych, a następnie kierować rządem. Jako jednostki są kompetentni, jako całość są sprawną, uzupełniającą się drużyną. Ale nie są charyzmatycznymi zwierzętami politycznymi.

Personalne i polityczne wybory Jarosława Kaczyńskiego nie zostały przeanalizowane przez Koalicję Obywatelską. Andrzej Duda, Beata Szydło, Morawiecki, Nawrocki, a teraz Czarnek mają jedną wspólną cechę: partia i zespół specjalistów mógł dowolnie modelować ich wizerunek w kampaniach wyborczych. Śledztwa dziennikarskie, afery z ich udziałem, zła lub lekceważąca opinia rozpowszechniona w części społeczeństwa im nie przeszkadzały. Liczyło się tylko jedno: wykreowany wizerunek, którego adresatami byli wyborcy prawicy.

Bo argument o przekonywaniu przekonanych od dawna jest nietrafiony. W głęboko spolaryzowanym kraju od lat wygrywa ten, kto skuteczniej zmobilizuje swoją bazę wyborczą. A więc przekona swój obóz – rzecz jasna nie najwierniejszych i radykałów, ale umiarkowanych, wahających się, na co dzień sympatyzujących światopoglądowo, ale niezaangażowanych, do wyjścia z domu w dniu wyborów.

To samo mógłby zrobić Tusk z dowolnym politykiem z własnej partii. KO ma zaplecze eksperckie, pieniądze, ekspertyzy, badania, dostęp do mediów, specjalistów od platform społecznościowych oraz ideowych wolontariuszy z know-how internetowym i socjologicznym. Czyli to samo, co ma Jarosław Kaczyński.

Problem leży gdzie indziej: w Koalicji Obywatelskiej mało kto wyciąga wnioski z porażek, a droga awansu jest nieczytelna dla młodych polityków. Tusk nie buduje partii, która na wzór swoich odpowiedniczek w Wielkiej Brytanii czy Niemczech ma przetrwać po odejściu obecnego premiera na emeryturę, a potem kolejnego i kolejnego. Tusk myśli w kategoriach osobistego politycznego projektu, jakim jest dla niego KO. Nie z arogancji czy autorytarnego usposobienia, po prostu przez ćwierć wieku Platformy Obywatelskiej przyzwyczaił się, że partia popada w tarapaty, gdy on wycofuje się lub odpuszcza, a zdobywa się z nich dzięki energii, intuicji i pomysłowości. Tak więc KO jest partią jednego człowieka – a takie ugrupowania, które miały być dla niej wzorem, jak CDU czy torysi, są przygotowane na zmianę liderów. W momencie przesilenia politycznego stery przejmie ktoś inny, stary przywódca uznaje stan rzeczy i odchodzi.

A poza tym „Kierownik” wyznaje zasadę, że jeśli ktoś chce zdobyć władzę, to powinien po-

nią sięgnąć lub wyrwać ją z ręki przeciwnika. Tak jak on sam, kiedy jako wciąż „ten arogancki niepoważny młody” – któremu wciąż pamiętano, że w pierwszych latach po Okrągłym Stole i upadku PRL jako 30-letni liberal zanadto uwierzył w siebie – po przegranej walce o przywództwo w Unii Wolności, partii władzy przez pierwszą dekadę wolnej Polski, kopnął w stolik i powołał polityczny start-up o nazwie Platforma Obywatelska.

Spójrzmy na Nową Lewicę, która wydaje się wciąż walczącym o przetrwanie politycznym planktonem, cieniem dawnej socjaldemokratycznej potęgi, ale przecież pod różnymi nazwami – od Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, SdRP, czyli bezpośredniej spadkobierczynie PZPR, przez Sojusz Lewicy Demokratycznej – istnieje od 37 lat, miała wielu wyrazistych liderów, a po Włodzimierzu Czarzastym kierowanie partią może przejąć zarówno Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, jak i Krzysztof Gawkowski, czyli ministrowie młodego pokolenia.

Politycy KO – oprócz Tuska – nie rozumieją tłumy, źle się w nim czują, nie potrafią przemawiać i utrzymać uwagi. Z technokratami jest lepiej

To samo można powiedzieć o PiS: Kaczyński odda partię Czarnkowi lub Morawieckiemu, o ile nie wpadnie mu w oko ktoś z całego grona jeszcze młodszych, ambitnych 30-latków. A Tusk komu przekaże stery w Koalicji Obywatelskiej?

Teza, że partia Tuska nie wyciąga wniosków, może wydawać się krzywdząca. W końcu podziwignęła się po wielkiej smucie lat 2015-19, kiedy kolejni liderzy zrezygnowali, pozbawieni energii i charyzmy, sparaliżowani przytłaczającymi możliwościami, ale i energią rządzącego PiS, przegrywali kolejne wybory. Ale jak inaczej diagnozować ugrupowanie wystawiające w wyborach prezydenckich polityka, który przegrał wcześniej dokładnie te same wybory, więc druga strona zna jego wszystkie słabe strony. Jak oceniać partię, która po serii porażek wyciągnęła wnioski, sięgnęła po specjalistów oraz nowoczesny marketing internetowy – i wygrała z dysponującą całym aparatem państwa prawicą – ale zaraz o nich zapomniiała. Wróciła do dawnych nawyków i dopiero po kolejnych przegranych wyborach prezydenckich zaczyna na poważnie zajmować się ofertą dla młodych ludzi oraz oddaje Tik Toka w ręce młodych działaczy.

KO nie robi za wiele dla kluczowych – bo aktywnych w serwisach społecznościowych i kreujących atmosferę w wielkomiejskiej opinii publicznej, a co za tym idzie, wśród aspirujących do tego zwesternizowanego stylu życia ambitnych młodych z mniejszych miejscowości – grup wyborczych. Czyli dla młodej inteligencji, która nie ma za co dokończyć doktoratu, młodych małżeństw mieszkających kątem u rodziców, przeciążonych nauczycieli czy wzbogacających się rolników z pokolenia Zet.

Do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów docierają badania, które jasno pokazują, że u części wyborców zaczyna kielkować rozczarowanie. W KO wiedzą doskonale, że ministrowie i premier powinni część czasu spędzać w terenie. Ale tego nie robią, bo „wybory dopiero za dwa lata”.

Reakcje części najwierniejszych wyborców KO i starszych sympatyków samego Tuska na tego typu analizy są takie: autor to symetrysta, młodzi zapomnieli, jak było za PiS, wróć Czarnek z Ziobrą i Dominikiem Tarczyńskim, to zoba-

czycie, a w ogóle jak można ciągle czepiać się partii, która wbrew wszystkim okolicznościom wygrała z prawicowym populizmem i dała nam oddech przez piękne trzy lata. Po co ciągle krytykować premiera, który jest jednym z najciekawszych i na pewno najzdolniejszych polityków po 1989 roku.

Odpowiedź może być jedna: właśnie dlatego, żeby te trzy lata za rok zmieniły się w kolejne cztery. I żeby nie wrócili Czarnek z Ziobrą i Tarczyńskim. Albo, by odwołać się do dumnej nostalgii tych spośród wyborców KO, którzy budowali w Polsce zręby kapitalizmu, zakładali własne biznesy lub jako młodzi, nieobciążeni peerelem ludzie pomagali osadzać się w Polsce zachodnim firmom: każdy doświadczony Kierownik wie, że bez nowego pokolenia, i na pewno najzdolniejszych polityków oraz Rafał Trzaskowski.

KO ma dwóch polityków, którzy mogliby sprawnie kierować rządem i partią. Może nie najmłodszych, ale spełniających wszystkie warunki „bycia Czarnkiem”. To Radosław Sikorski oraz Rafał Trzaskowski.

Sikorski ma wiele zalet, ale – jak mówią mi politycy partii rządzącej – ma też zasadnicze wady. Z jednej strony jest błyskotliwy, elokwentny, zna języki i dobrze się prezentuje, co w czasach polityki sprowadzonej do krótkich filmików na portalach społecznościowych ma znaczenie. Ma też charyzmę, łapie kontakt z tłumem, skraca dystans, a jednocześnie potrafi nadawać ton debacie publicznej. Ale z drugiej strony potrafi niespodziewanie wybuchnąć, jak przy okazji ostatniej debaty w Sejmie, kiedy krzyknął – nawiązując do jednego z pierwszych skandali PiS po przejęciu władzy w 2015 roku, czyli zerwania kontraktu na francuskie śmigłowce bojowe przez nowego ministra obrony – do Antoniego Macierewicza: „świrze, gdzie są caracale? Gdzie są mistrale za 1 euro? Gdzie dowody na zamach smoleński?”.

Gorący zwolennicy rządu ucieszyli się, że w końcu ktoś nazwał rzeczy po imieniu. Ale wyzwiska na sali plenarnej nie były do tej pory znakiem rozpoznawczym Koalicji Obywatelskiej. A co gorsza, zagrzęziały w ustach polityka, który buduje mocno brytyjski wizerunek męża stanu i oryginała w jednym, kogoś z niedzisiejszą klasą i wyrastającego ponad przeciętność.

Inny przykład: przy okazji ewakuacji Polaków z krajów arabskich, Sikorski powiedział, że rząd nie będzie pomagał wrócić do ojczyzny tym rodakom, którzy wyjechali do Dubaju po rozpoczęciu przez Trumpa wojny z Iranem. Wspomnił, że Polacy powinni zapłacić za przelot i ewakuację do kraju, którą zorganizuje rząd. Kilka dni później Tusk musiał prostować słowa ministra i zapewnił, że rząd żadnego Polaka w razie potrzeby nie zostawi.

Lecz może właśnie Sikorski, który ma emplotę brytyjskiego arystokraty z popkulturowego wyobrażenia – takiego, co to nie waha się zapuścić do szemranej dzielnicy, zrzucić kaszmirowej marynarki i wyjść na ring z bokserem plebejem – jest najlepszym politykiem na nowe czasy?

Z kolei za Trzaskowskim ciągnie się porażka w wyborach prezydenckich – lecz nie z takich kłopotów wizerunkowych podnosili się politycy. Kaczyński miał nigdy nie wrócić do władzy po kompromitujących rządach z lat 2006-07, kiedy zawarł koalicję z awanturniczą chłopską Samoobroną i antyunijną, w prząsnym stylu bogoojczyźnianą Ligą Polskich Rodzin.

Trzaskowskiego wszyscy znają, ma poparcie ponad 10 milionów wyborców, jest sympatyczny, wygadany, mimo gęby – po części przyklejonej, po części zapracowanej – „paniczka Bązur” – umie wyjść do ludzi i z nimi swobodnie rozmawiać. Jest strawny i dla liberałów, i dla lewicy, i dla umiarkowanych konserwatystów. Ma unikalne doświadczenie dwóch kampanii: maratońskich objazdów kraju i wyczerpujących, wielogodzinnych spotkań z wyborcami, a za kulisami – godzenia skłóconych współpracowników, stawiania na swoim oraz chodzenia na kompromisy. I co najważniejsze: też ma charyzmę.

Zatem: kto będzie kandydatem na premiera w 2031 roku? ●

Religia dla liberałów

Chrześcijaństwo pozostaje ważnym źródłem moralnej wrażliwości: mówi o empatii, solidarności ze słabszymi, odwadze wobec hipokryzji. Znika wezwanie do pokory, uznania własnej słabości i niesądzenia innych.



Marcin Matczak

W tygodniu oscarowym nadrabiam zaległości i oglądam „Ministrantów” – laureata Złotych Lwów. Rozumiem, dlaczego wielu widzem ten film się podoba: młodzi ludzie przeciw instytucji, czyste sumienie przeciw hipokryzji, a dobro stoi po stronie tych, którzy demaskują zło.

I tu zaczyna się problem. Nagrody mówią często więcej o przyznających niż laureatach. Nagradza się wizję świata, które się popiera. I kapituła Złotych Lwów tak zrobiła. Nagrodziła wizję moralną, bliską humanizmowi. „Światopoglądowi opartemu na racjonalnym śmieszeniu, który wyraża się troską o potrzeby, szczęście, godność i swobodny rozwój człowieka”, jak tłumaczy Wikipedia, źródło informacji demokratycznie zaakceptowanej.

Przed wszystkim demaskacja

Humanizm jako alternatywa dla religii wybiera, co na przykład w takim chrześcijaństwie można zaakceptować, a co odrzucić. I „Ministranci” to robią: odrzucają skostniałą organizację Kościoła, by czynić dobro, którego w świecie proboszczów i zakłamanych dorosłych już czynić się nie da. Jak na dzieci oświecenia przystało, czytają Ewangelię po swojemu i wychodzi im na to, że zło trzeba złem zwyciężać.

I nie mówię tu o nagrywaniu ludzi w konfesjonale czy kradzieży pieniędzy z tacy. Choć Kant przekonuje, żeby człowieka nie traktować jako środek, w uniwersum tego filmu jasne jest, że arbitralnie uznany za dobry cel wiele środków uswięca. Mówię o moralnym cherry picking: swój rozum mam, więc sam wybiorę z moralności to, co uznaję za dobre.

Uznam, że chrześcijaństwo jest naprawiać ludzkie dusze, publicznie je kompromitując. Opublikuję nagranie ośmieszające dziewczynę, która innych ośmiesza nagraniami, wrzucę do torby złodziejki okulary, żeby ją przylapali na kradzieży, i sprowokuję przemocowego ojca, aby mnie pobił na oczach całego miasta – niech każdy widzi to zło.

Gdzie wady? – zapytacie. Ano w przekonaniu, że kompromitacja jest moralnie dobra i chrześcijańska. A to raczej kultura wstydliwej i publicznego napiętnowania. W tej wizji zło nie jest czymś, co trzeba uleczyć, lecz czymś, co trzeba wystawić na widok publiczny. Grzesznik ma zostać złamany, aby świat odzyskał równowagę.

Celem nie jest przemiana serca, bo w nią już nikt nie wierzy. Najważniejsza jest demaskacja; nie metanoja, lecz zawstydzenie. W tej logice człowiek staje się moralnie dobry nie dlatego, że pomaga drugiemu się zmienić, ale dlatego, że potrafi pokazać światu jego winę.

Łatwiej zostać sędzią

To podejście nawet na poziomie humanistycznym jest całkowicie bezsensowne. Świecka psychologia wie, że zawstydzenie najczęściej rodzi nie skruchę, lecz gniew i resentment. Upokorzenie nie naprawia więc świata.

A gdyby miało być chrześcijańskie, trzeba by w Ewangelii odnaleźć scenę, w której Jezus woła do siedzącego na drzewie Zachęsa: „Kurduplu, złaż mi tu zaraz i powiedz wszystkim, że ich okradasz!”. Nie mówiąc już o cudzołożnicy, którą chcą ukamienować faryzeusze: tu Jezus z pewnością pierwszy rzuciłby kamieniem, gdyby był ministrantem.

W tym filmie nie ma cudzołożników – kamera w konfesjonale nagrywa wyłącznie „grzeszne myśli” o sąsiedzie. Gdyby byli, byłby problem – no bo jak w tej logice napiętnować rozwiązłość? Publikując w salce katechetycznej pełne pikanterii nagranie? To niehumanistyczne naruszenie prywatności.

„Ministranci” chcą opowiedzieć historię o chrześcijaństwie, a kończą jako opowieść o pogańskiej moralności „oka za oko” i wierze w ideę oczyszczenia wspólnoty przez wygnanie kozła ofiarnego. W tej wizji potępienie daje natychmiastową satysfakcję moralną, staje się sygnalizowaniem cnoty.

„To co, mieli tolerować zło?” – powiecie. Nie. Może dlatego chrześcijańska wizja moralna jest tak niekompatybilna z nowoczesnym humanizmem, że wymaga wyrażenia: potępienia grzechu bez potępienia grzesznika.

Dlatego założyciel chrześcijaństwa zmienia Zachęsa nie przez demaskację, lecz przez relację. Nie upokarza go publicznie, ale zaprasza do stołu. Tak samo z cudzołożnicą – „ja ciebie nie potępiam” i ludzie odchodzą, a mechanizm moralnego linczu się rozpada. Nie dlatego, że zło przestaje być złem, lecz dlatego, że każdy z nich zobaczył je najpierw w sobie. W „Ministrantach” ta scena wyglądałaby inaczej. Bo oni bardziej przypominają, niestety, faryzeuszy.

Problem w tym, że w czarno-białym świecie niewielu chce wejść w relację ze złodziejką, hejterem czy przemocowcem. Trudno przyznać, że humanistyczna moralność nie wierzy w przemianę. O wiele łatwiej zostać sędzią. Pewnie dlatego to chrześcijaństwo „Ministrantów” sądzi, choć samo pewnie nie chce być sądzone.

Indywidualna intuicja dobra

Nadzieję daje reżyser, który w jednym z wywiadów mówił, że to religijność naiwna, wręcz komiksowa. To by oznaczało, że ma świadomość karykatury chrześcijaństwa. Sygnalizują ją słowa bohatera: „Zobaczyl i uwierzyl”, które są przecież odwrotnością oryginału.

Ale proboszcz mówiący do tegoż bohatera: „Nie pasujesz tutaj”, sugeruje coś innego – to zdanie Wielkiego Inkwizytora z „Braci Karamazow” kierowane do Jezusa, a więc wskazujące, kto jest prawdziwym chrześcijaninem. I krytycy chyba tej karykatury nie dostrzegli. Tomasz Raczek mówi, że bohaterem tego filmu jest dobro. „Tygodnik Powszechny” pisze, że „młodziutcy buntownicy wzięli sobie całkiem na serio przesłanie Ewangelii”, jeszcze ktoś inny uważa, że to film o „przykazaniu miłości”.

Myślę, że „Ministranci” zostali nagrodzeni, bo dobrze wpisują się w popularną wizję religii dla liberałów. Chrześcijaństwo pozostaje w niej ważnym źródłem moralnej wrażliwości: mówi o empatii, solidarności ze słabszymi, odwadze wobec hipokryzji. Znika natomiast wezwanie do pokory, uznania własnej słabości i niesądzenia innych. Króluje indywidualna intuicja dobra.

Ta intuicja łatwo zamienia się w narzędzie potwierdzania własnej racji. Człowiek przestaje pytać, czy sam potrzebuje przemiany – zaczyna demaskować cudze błędy. I w tym sensie „Ministranci” są filmem ważnym. Choć gdyby tak go odczytano, nie wiem, czy zostałby nagrodzony. ●

ŚWIAT



Mężczyźni w niemodnych spodniach kontra naród

W ich lokalach Iranka może zdjąć chustę i wypić drinka.
Kim są Strażnicy Rewolucji, którzy zepsuli plan Trumpa?



◀ **Strażnicy Rewolucji na pro-palestyńskim wiecu Al-Kuds, tzw. Dniu Jerozolimy w Teheranie (29.04.2022)**

FOT. PACIFIC PRESS/GETTY IMAGES



Ludwika Włodek

• socjolożka i reporterka, od ponad 20 lat zajmuje się regionem Iranu, Afganistanu i Azji Środkowej. Wydała:

„Pra. O rodzinie lwaskiewiczów”, „Wystarczy przejść przez rzekę” (opowieść o Azji Środkowej od carskiej kolonizacji i sowieckich podbojów do czasów po rozpadzie ZSRR), „Cztery sztandary, jeden adres. Historie ze Spisza” oraz „Gorsze dzieci Republiki. O Algierczykach we Francji”.

Jej ostatnia książka, **„Buntowniczk z Afganistanu”**, opowiada m.in. o konsekwencjach amerykańskiej interwencji w Afganistanie. Wszystkie książki dostępne także w formie e-booków na Publio.pl.



mu. Modżtaba Chamenei od dawna blisko z nią współpracował. Jeszcze w 2009 roku koordynował w imieniu ojca organizowane przez gwardzystów krwawe tłumienie antyrządowych protestów.

Formalnie Gwardia Rewolucyjna nie powinna mieć żadnego wpływu na wybór Najwyższego Przywódcy. Dlaczego miała?

Gwardia Rewolucyjna powstała jako siła zbrojna mająca chronić zdobycze islamskiej i ludowej rewolucji. Ścisłe podporządkowana Najwyższemu Przywódcy, od początku cieszyła się stuprocentowym zaufaniem ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego.

Dziś jej funkcje daleko wykraczają poza zadania militarne. Za granicą wspiera sojuszników reżimu ajatollahów i zwalcza jego wrogów. W kraju wpływa na decyzje polityczne i nadzoruje aparat terroru wymierzony przeciwko krytykom reżimu.

A do tego kontroluje znaczną część irańskiej gospodarki. Zarabia na infrastrukturalnych kontraktach państwowych, przyznawanych otwarcie jej wyodrębnionym firmom lub skrycie jej byłym dowódcom i oficerom prowadzącym własne przedsiębiorstwa. Kontroluje szarą strefę, w tym przemysł zakazanych w Iranie dóbr, takich jak alkohol i narkotyki. Chroni i otacza protekcją biznesy swoich członków i sympatyków oraz ich rodzin, a od obcych wymusza haracze albo usuwa ich z branży jako niebezpieczną konkurencję.

W takim systemie pieniądze załatwiają wszystko. Bogaci, których stać na łapówki, mogą pić alkohol i uprawiać pozamałżeński seks. A najbogatsi są właśnie ludzie związani z Sepah, bo im najłatwiej robić interesy i obchodzić oficjalne zakazy. Mają wille nad Morzem Kaspijskim, nieruchomości w Dubaju i w Londynie oraz konta w szwajcarskich bankach.

Dekret o ustanowieniu *Sepah-e Pasdaran-e Enghelab-e Islami*, czyli, dosłownie tłumacząc, Armii Strażników Rewolucji Islamskiej wydał sam ajatollah Chomeini. Zrobił to 5 maja 1979 roku, niecałe trzy miesiące po przejęciu władzy w Iranie i pięć tygodni po referendum, w którym blisko 99 procent głosujących Irańczyków opowiedziało się za ustanowieniem Republiki Islamskiej.

Gwardia miała czuwać, żeby siły starego reżimu nie próbowały wrócić do władzy, czyli, innymi słowy, zapobiegać kontrewolucji. Zarówno tej organizowanej przez ewentualną krajową lub emigracyjną piątą kolumnę, jak i tej zorganizowanej przez siły zewnętrzne, czyli mocarstwa, którym nie w smak było obalenie szacha zapewniającego – zwłaszcza Amerykanom – dostęp do ropy i lukratywne kontrakty.

Pasdarani, czyli Strażnicy, mieli przypominać ochotnicze bojówki obywatelskie, współpracować z tradycyjną armią, doskonalić się we własnych szeregach oraz nieść kaganek rewolucji islamskiej innym uciśnionym muzułmanom na świecie.

Mandat Gwardii Rewolucyjnej potwierdziła zaakceptowana w ogólnonarodowym referendum, w listopadzie tegoż roku, konstytucja Republiki Islamskiej.

Artykuł 150 głosi: „Korpus Strażników Rewolucji Muzułmańskiej, który powstał w pierwszych dniach zwycięstwa Rewolucji, działa dla wypełnienia swojego programu, stoi na straży Rewolucji i jej zdobyczy”.

Kolejny artykuł, 151 cytuje werset Koranu: „Przygotujcie przeciwko nim, ile możecie sił i oddziałów konnicy, którymi moglibyście przerazić wroga Boga wroga waszego, jak również innych, którzy są poza nimi, a których wy nie znacie, ale Bóg ich zna” i stwierdza, że rząd jest zobowiązany stworzyć obywatelom możliwość przeszkolenia wojskowego, tak aby naród był zdolny bronić Republiki Islamskiej.

To właśnie na podstawie tego zapisu stworzono paramilitarne bojówki basidżich, które od 2007 roku są bezpośrednio podporządkowane Gwardii Rewolucyjnej.

Rola Gwardii Rewolucyjnej w systemie militarnym, politycznym i gospodarczym Islamskiej Republiki Iranu szybko ewoluowała.

Początkowo organizacja była wykorzystywana do tłumienia separatystycznych buntów, które niedługo po rewolucji wybuchały w nieirańskich etnicznie regionach. Gwardziści zostali wysłani przeciwko rebeliom Kurdów, Beludżów i Turkmenów.

Odegrali także ważną rolę w zwalczaniu niedysyjszych sojuszników Chomeiniego przy obaleniu reżimu szacha, którzy jednak na tyle różnili się od niego ideologicznie, że Najwyższy Przywódca, gdy tylko umocnił władzę, postanowił się ich pozbyć. Komuniści i socjalistyczno-religijni, antymonarchistyczni i antykolonialni Mu-

dżahedini Ludowi, najpierw tysiącami trafili do więzień, a następnie zostali wymordowani bądź zmuszeni do emigracji. Logistycznie całą operację przeprowadziła właśnie Sepah, wzorując się na metodach zniechędzonej SAVAK, tajnej policji szacha, jednak znacznie je udoskonalając.

W lecie 1980 roku nieokrzepłą jeszcze Republikę Islamską Iranu zaatakował sąsiedni Irak. Okrutna wojna trwała osiem lat, pochłonęła setki tysięcy ofiar.

Wielu irańskich komentatorów uważa, że to właśnie fanatyczna gorliwość gwardzystów sprawiła, że Iran nie zadowolili się odparciem ataku Saddama Husajna, a dał się wciągnąć w krwawą, wieloletni konflikt. Inni podkreślają, że wojna wiązała siły regularnej armii, co pozwoliło Gwardii zwiększyć wpływy polityczne w kraju, który jednocześnie rozprawiał się z wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym.

Pod koniec lat 80., po śmierci Chomeiniego, znaczenie polityczne Pasdaranów wyraźnie spadło. Czystki wewnętrzne ustały, skończyła się wojna z Irakiem. Świeżo wybrany nowy najwyższy przywódca, Ali Chamenei, nie był jeszcze pewien swojej siły, a uchodzący za pragmatyka prezydent Haszemi Rafsandżani skupił się na powojennej odbudowie kraju.

To wtedy właśnie zaczęły się jednak umacniać wpływy gospodarcze Gwardii. Uznano, że doświadczenie inżynieryjne i organizacyjne zdobyte w czasie wojny z Irakiem predestynuje jej specjalistów także do wykonywania projektów związanych z cywilną infrastrukturą. Gwardia zaczęła brać udział w budowie tam, mostów, linii kolejowych i dróg. Była obecna w sektorze transportowym i naftowym. Z czasem powierzono jej także wzbogacanie uranu i produkcję maszyn. Dziś jest korporacją, tak wielobranżową, że prowadzi nawet kliniki chirurgiczne.

Pieniądze i kolesiostwo stanowią mocniejsze spoiwo dla irańskiego reżimu niż fanatyzm religijny, czy wywołany izraelsko-amerykańską napaścią patriotyzm

W jej ramach utworzono firmę inżynieryjno-deweloperską nazwaną szumnie Centrum Budowlanym imienia Pieczęci Proroka, zwaną czasem od perskiego skrótu nazwy po prostu GHORB.

Nieco obok Gwardii, ale pod jej pełną kontrolą, powstały też dwie teoretycznie charytatywne fundacje: Bonjad Mostazafan, czyli Fundacja Uciskanych, mająca trudnić się pomocą najbiedniejszym, i Bonjad Szahid w Omur-e Dżanbazan, czyli Fundacja do spraw Męczenników i Weteranów. Dziś to największe fundacje w Iranie, kontroluje je bezpośrednio Najwyższy Przywódca, a przez ich projekty przewalają się miliony dolarów.

W drugiej połowie lat 90., w czasie rządów kolejnego prezydenta, reformatorsko nastawionego Mohammada Chatamiego, wokół Pasdaranów skupiły się środowiska konserwatywne, niezadowolone z jego polityki liberalizacji. W czasie protestów studenckich 1999 roku grupa kilkudziesięciu dowódców Gwardii wysłała oburzony list do Chatamiego, grożąc, że jeśli nie weźmie się za demonstrantów, sami się nimi zajmą.

Protesty w końcu stłumiono, Chatami stracił w oczach tej części społeczeństwa, która pokładała w nim nadzieję na liberalizację systemu, ale stronnictwo radykalno-konserwatywne znacznie się wzmocniło.

W rezultacie w kolejnych wyborach prezydenckich, w 2005 roku, polityczna reprezentacja ludzi wywodzących się ze środowisk Sepahu była nad wyraz mocna. Aż trzech kandydatów to byli jej weterani. Startował przede wszystkim wieloletni dowódca Gwardii, stojący na jej czele od 1981 do 1997 roku Mohsen Rezaei. Jego kontrkandydatem był niedysyjszy generał Pasdranów Mohammad Baqer Qalibaf, a także były wysoko postawiony oficer Gwardii Ali Laridżani. Ostateczny zwycięzca – Mahmud Ahmadineżad – także służył w Gwardii. Uważa się, że zwycięstwo w wyborach dało mu masowe poparcie członków paramilitarnych bojówek, basidżich.

To za prezydentury Ahmadineżada i nie tylko z jego przyzwoleniem, ale i z wyraźną pomocą, Gwardia Rewolucyjna zaczęła budować swoją dzisiejszą pozycję w pań-

stwie. Jesienią 2007 świeżo mianowany przez Najwyższego Przywódcę nowy dowódca Gwardii, Mohammad Ali Dżafari przyznał, że jego formacja będzie brała aktywny udział w życiu politycznym Iranu. Potwierdził też, że jej głównym celem będzie walka z wewnętrznymi wrogami systemu. Właśnie temu służyło ściśle podporządkowanie milicji basidżich zwierzchnictwu Gwardii.

Jak te zadania mają być realizowane w praktyce Irańczyk, przekonali się już w czerwcu 2009 roku.

W wyborach prezydenckich siły liberalne i proreformatorskie reprezentowało dwóch byłych dostojników reżimu – wieloletni premier Mir Hosejn Musawi i wieloletni przewodniczący parlamentu Mehdi Karubi. Po czterech latach rządów radykała Ahmadineżada wydali się Irańczykom najlepszą odtrutką na propagandę nienawiści i prowokacyjne zachowanie w polityce zagranicznej. Byłam wtedy w Iranie i widziałam, jak już przed dniem głosowania ulice Teheranu zmieniały się w radosny festiwal: ubrani na zielono zwolennicy Mir Hosejna Muswiego tańczyli i śpiewali z przebranymi w stroje irańskich mniejszości narodowych sympatykami Karubiego.

Wszystko zmieniło się po południu, w dzień głosowania. Wylącono sygnał z telefonów komórkowych, a sztabu obu kandydatów otoczyły oddziały Gwardii. W nocy, gdy zaczęły spływać pierwsze wyniki wyborów, rozległy się pierwsze strzały. W grupce protestujących pod ministerstwem spraw wewnętrznych padli pierwsi zabici. Rano państwowe media podały, że wybory wygrał Ahmadineżad, w co zwolennicy liberalizacji nie chcieli uwierzyć. Przez wiele dni mieszkańcy stolicy wychodzili na wiece. Formowali ciągnące się kilometrami pochody, skandowali hasła o kłamstwie i ukradzionych wyborach.

Jedynym co było w stanie skłonić część demonstrujących do rozproszenia się, był rozlegający się w tłumie pomruk: sepah, sepah, oznaczający, że nadciąga Gwardia.

Jej nadejście poprzedzało pojawienie się *le-bos szachi*, dosłownie „ubranych po cywilnemu”, czyli właśnie basidżów. Nawet gdy szli piechotą, a nie jechali na motocyklach, łatwo było na pierwszy rzut oka odróżnić ich od kolorowego tłumu demonstrantów. Brodaci, poważni mężczyźni ubrani w ciemne stroje, najczęściej spodnie jak od garnituru, brzydkie swetry lub zapięte pod szyję koszule i kurtki z prochowca, jakie w Polsce noszą emeryci na wiosnę i jesienią. Wyglądali dokładnie tak, jak ich idol Ahmadineżad, którego wygranej mieli bronić. Byli zdeterminowani i bezwzględni.

A gdy nie wystarczali ich pałki i wyzwiska, wkraczali snajperzy. Przemoc wobec demonstrantów się nasilała. Po wielu tygodniach demonstracje zostały krwawo stłumione. Gwardia Rewolucyjna i podporządkowani jej basidżi wywiązali się z powierzonego zadania.

Poświęcony wzrostowi znaczenia Pasdaranów raport RAND – czołowego amerykańskiego think-thanku zajmującego się polityką, bezpieczeństwem, sprawami międzynarodowymi, technologiami i badaniami naukowymi – cytuje pochodzącego z Iranu naukowca, który stwierdza, że Gwardia jest „jedyną instytucją w Iranie, która może jednocześnie ustanawiać i przekraczać wszystkie czerwone linie”.

Z kolei jeden z jej pomysłodawców i założycieli, Mohsen Szagara, który w 2003 roku wyjechał z Iranu i na Zachodzie rozpoczął działalność jako krytyczny wobec reżimu komentator, nazwał Gwardię organizacją inną niż wszystkie. „Jest jak Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, KGB, kompleks biznesowy i mafia jednocześnie” – stwierdził.

Sepah-e Pasdaran ma zdolne do szybkiej reakcji jednostki w całym kraju. Składa się na nie ponad 200 tysięcy żołnierzy. Jest ich mniej niż członków regularnej armii, ale są lepiej wyszkoleni i uzbrojeni. Gwardia ma swoje wojska lądowe, marynarkę i lotnictwo. Ponad-

to zarządza paramilitarnymi basidżami, których można w razie potrzeby zmobilizować nawet 600 tysięcy.

Jak efektywna to siła, pokazała pacyfikacja ostatnich, styczniowych demonstracji. Żeby w parę dni zabić co najmniej 7 tysięcy, a być może kilkakrotnie więcej ludzi, potrzeba świetnej logistyki. Gwardia jest w tym dobra. Zdesperowanych demonstrantów udało się zastopować nie tylko dzięki masowym mordom. Także dzięki aresztowaniom i zastraszaniu. Tym też zajmowali się Pasdarani i podlegli im basidżi.

Jak to zastraszanie wygląda, opowiada mój znajomy, Mani, Irańczyk mieszkający w Europie: – Kiedy wreszcie udało mi się dodzwonić do kuzyna, relacjonował mi, że zatrzymywano całe wagony metra. Wychodzącym przeglądanymi telefony. Ci, u których znaleźli jakieś antyreżimowe materiały: zdjęcia z demonstracji, memy, posty z serwisów społecznościowych, byli kierowani od razu do więzienia. Mój kuzyn też tam trafił razem z kilkoma kolegami. Wszyscy zapłacili wysokie łapówki i po kilku dniach wyszli na wolność.

Ta relacja tylko potwierdza, że pieniądze w Islamskiej Republice Iranu mogą zdziałać bardzo wiele.

Gwardia to, co zarobi, wydaje na prywatny dobrobyt dowódców, ale także na kupno broni oraz rozwój swoich możliwości technologicznych, wsparcie weteranów i ich rodzin, a przede wszystkim na korumpowanie autoritetów politycznych i religijnych, żeby nie sprzeciwiali się wzrostowi ich potęgi.

Gdyby Iran zrezygnował nagle z eksportu rewolucji, wspierania szyickich bojówek i organizacji terrorystycznych w regionie oraz przestał prześladować własnych obywateli w kraju, Gwardia straciłaby rację bytu. Im więcej konfliktu i konfrontacji, tym wydaje się bardziej potrzebna.

Teraz Gwardia Rewolucyjna zaskakująco dobrze radzi sobie z izraelskimi i amerykańskimi bombardowaniami. Kontroluje irański arsenał rakiet balistycznych i blokadę cieśniny Ormuz. Jej małe i zwrotne łodzie nadal pływają po wodach Zatoki Perskiej, podczas gdy tradycyjna marynarka Iranu została zniszczona w czasie pierwszych dni wojny.

W czasie pokoju to właśnie te sprawne i zwrotne stateczki Gwardii służyły jej członkom do czerpania zysków z przemytu, także alkoholu i narkotyków.

Oficjalnie ich zadaniem jest go udaremniać. W praktyce na używkach zakazanych przez państwo i religię bogacą się na jak nikt inny w kraju. Po raz pierwszy na światło dzienne tę nielegalną aktywność gwardzistów wyciągnął kilkanaście lat temu Mehdi Karubi. Sprawę próbowało nagłośnić kilku posłów do parlamentu. Nic jednak nie udało się oficjalnie udowodnić. Gwardia jest nie tylko mistrzynią w naginaniu reguł, które sama egzekwuje od innych, ale także do perfekcji opanowała zapewnianie sobie bezkarności. Jej dowódcy mądrze dzielą się zyskiem tak z podwładnymi, jak i z najwyższymi oficjelami reżimu.

– W młodości – opowiadał mi Ayen Ghobadi, tłumacz z polskiego na perski, od czterech lat mieszkający w Polsce – miałem dwóch kolegów, o których wszyscy wiedzieli, że ich bliscy są w Sepah. W święta związane z rewolucją islamską całą rodziną wychodzili z flagami, odświętnie ubrani. Byli zamożni, dobrze ustawieni i za żadne skarby nie chcieli się przyznać do związków z Gwardią Rewolucyjną. Kiedyś jeden z nich nawet na siłę pił z nami bimbier, żeby nam udowodnić, jaki z niego buntownik.

To ostatnie, paradoksalnie, mogło jeszcze tylko wzmocnić podejrzenia, że dwaj młodzi ludzie byli rodzinnie związani z Sepah. A to dlatego, że w Iranie tylko osoby, które mają mocne polityczne plecy, pozwalają sobie na otwarte łamanie zakazów w życiu codziennym. Z tych samych powodów najbardziej liberalne lokale w mieście to właśnie te, które mają



FOT. REUTERS/ROHOLLAHVAHANI

Nowy Najwyższy Przywódca nie spełnia najlepiej prawnych kryteriów. Modżtaba Chamenei nie jest specjalistą od islamskiego prawa ani charyzmatycznym przywódcą, miał zaledwie tytuł hodźdżatol eslam. Ale jest faworytem Strażników Rewolucji

parasol – czuwa nad nimi dobry znajomy czy krewny w Gwardii.

– W Teheranie są knajpy, gdzie można sobie zamówić dowolnego drinka z alkoholem, a kobietom bez chust na głowach nikt nie zwraca uwagi – opowiadał Ayen. – Oczywiście tych napojów nie ma w menu, ale dobrze poinformowani goście wiedzą, że są dostępne. Zwykły właściciel kawiarni nie pozwoliłby gościom łamać przepisów Islamskiej Republiki, bo gdyby wpadł do niego patrol moralności i nakrył klientki bez chustek albo obściskujące się pary, mogliby mu zamknąć lokal na kilka tygodni pod byle pretekstem. Za alkohol musiałby się najprawdopodobniej w ogóle pożegnać z interesem. Ale jak masz wysoko postawionych przyjaciół, jesteś spokojny.

Jak gwardziści dbają o swoich i jak ich protekcja otwiera każde drzwi, naświetla inna historia z otoczenia Ayena. Jego znajomy założył warzywniak. Zaczynał od wózka z ogórkami i cebulą. Po kilku miesiącach zbudował budkę. Super mu szło, zaczął mieć stałych klientów, ale po jakimś czasie pojawiły się kontrole. A to sanitarna, a to podatkowa. W końcu usłyszał, że bez zezwolenia lokalnych władz nie może dłużej prowadzić sklepu. Złożył stosowne podanie, ale zezwolenia nie dostał. Musiał zamknąć interes. Jeszcze zanim do tego doszło, zrozumiał dlaczego. Na końcu ulicy podobny sklepik otworzył były członek basidżich. Jego nikt nie nękał ciągłymi kontrolami, a władze miejskie bez problemu dały mu zezwolenie.

Dziś pieniądze i kolesiostwo stanowią zdecydowanie mocniejsze spoiwo dla irańskiego reżimu niż fanatyzm religijny czy nawet wywołany izraelsko-amerykańską napaścią efekt flagi, czyli rozbudzony patriotyzm i duma narodowa u ludzi niekoniecznie przychylnych ajatollahom. Ale to nie znaczy, że Gwardia Rewolucyjna odpuściła sferę propagandy. Wręcz przeciwnie. Kontroluje agencje informacyjne, wydaje własne gazety, sponsoruje think-thanki. Ma swoich ludzi w radiu, w telewizji, w redakcjach gazet, w ministerstwie kultury i islamskiego przewodnictwa, na uniwersytetach.

Rokrocznie organizuje obozy treningowe dla basidżów. Dla wielu młodych ludzi udział w takim szkoleniu to prawdziwa przygoda, możliwość spędzenia wakacji niedrogo i aktywnie, jednocześnie szansa na awans społeczny. Korzyści z uczestnictwa w szkoleniach to ważny wabik – z zaświadczeniem, że się je odbyło, łatwiej dostać kredyt albo stypendium na studiach.

Zresztą na uniwersytetach – które w każdym reżimie autorytarnym stają się siedliskami niezależnego myślenia – też aktywnie działają kontrolowani przez pasdaranów basidżi. Założyli własną organizację studencką. Jej członkowie zajmują się dyscyplinowaniem nieprawomyślnych kolegów i koleżanek. W 2009 roku studenci opowiadali mi, jak aktywiści basidżów wywołali awanturę w akademiku, która posłużyła za pretekst do zamknięcia go na wiele dni i tym samym pozbycia się ewentualnych buntowniczo nastawionych studentów z miasta w czasie, gdy trwały antyrządowe protesty.

Raport RAND cytuje basidżę, który opowiada, w jaki sposób zawstydzają nieprawomyślnych kolegów: „Najpierw nawiązujemy kontakt wzrokowy. Niech złoczyńca wie, że robi coś złego. Jeśli rozumie swój błąd, to okej, zostawiamy go w spokoju. Jeśli nie, wzywamy go na rozmowę. Jeśli to nie pomaga, przechodzimy do działania...”.

Rozmówca RAND nie dokończył zdania. Ja wiem od moich irańskich znajomych, co może być dalej. Telefon do bliskich będący mieszaniną donosu i groźby działa, zwłaszcza jeśli delikwent pochodzi z biednej, zastraszonej rodziny z prowincji. A jeśli nie podziela, jest wspólna wizyta w rektoracie, niszczenie mienia, czasem zwykłe intrygantwo. Na prawie każdego można znaleźć sposób. Tego też uczą w czasie letnich obozów szkoleniowych.

RAND podkreśla, że wszechobecność Gwardii Rewolucyjnej i związanych z nią ludzi w irańskim systemie niekoniecznie znaczy, że jest zwartą grupą, zwłaszcza ideowo. Byłymi gwardzistami są tak różni polityczni gracze jak Mohesen Rezaei, Ali Laridżani czy Mohammad Bagher Ghalibaf. Każdy z nich zajmował i nadal zajmuje ważne stanowiska państwowe – Rezaei jest członkiem Rady Rozróżniania Interesu Państwa, która zajmuje się rozstrzyganiem sporów kompetencyjnych pomiędzy organami władzy, Laridżani przez wiele lat był przewodniczącym Islamskiego Zgromadzenia Konsultatywnego, czyli parlamentu, nadzorował państwowe radio i telewizję, a ostatnio został sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Ghalibaf, były wieloletni burmistrz Teheranu, teraz kieruje parlamentem – ale ich poglądy na to, jak należy rządzić Islamską Republiką, mocno się różnią. Wzajemna antypatia technokracji i świetnie wykształconego filozofa z wpływowej rodziny, jakim jest Laridżani i proste go self-made mana w stylu trybuna ludowego, czyli Ahmadineżada, to tajemnica polityczna.

„Gwardia Rewolucyjna to klub wspólnych doświadczeń. Przynależność do niej nie przesądza o konkretnych poglądach politycznych i wizji ideologicznej. Zarówno Laridżani jak i Ahmadineżad byli w Gwardii, a ich poglądy polityczne i styl uprawiania polityki bardzo się różnią” – pisali autorzy raportu RAND.

Ale tak było kilkanaście lat temu. W państwie, jakim dziś stał się Iran, gdzie ideologia dawno stała się mniej ważna niż władza i pieniądze, różnice światopoglądowe mogą nie mieć już takiego znaczenia. Liczy się zachowanie stanu posiadania i pomnażanie go. A tu akurat technokratów, ideowców i pragmatyków łączy wspólny interes. Ich państwo i ich ideologia – to silna militarnie i dominująca w gospodarce Gwardia.

W zaatakowanym z zewnątrz i militarnie zującym się w odpowiedzi kraju jej siła może tylko wzrosnąć. Nie wróży to dobrze pragnącemu wolności Irańczykowi. ●

Czy NATO powinno wspierać USA w wojnie z Iranem?

Trump i tak zapomni

Przy obecnym tempie zużycia broni, amunicji, sprzętu wojskowego i zakresie działań logistycznych Donald Trump wyda na Bliskim Wschodzie w trzy miesiące tyle, ile USA wydały przez trzy lata na wsparcie Ukrainy.

Applebaum



Donald Trump nie myśli strategicznie, historycznie, geograficznie ani nawet bieżąco racjonalnie. Nie łączy działań podejmowanych jednego dnia z wydarzeniami, które mają miejsce tygodnie później. Nie zastanawia się, jak jego zachowanie w jednym miejscu wpłynie na zachowanie ludzi w innych miejscach. Nawet nie za pół roku, ale jutro i pojutrze. Nie mówiąc już o braniu odpowiedzialności, gdy jego decyzje okazują się błędne.

Prezydent USA funkcjonuje inaczej. Działa pod wpływem kaprysu i impulsu, a gdy zmienia zdanie – czyli gdy odczuwa nowe kaprysy i impulsy – po prostu kłamie na temat wszystkiego, co powiedział lub zrobił wcześniej.

Przez ostatnie 14 miesięcy niewielu zagranicznych przywódców było w stanie przyznać, że ktoś tak kompletnie bez strategii, bez zdolności łączenia kropek, może być prezydentem USA.

Z pewnością – szepotali analitycy polityki zagranicznej – Trump myśli, tylko inaczej. Wylamuje się ze schematów, kieruje intuicją, nie logiką, wydaje się chaotyczny, ale to, co wygląda na niezbórne reakcje, jest w jakiś sposób celowe.

Z pewnością – szepotali zagraniczni mężowie stanu – kieruje się jakimś wzorcem, planem. A przynajmniej jakąś ideologią. W najgorszym razie – własnym, wąsko pojmowanym interesem. Ale ma jakiś plan, ogólne cele czy wizję prezydentury. Rzucano słowami – izolacjonizm, imperializm, doktryna Monroe’a – próbując umieścić jego działania w kontekście historycznym. Pisano artykuły o strategicznym, np., surowcowym, politycznym znaczenia Grenlandii, jakby zainteresowanie Trumpa wyspą nie wynikało wyłącznie z faktu, że wygląda ona na bardzo dużą na rzucie Merkatora.

Ale w tym tygodniu coś pękło. Być może Trump nie rozumie związku między przeszłością a teraźniejszością, ale inni ludzie tak. Widzą, że w wyniku decyzji, które podjął, ale nie potrafi ich wyjaśnić, cieśnina Ormuz jest zablokowana przez irańskie miny i drony. Widzą wzrost cen ropy na świecie i rozumieją, że dla amerykańskiej marynarki rozwiązanie o problemu jest trudne mimo całej jej potęgi.

A teraz widzą, że prezydent USA robi to, co zawsze, kiedy wpakuje kraj i siebie w kłopoty: próbuje zmusić innych do wzięcia współodpowiedzialności – ich też pakując w kłopoty – i grozi, co to nie będzie, jeśli nie przyjdą z pomocą.

NATO stoi w obliczu „bardzo złej” przyszłości, jeśli nie pomoże w oczyszczeniu cieśniny – stwierdził Trump, najwyraźniej zapominając, że NATO to właśnie on – gdyż to Stany powołały tę organizację i przewodzą jej od momentu jej powstania w 1949 roku.

Oznajmiał też, że nie prosi o pomoc, lecz ją nakazuje siedmiu krajom. Nie sprecyzował, którym, ale przynajmniej wyjaśnił, czego oczekuje. „Domagam się, aby te kraje przybyły i chroniły swoje terytorium, bo to jest ich terytorium” – powiedział reporterom na pokładzie Air Force One w drodze z Florydy do Waszyngtonu. „To stamtąd czerpią energię”. Tyle że to nie jest ich terytorium i to jego wina, że ich „energia” jest blokowana.

Ale w umyśle Trumpa wszystko jest spójne i groźby są uzasadnione: ma teraz problem, więc chce, aby inni go rozwiązali. Zupełnie jak przez dekady w jego interesach.

Wydaje się, że nie pamięta ani nie obchodzi go, jak doprowadził do tej sytuacji, co powiedział przywódcom tych krajów w zeszłym miesiącu, roku i w poprzedniej kadencji. Nie przejdzie mu przez głowę, że jego poprzednie decyzje wpłynęły na opinię publiczną w tych krajach lub zaszkodziły ich interesom.

Natomiast przywódcy i mieszkańcy tych krajów pamiętają:

- że przez 14 miesięcy prezydent nakładał na nich losowo i zdejmował cła, chwiejąc ich gospodarkami, wyśmiewał ich obawy dotyczące bezpieczeństwa i wielokrotnie publicznie obrażał.
- Pamiętają, że Trump wyśmiał Kanadę, nazywając ją „51. stanem”, a obecnego i poprzedniego premiera Kanady nazwał „gubernatorem”;
- że z wyższością twierdził, iż wojska sojusznicze w Afganistanie pozostawały trochę z tyłu poza linią frontu”, obrażając rodziny żołnierzy, którzy zginęli, walcząc daleko od domu, kiedy NATO powołało się na artykuł 5. Traktatu Północnoatlantyckiego w imieniu USA. W historii Sojuszu to był jedyny przypadek powołania się na zapis o sojuszniczym wsparciu w razie napaści na któregoś z członków – właśnie na wezwanie Ameryki, zaatakowanej 11 września 2001 r. w Nowym Jorku przez Al-Kaidę, której liderom afgańscy talibowie udzielili schronienia;
- że nazwał Brytyjczyków „naszym niegdyś wielkim sojusznikiem” po tym, jak odmówili udziału w początkowym ataku na Iran.
- I że kiedy na początku marca w poczuciu transatlantyckiego zobowiązania i starej przyjaźni jednak rozmawiali o wysłaniu brytyjskich lotniskowców do Zatoki Perskiej, wyśmiał ten pomysł w serwisach społecznościowych: „Nie potrzebujemy ludzi, którzy dołączają do wojen po tym, jak już wygraliśmy!”.
- I pamiętają, że dziś domaga się czegoś, czego sam nigdy nie zamierzał zrobić i to dobitnie komunikował.

Już w styczniu 2020 roku Trump powiedział kilku europejskim urzędnikom, że „jeśli Europa zostanie zaatakowana, nigdy wam nie pomożemy i was nie wesprzemy”. A w lutym 2025 roku powiedział prezydentowi Ukrainy Wołodomyrowi Zelenskiemu, że on również nie ma prawa oczekiwać wsparcia, ponieważ „nie macie żadnych kart”.

Czasami brzydkie słowa przerażały się w coś gorszego. Już przed drugą inauguracją prezydent elekt zaczął sugero-

wać, że nie wyklucza użycia siły w celu aneksji Grenlandii, terytorium Danii, bliskiego sojusznika w NATO – tego samego NATO, które teraz wzywa na pomoc w wojnie, którą rozpętał.

Początkowo wydawało się to żartem, lecz w styczniu br. jego publiczne i prywatne komentarze, których liczba i ton wywierały presję, przekonały Duńczyków, że muszą przygotować się na amerykańską inwazję. Duńczycy rozważali, czy ich wojsko ma zestrzelić amerykańskie samoloty, zabić amerykańskich żołnierzy i jakie będą tego konsekwencje – a byłoby oplakane, włącznie z zabiciem ich samych w amerykańskim odwecie.

Ćwiczenie tak wyczerpujące, że niektórzy wciąż to przeżywają. Kilka tygodni temu, kiedy Trump dawno zapomniał o Grenlandii, w Kopenhadze pokazano mi aplikację podpowiadającą użytkownikom, które produkty są amerykańskie, aby wiedzieli, czego nie wkładać do koszyka. W tamtym czasie była to najpopularniejsza aplikacja w kraju.

Również w gospodarce światowej i gospodarkach poszczególnych państw to, co Trumpowi być może wydawało się trollingiem lub zabawną i skuteczną metodą negocjacyjną, przyniosło poważne szkody. W ciągu 2025 roku prezydent nałożył cła na Europę, Wielką Brytanię, Japonię i Koreę Południową, często losowo lub powodowany kaprysem.

Przez ostatnie 14 miesięcy niewielu zagranicznych przywódców było w stanie przyznać, że ktoś tak kompletnie bez strategii, bez zdolności łączenia kropek, może być prezydentem USA

Podniósł cła na Szwajcarię, ponieważ nie lubił szwajcarskiego prezydenta, a następnie obniżył, gdy szwajcarska delegacja biznesowa przyniosła mu prezenty, w tym sztabkę złota i zegarek Rolex.

Zagroził nałożeniem 100-procentowych cł na Kanadę, jeśli Kanadyjczycy zawrą umowę handlową z Chinami. Nie bacząc, że zaczęli rozmawiać z Chińczykami – zdając sobie sprawę z ambicji, siły i stosunku Pekinu do Zachodu – by zrekompensować straty, jakie już ponieśli i mogą ponieść przez to, że ich od półtora stulecia najlepszy, naturalny partner handlowy stał się nieprzewidywalny.

Niezrażony konfliktami interesów, prowadził negocjacje handlowe z Wietnamem, gdy jego syn Eric dopinał w tym kraju wartą 1,5 miliarda dolarów umowę na budowę pola golfowego.

Ale Europejczycy mogliby tolerować inwektywy, a nawet szkody handlowe, gdyby nie realne zagrożenie, jakie Trump stwarza dla ich bezpieczeństwa.

Choć przez 14 miesięcy nieustannie mówił o pokoju, zachęcał Rosję nie do ustępstw, a do agresji. Zaprzestał wysyłania pomocy wojskowej i finansowej na

Ukrainę, dając Władimirowi Putinowi nową nadzieję na zwycięstwo. Jego wysłannik, deweloper Steve Witkoff, zaczął otwarcie negocjować umowy biznesowe między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, chociaż wojna się nie skończyła, a Rosjanie nigdy nie zgodzili się na zawieszenie broni, przeciwnie, mnożyli warunki, sprawdzając, jak daleko mogą się posunąć.

Witkoff przedstawia się europejskim przywódcom jako postać neutralna, pośrednik, zewnętrzny negocjator pomiędzy NATO a Rosją – jakby Stany Zjednoczone nie były założycielem i przywódcą NATO, a bezpieczeństwo Europy nie było z przyczyn etycznych, ideowych i merkantylnych przedmiotem szczególnej troski Amerykanów.

Sam Trump nadal atakuje Zelenskiego i kłamie na temat amerykańskiego wsparcia dla Ukrainy, które wielokrotnie określa na 300 miliardów dolarów lub więcej. Pomijając już fakt, że od wielu miesięcy USA, owszem, dostarczają broń Ukrainie – ale już jako towar, który kupuje Unia Europejska w ramach podtrzymywania walczącego narodu – rzeczywista kwota wynikająca z zaangażowania Stanów Zjednoczonych jest bliższa 50 miliardom dolarów w ciągu trzech lat. Przy obecnym tempie zużycia broni, amunicji, sprzętu wojskowego i zakresie działań logistycznych Trump wyda tyle samo na Bliskim Wschodzie w trzy miesiące – uwaga, rozpętując wojnę, a nie próbując ją powstrzymać.

Rezultat tego wszystkiego? Premier Kanady Mark Carney oświadczył, że jego kraj nie zamierza uczestniczyć w „ofensywnych operacjach Izraela i USA i nigdy tego nie zrobi”.

Niemiecki minister obrony Boris Pistorius powiedział: „To nie jest nasza wojna i nie my ją rozpoczęliśmy”.

Premier Hiszpanii Pedro Sanchez odmówił Stanom Zjednoczonym zgody na korzystanie z hiszpańskich baz w wojnie z Iranem.

Wielka Brytania i Francja stwierdziły, że mogą wysłać kilka okrętów do ochrony własnych baz lub baz sojuszników w Zatoce Perskiej, ale ani Londyn, ani Paryż nie wysłał swoich żołnierzy ani marynarzy do operacji ofensywnych w ramach wojny rozpoczętej bez ich zgody.

To nie tchórzostwo. To kalkulacja: gdyby przywódcy sojusznicy uznali, że ich poświęcenie może mieć jakieś znaczenie, że Waszyngton je doceni, odwdzięczy się lub zmieni swoje podejście, mogliby, choć NATO nie zostało zaatakowane, a dołączenie do wojny z Iranem naraziłoby ich kraje na liczne niebezpieczeństwa, zdecydować inaczej.

Jednak zachodni liderzy już przestali szukać ukrytej logiki stojącej za działaniami Trumpa i ludzić się, że Biały Dom doceni gesty i ustępstwa lub chociaż potraktuje je jako coś, co Trump tak ceni, czyli „deal”. Pojęli, że czego by nie zrobili, jak bardzo by się nie zaangażowali, ich wkład nie będzie nic znaczył. Kilka dni lub tygodni później Trump nawet nie będzie pamiętał, że to się wydarzyło. ●

Anne Applebaum

ZASŁUGI ZABIJAJĄ DEMOKRACJĘ

Laureat Nobla z ekonomii: Władza elit intelektualnych byłaby gorsza niż dzisiejsza władza elit technologicznych i finansowych.

Michael Sandel*, Daron Acemoglu*

DARON ACEMOGLU: Od lat starasz się udowodnić, że filozofia polityczna to nie tylko badanie abstrakcyjnych pojęć czy poszukiwanie absolutnych prawd, ale ciągły dialog ze społeczeństwem o tym, jak powinniśmy organizować wspólne życie, co powinniśmy cenić, a czemu się opierać.

MICHAEL SANDEL: Wielu wyobraża sobie filozofowanie jako czynność oderwaną od świata, w którym żyjemy. A ja uważam, że filozofia powinna być tam, gdzie gromadzą się obywatele. Takie jej rozumienie sięga czasów Sokratesa, który zamiast stać za mównicą lub pisać książki, wędrował ulicami Aten, zadawał ludziom pytania, zachęcając do refleksji nad prawem i zasadami, według których żyją.

Filozof jako osoba zaangażowana w świat jest ważny zwłaszcza teraz. Gdy demokracje walczą o przetrwanie, a debata publiczna jest zubożała i zacięta, musimy odzyskać sztukę dyskursu. A to wymaga wspólnego rozważania wielkich pytań: co sprawia, że społeczeństwo jest sprawiedliwe? Jaką rolę powinny odgrywać pieniądze i rynki? Co jesteśmy sobie winni jako współobywatele? Bycie obywatelem wymaga, by każdy z nas był w pewnym stopniu filozofem.

D.A.: Rozumiem to trochę jako sposób na zdyscyplinowanie rozmowy, tak byśmy mogli demokratycznie dojść do wykonalnych kompromisów.

M.S.: Zasady odgrywają ważną rolę w filozofii oraz w dyskursie moralnym i politycznym. Ale nie chodzi o to, że zaczynamy od ustalenia zasad, a potem pytamy, jak je zastosować w konkretnych przypadkach. Filozofia nie polega na stosowaniu zasady „jeden rozmiar dla wszystkich”. Zajmuje się tym, by wypracować lub znaleźć szersze zasady czy zobowiązania dla konkretnych dylematów.

D.A.: To w naturalny sposób prowadzi nas do USA. I do „Tyranii merytokracji”, twojej książki sprzed pięciu lat, w której argumentujesz, że amerykańskie społeczeństwo zorganizowało się wokół ideału merytokratycznego, kładąc nacisk na to, by ludzie wspinali się na szczyt, dzięki swoim talentom i wysiłkowi. Mimo że wiemy, iż nie żyjemy w całkowicie merytokratycznym społeczeństwie.

M.S.: Ja nazywam to tyranią zasług, choć to sprzeczne z intuicją, bo uważamy zasługi za coś dobrego. Jeśli potrzebuję operacji, chcę mieć wykwalifikowanego chirurga. W porównaniu ze społeczeństwem, w którym awans i pozycja opierają się na dziedzicznych przywilejach, kumoterstwie i korupcji, zasługi są z pewnością lepszym sposobem przydzielania ról społecznych i nagród.

Ale przez ostatnie pięć dekad przepaść między zwycięzcami a przegranymi pogłębiła się, zatruwając politykę i dzieląc nas. Wynika to

częściowo z rosnących nierówności majątkowych, a częściowo z postaw wobec sukcesu, które im towarzyszyły. Ci na szczycie zaczęli wierzyć, że ich sukces to wyłącznie ich zasługa, i dlatego jest w pełni zasłużony. W konsekwencji ci, którzy się zmagają z trudnościami, również zasłużyli na swój los.

Taki sposób myślenia wynika z ideału merytokracji: jeśli szanse są równe, zwycięzcy zasługują na wygrane. Ale każdy ideał rozjeżdża się z życiem. Szanse nie są naprawdę równe. Nie żyjemy w idealnej merytokracji.

Ale nawet gdybyśmy żyli, to nie znaczy, że wszystko byłoby w porządku. Merytokracja ma mroczną stronę: podważa dobro wspólne, bo odnoszący sukcesy zapomnieliby o czynniku szczęścia i długu wobec tych – również merytokratów – którzy umożliwili ich osiągnięcia. To dlatego wielki socjolog Michael Young pod koniec lat 50. ukuł termin „merytokracja” jako ostrzeżenie, a nie jako ideał.

D.A.: Jaskrawym przykładem są miliarderzy technologiczni przekonani o tym, że są lepsi, bo odnieśli sukces. Ale obawiam się, że podstawy merytokratyczne są tak zakorzenione, że nie zmieni ich nawet progresywne opodatkowanie rządu 50 czy więcej procent. W Europie nie zmieniło.

M.S.: Ta zarozumiałość jest podłożem gniewu i urazy, które sprzyjają pogłębianiu się przepaści między zwycięzcami a przegranymi. Nawet przy sprawiedliwszym podziale dochodów wielu pracujących ludzi – zwłaszcza tych bez dyplomów czy elitarnych kwalifikacji – nadal czułoby, że elity patrzą na nich z góry.

D.A.: Sukces ma też często niezauważony kontekst. Jesteś uzdolniony intelektualnie, a ja silniejszy fizycznie, więc jestem ci podporządkowany. Ale ledwie kilka stuleci temu byłoby odwrotnie! A spojrzmy na umiejętności w ramach grupy uzdolnionych intelektualnie. Bycie dobrym prawnikiem może dziś mieć mniejsze znaczenie niż bycie wykwalifikowanym programistą, bo gospodarka po prostu ceni jedno bardziej niż drugie. Miary wyznaczające merytoryczność stale się zmieniają. A jednak ignorujemy to i traktujemy umiejętności, które obecnie nagradzamy, jako lepsze z natury, jakby zawsze były cnotą.

Kolejny problem to kategoryzacja. Nawet jeśli wzięlibyśmy pod uwagę kulturowe, fizyczne czy obyczajowe zmienne wpływające na to, że niektóre grupy mają trudniejszy lub łatwiejszy start i wprowadzilibyśmy merytokrację tylko w ramach grup definiowanych przez cechy demograficzne – edukację, rasę, płeć i tak dalej – i tak erodowałaby relacje społeczne. Bo zawsze ktoś będzie mniej lub bardziej wykształcony. Albo wykształcony w dziedzinie mniej lub bardziej ceniowej w danym momencie.

M.S.: Spójrzmy na wielkich sportowców, jak koszykarze LeBron James czy Stephen Curry: cieszą się nagrodami, od materialnych po

uznanie, ale czy zasługują na to, by zarabiać dwa tysiące razy więcej niż nauczyciel czy pielęgniarka?

Są dwa powody, by to kwestionować. Pierwszy – talenty i dary, które pozwalają odnieść sukces, są w dużej mierze kwestią szczęścia. Drugi – kontekst społeczny. Gdyby James i Curry żyli w renesansowych Włoszech i byli równie utalentowani sportowo, to nie zarobili by tyle, byłiby opłacaniymi skromną dniówką lub w naturze pracownikami fizycznymi, bo społeczeństwo renesansowe bardziej interesowało się malowaniem fresków niż koszykówką.

D.A.: Problemem jest to, że zarabiają dwa tysiące razy więcej niż ktoś o innych, akurat w tym czasie i miejscu mniej pokupnych talentach, czy też sposób, w jaki społeczeństwo utożsamia ich wartość rynkową z większą wartością etycznie-moralną, z cnotą?

M.S.: Na początek musimy rozróżnić dwa aspekty sprawiedliwości. Debata o opodatkowaniu osób o wysokich dochodach, aby pomóc tym, którzy mają trudności, dotyczy sprawiedliwości dystrybucyjnej. Ale jest też kwestia społecznego uznania – szacunku i prestiżu – co jest kwestią sprawiedliwości współludzkości.

Możemy sobie wyobrazić społeczeństwo, które poprzez wysokie opodatkowanie i silniejszą siatkę bezpieczeństwa osiąga to, co większość z nas uznałaby za sprawiedliwy podział bogactwa poprzez. Ale i wówczas bogaci cieszyliby się jakimś rodzajem, jeśli nie szacunku, to prestiżu, podziwu i wpływu, nieproporcjonalnym do wartości ich wkładu w zbiorowość w porównaniu na przykład z nauczycielami czy opiekunami.

Niesprawiedliwość współludzkości czy też współtworząca jest rdzeniem urazy napędzającej dzisiejszy populistyczny sprzeciw. Gdy prestiż i uznanie otrzymują ci, którzy zarządzają pieniędzmi, a nie ci, którzy produkują dobra namacalne albo zmieniają życie, ucząc lub kształtując umysł i duszę, wielu pracujących ludzi czuje, że ich wkład jest niedoceniany.

Obecna hierarchia honoru podważa godność pracy. Praca to nie tylko sposób na zapewnianie sobie środków do życia. To także sposób na przyczynienie się do dobra wspólnego oraz zdobycie społecznego uznania i szacunku. Na bycie docenionym i poczucie, że jest się potrzebnym.

Podczas pandemii przez chwilę uświadomiliśmy sobie, jak bardzo polegamy na pracownikach dostaw i magazynów, sprzedawcach spożywczych, asystentkach pielęgniarskich i zawodach zajmujących się dziećmi. To była dobra okazja do publicznej debaty o tym, jak zgrać wynagrodzenia i uznanie z wkładem społecznym. Przegapiliśmy ją i wróciliśmy do dawnej hierarchii i relacji.

D.A.: Moja wątpliwość co do debat czy prób modelowania sprawiedliwości współtworzącej jest taka, że społeczeństwa ustalają hierarchie



w bardzo organiczny sposób. Jeśli więc uznamy, że obecna merytokracja nie nadaje odpowiedniego statusu ani godności dużej części społeczeństwa, jak możemy to zmienić? Nawet gdyby rynek nie był tak potężnym wyznacznikiem jak dziś, trudno byłoby odgórnie wpłynąć na to, co społeczeństwo postrzega jako wartościowe lub prestiżowe.

M.S.: W warunkach konkurencji rynkowej łatwo założyć, że to, ile ludzie zarabiają, odzwierciedla wartość ich wkładu. Ale nawet najbardziej zagorzały ekonomista nurtu laissez-faire miałby trudności z obroną idei, że dochód jest wiarygodną moralną miarą. Gdyby tak było, musielibyśmy powiedzieć, że potentat kasynowy wnosi do społeczeństwa pięć tysięcy razy więcej niż pielęgniarka czy nauczyciel.

Czy naprawdę w to wierzymy? Rozważ serial „Breaking Bad”. Główny bohater Walter White zaczynał jako nauczyciel chemii w liceum walczący o przetrwanie, nawet mył samochody po szkole. Więc został kucharzem amfetaminy i osiągnął pozycję wielkiego diler, zarabiał miliony dolarów. Jednak nikt nie twierdziłby, że jego wkład w społeczeństwo był większy jako kucharza amfetaminy.

D.A.: Całkowicie zgadzam się, że rynek nie jest idealnym regulatorem czy wyznacznikiem. Ale obawiam się, że alternatywą byłoby po prostu to, co obecnie cenią aktualne elity intelektualne.

Przykład, który od dawna mnie nurtuje: opera jest traktowana jako sztuka wyso- ka i mocno dotowana, mimo że w dużej mie-



Daron Acemoglu

• urodzony w 1967 roku, laureat ekonomicznego Nobla w 2024 roku, profesor Massachusetts Institute of Technology, autor książki „Introduction to Modern Economic Growth”, współautor wraz z Jamesem Robinsonem „Economic Origins of Dictatorship and Democracy”, „Wąski korytarz. Państwa, społeczeństwa i losy wolności” i „Dlaczego narody przegrywają” oraz wraz z Simonem Johnsonem „Władza i postęp. Tysiąc lat walki o technologię i dobrobyt”. Wszystkie tytuły są dostępne w formie e-booków na Publio.pl.

Michael J. Sandel

• urodzony w 1953 roku, laureat Nagrody Berggruena nazywanej „filozoficznym Noblem”, profesor filozofii na Harvardzie. Autor książek „Przeciwko udoskonalaniu człowieka”, sprzedanej w 15 milionach egzemplarzy, „Sprawiedliwość: jakie działanie jest słusze?”, „Tyrania merytokracji. Co się stało z dobrem wspólnym?” oraz wraz z Thomasem Piketty „Równość. Dlaczego jest ważniejsza, niż myślisz”. Jego wykłady „O sprawiedliwości” notowały milionowe odsłony w internecie.

• **Daron Acemoglu będzie gościem Impact'26, międzynarodowego kongresu nazywanego „polskim Davos”.** Od 10 lat jednym z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych w Europie biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji z całego świata związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.
• Wyborcza.biz, Wyborcza.pl i WysokieObcasy.pl objęły patronat medialny nad wydarzeniem.
Szczegóły: [Impactcee.com/impact/2026/pl/start/](https://impactcee.com/impact/2026/pl/start/)

impact

rze konsumują ją wykształceni i bogaci. Tymczasem heavy metal, który wywodzi się z robotniczych pubów, już nie. A więc o statusie – również materialnym, bo taki śpiewak operowy ma większą pewność bytowa niż przeciętny heavymetalowiec – i o wartości w wymiarze sprawiedliwości współtworzącej, o prestiżu, szacunku, odbiorze społecznym – decyduje ocena wydawana przez elity intelektualne.

Dlatego boję się, że jeśli damy elitom intelektualnym zbyt dużą władzę decydowania, skończymy z wieloma podobnymi sytuacjami.

M.S.: W demokracji arbitrami powinny być nie te czy inne elity, ale po prostu obywatele.

W ten sposób możemy teoretyzować bez końca, a po prostu od czego trzeba zacząć. Może początkiem debaty politycznej powinno być to, czy tak wysokie nagrody i uznanie otrzymywane przez osoby na szczycie branży finansowej są uzasadnione. Od lat dużo szacunku okazywano Wall Street, bankierom, menedżerom funduszy hedgingowych, ich ogląd brano pod uwagę jako decydujący. Ostatnio podobnie traktujemy przedsiębiorców technologicznych, uznając, że zasłużyli na taki wpływ na decyzje społeczne i polityczne.

To świetny obszar do rozpoczęcia dyskusji, bo łatwo w nim o konkretne propozycje. Mówimy o rynku jako wyznaczniku, ale przecież rynek to ustalone zasady. Mogłyby być inne, a my nadal mielibyśmy rynek. Jakie zasady powinny regulować wykupy akcji? Jak spekulacyjne transakcje finansowe powinny być regulowane lub opodatkowane? Jeśli wierzymy

Duża część dzisiejszego niepokoju i złości wynika z malejącej wiary w wiarygodność rządu przedstawicielskiego, który sprawia wrażenie, że jest niezdolny do służenia dobru publicznemu i już nie zwraca uwagi na poglądy oraz wartości zwykłych obywateli

w godność i przydatność pracy, czy możemy uzasadnić wyższe opodatkowanie dochodów z niż zysków kapitałowych i dywidend?

Tę debatę toczyliśmy od lat – ale zwykle przedstawiamy w kategoriach sprawiedliwości dystrybtywnej, a powinniśmy również w kategoriach sprawiedliwości współtworzącej. Gdybyśmy zorganizowali rynek w sposób, który zakazywałby niektórych praktyk umożliwiających nadmierne nagrody, zwycięzcy przestaliby wyglądać na bogów olimpijskich.

D.A.: Częściowo odpowiedziałeś na moje kolejne pytanie: Co jest nie tak z rynkami i kapitalizmem?

Nawiasem mówiąc, nienawidzę tego słowa. Nie tylko dlatego, że jest wysoce ideologiczne, ale też dlatego, że tworzy wrażenie, że istnieje tylko jeden rodzaj gospodarki rynkowej. A istnieje wiele różnych sposobów organizowania rynków i decydowania, które dobra czy nagrody oraz kryteria ich przydzielania powinny być określane przez rynki, a które przez inne mechanizmy, takie jak rodzina, wspólnota czy normy społeczne.

M.S.: Przepaść między zwyczajcami a przegrany pogłębia się równocześnie z rozszerzaniem się rynków na takie obszary jak zdrowie, edukacja, relacje osobiste, prawo i media, gdzie wypierają ważne wartości nierynkowe. Przeszliśmy od gospodarki rynkowej do społeczeństwa rynkowego.

Różnica jest taka: gospodarka rynkowa jest cennym i skutecznym narzędziem do organizowania działalności produkcyjnej; społeczeństwo rynkowe to takie, w którym wszystko jest na sprzedaż. Być może więc pytanie, które powinniśmy sobie zadać, brzmi: czego nie powinniśmy kupować za pieniądze, a nie: czego nie można kupić.

Zatrzymam się na chwilę przy finansach. Rola świata finansów w kapitalizmie polega na alokowaniu kapitału na jednocześnie przynoszące dochód oraz społecznie użyteczne i produktywnie działania, takie jak inwestycje w fabryki, szpitale, szkoły, drogi i lotniska. Jednak większość dzisiejszej działalności finansowej opiera się na spekulacyjnych zakładach odnośnie do przyszłej warto-

ści aktywów, z których część stworzono właśnie w tym celu.

Ekonomista i biznesmen Adair Turner, który po krachu w 2008 roku przewodniczył brytyjskiemu Financial Services Authority, czyli instytucji nadzorującej i regulującej sektor bankowo-finansowy, stwierdził, że 85 procent kredytów bankowych w gospodarkach rozwiniętych, takich jak USA i Wielka Brytania, jest wykorzystywane do finansowania działalności spekulacyjnej, a nie produkcyjnej. To sugeruje, że jest znaczna przestrzeń na zniechęcanie do nieproduktywnych i marnotrawnych działań finansowych i ochrony ludzi i firm, którzy przyczyniają się do realnej gospodarki, bez naruszania podstaw tego, co nazywamy „kapitalizmem”.

D.A.: Większość ekonomistów i filozofów politycznych zgodziłaby się, że przydzielanie kapitału tym, którzy go potrzebują na do-
rażne działania lub inwestycje, to działania produktywnie. Na drugim biegunie niektóre działania są wyraźnie nieproduktywne, jak wydawanie miliardów dolarów na najszybsze komputery, by wyprzedzić konkurencję na giełdzie o milisekundę.

Oczywiście w miarę, jak instrumenty finansowe stają się coraz bardziej złożone, firmy, które je tworzą i sprzedają, zyskują ogromną siłę. Nie przypadkiem w USA, choć coraz częściej i w Europie, sektory generujące ogromne fortuny to finanse i technologia – dwie branże, które pozwalają dużym kor-

poracjom sprawować bezprecedensowy poziom kontroli. Ale są też szarości pomiędzy.

Kryzys finansowy z 2008 roku wywołał papiery wartościowe zabezpieczone hipotekami, które stały się narzędziem spekulacji i służyły za zabezpieczenie dla kolejnych papierów wartościowych. Wówczas wiele osób uważało, że są użyteczne, ponieważ zamieniają ryzykowne inwestycje na znacznie bezpieczniejsze – przekierowują pieniądze ludzi od akcji, walut czy innych niepewnych instrumentów ku nieruchomości na własność – a do tego ich wielość i popularność rozprasa ryzyko między wieloma instytucjami finansowymi.

Wiele instrumentów finansowych to mieszane obosieczne: ich skutki zależą od sposobu ich wykorzystania i od regulacji. Lekcja z tamtego kryzysu jest taka, że wiele aspektów świata finansów wymaga większej kontroli i regulacji, aby jego aktorzy nie mogli czerpać korzyści z ryzykownych zachowań, przerzucając koszty na innych – ale też, że nie ma wyraźnej granicy między aktywnością produkcyjną a nieprodukcyjną.

M.S.: Zanim przejdziemy od kwestii finansowania produktywnego i nieproduktywnego, rozważmy błyskawiczną, niebywałą ewolucję i rozrost rynku prognoz. Dziś możemy nawet obstawiać, czy za dwa dni temperatura w Bostonie przekroczy zero stopni.

D.A.: Nie jestem fanem rynków prognoz, ale skoro tak wiele innych osób jest, musimy spróbować zrozumieć dlaczego.

Wiele zakładów nie ma sensu społecznie. Jeśli wchodzić do kasyna z milionem dolarów i obstawiam czarne lub czerwone przy stole ruletki, to ewidentnie nie jest produktywnie. Ale gdy obstawiam milionem dolarów te lub inne papiery zabezpieczone hipotecznie, to już nie jest takie jasne. Bo być może pośrednio zachęcam kogoś do ryzykownej gry lub zadłużenia się nad miarę, ale jednocześnie wycena tych papierów wartościowych pełni funkcję społeczną – określa, ile kapitału przepływa do kredytów hipotecznych. Kredyty hipoteczne to zaś dla zwykłych ludzi przede wszystkim dach nad głową i zabezpieczenie przyszłości. A jednocześnie wciąż do zakładu. Dlatego mówię o odcieniach szarości.

D.A.: Tak naprawdę wciąż krążymy wokół kwestii nierówności.

M.S.: Istnieją trzy rodzaje nierówności. Pierwszym jest nierównością ekonomiczną. Aby zdecydować, które nierówności dochodowe i majątkowe są uzasadnione, musimy debatować o sprawiedliwości dystrybtywnej. Drugi rodzaj nierówności dotyczy udziału politycznego, ponieważ duże pieniądze mogą wypierać obywateli, odbierać siłę ich głosu. Ten problem narasta w USA z ich systemem finansowania kampanii wyborczych. Tam uznano, że korporacje są podmiotami mającymi prawo do wolności słowa, co zdjęło z nich ograniczenia w przekazywaniu środków na kampanie – bo w ten sposób wyrażają poglądy. Trzecim rodzajem nierówności jest nierówność w uznaniu i poczuciu wartości.

Jednym z najbardziej niszczących skutków każdej nierówności jest to, że nasze życia są coraz bardziej oddzielne. Zamożni i osoby o skromnych środkach coraz rzadziej się spotykają. Mieszkamy, pracujemy, robimy zakupy i bawimy się w innych miejscach, a dzieci posyłamy do różnych szkół. To nie jest dobre dla demokracji. Aby temu przeciwdziałać, musimy budować instytucje sprzyjające mieszaniu klasowemu: parki publiczne, miejskie baseny, biblioteki, szkoły, transport i obiekty sportowe. One nie tylko zapewniają podstawowe usługi osobom, które inaczej nie mogłyby sobie na nie pozwolić – tworzą wspólne życie.

Demokracja nie wymaga doskonałej równości, ale wymaga, by ludzie z różnych środowisk społecznych i klas spotykali się na co dzień.

Wtedy uczymy się negocjować i żyć z naszymi różnicami oraz zaczynamy dbać o dobro wspólne.

D.A.: Mówisz o dwóch powiązanych procesach.

Po pierwsze, społeczność staje się coraz mniej ważna dla ludzi. W miarę, jak rynki dostarczają kolejne dobra i usługi, coraz mniej polegamy na przysługach, komunikacji, współpracy i organizacji zbiorowej.

Po drugie, społeczności definiowane przez atrybuty takie jak dochód, wykształcenie, ale też rasa, coraz bardziej się segregują. Studenci podyplomowi znacznie rzadziej zawierają małżeństwa lub zaprzyjaźniają się z osobami mającymi tylko wykształcenie średnie i znacznie częściej kontaktują się z osobami o podobnym pochodzeniu, zainteresowaniach, wykształceniu.

M.S.: Poczucie utraty wpływu na swój kraj i życie, które odczuwa większość Amerykanów – że ich głos nie ma znaczenia, że polityków nie obchodzi, co myślą – to jeden z głównych problemów naszych czasów. I ściśle wiąże się z poczuciem, że rozpada się moralna tkanka wspólnoty wokół nas, od rodziny, przez sąsiedztwo, po kraj. Poczucie braku zakorzenienia, wyobcowania, egzystencjalnego niepokoju wzmacnia przekonanie, że wolność polega na wyborze dóbr konsumpcyjnych zgodnie z naszymi interesami, pragnieniami i preferencjami.

Ta konsumpcjonistyczna idea wolności wypiera głębszą, obywatelską koncepcję: że jestem naprawdę wolny tylko wtedy, gdy mam wpływ na kształtowanie sił rządzących naszym wspólnym życiem. Ale taka wolność wymaga aktywnej dyskusji obywateli na temat ważnych kwestii – a ta z kolei wymaga poczucia, że dzielimy wspólne życie, związani wspólnotami z tradycjami, historią, wspólnymi projektami i aspiracjami, nawet jeśli nie zgadzamy się co do tego, czego te tradycje od nas teraz wymagają.

D.A.: Zgadzam się z 90 procentami tego, co mówisz, ale jest 10 procent, które chciałbym trochę bardziej zgłębić.

Masz rację, że nasze poczucie wartości i samorealizacja zależy od wspólnoty, bo jesteśmy zwierzętami społecznymi. Jedynym sposobem na posiadanie głosu politycznego jest bycie częścią społeczności, a wiele interakcji społecznych, które cenimy, nie miałyby sensu, gdyby pochodziły z rynku. Ale nawet jeśli to wszystko uczynimy głównymi kryteriami czy zasadami naszego ustroju, nieuchronnie pojawią się napięcia między wspólnotą a jednostką. Między ich wolnościami.

Na przykład niektóre wspólnoty religijne w USA i Europie poprzez presję społeczną i indoktrynację ograniczają prawo młodych członków do indywidualnych wyborów, stylu życia, ale też do ich opuszczenia. Społeczności o silnych korzeniach historycznych i kulturowych też bywają otwarcie lub subtelnie wrogie wobec zachowań, które uważają za niezgodne ze swoimi tradycjami, choćby wobec otwartego określania się i życia jako gej lub ateista.

To w zasadzie odwieczne pytanie, jak zachować wolność jednostki i zaspokoić wymagania wspólnoty, by nie wpaść ani w pułapkę skrajnego indywidualizmu, ani w pułapkę totalitaryzmu. I tak jak wszyscy je sobie zadają, nie widzę satysfakcjonującego rozwiązania tego napięcia.

M.S.: Bo go nie ma. I tak, masz rację, że choć tyle mówimy o fatalnych konsekwencjach erozji życia społecznego, wspólnotowości, wspólnota ma ciemną stronę. Historia dostarcza dość przykładów moralnych okrucieństw popełnianych w imię konformizmu czy tradycji religijnej, obyczajowej lub w inny sposób ideologiczny.

Liberalna odpowiedź na to niebezpieczeństwo często polegała na wyraźnym rozróżnieniu, co jest publiczne, a co prywatne. Aby zapobiec niezgodzie, kontrowersjom, a nawet przymusowi, obywatela się proszeni o pozostawienie swoich poglądów moralnych i religijnych poza przestrzenią publiczną. Wolność jest wtedy pojmowana jako indywidualny wybór, który nie koliduje z uczestnictwem we wspólnym projekcie obywatelskim opartym

na pewnych zasadach i wartościach, co do których się zgadzamy, oraz na wspólnych interesach. Ale i w tym tkwi niebezpieczeństwo polegające na tym, że dyskurs publiczny zostaje wydrążony, a powstała moralna pustka nieuchronnie wypełnia fundamentalizm religijny lub hipernacjonalizm. Skoro każdy wybiera coś innego, a wszyscy chcieliby jakiegoś fundamentu, to one – choć wolność w liberalnym rozumieniu miała właśnie im zapobiec – stają się domyślnymi deklaracjami wspólnoty i celu. Wchodzą, by wypełnić przestrzeń na nagim placu publicznym pozbawionym znaczenia, solidarności i wspólnego celu.

To właśnie doprowadziło nas do obecnej chwili. Najlepszą ochroną przed surowymi, wykluczającymi lub nacjonalistycznymi formami wspólnoty nie jest zbyt ostre oddzielenie publiczności od prywatności, lecz budowanie i pielęgnowanie wspólnot mających dla ludzi znaczenie, a jednocześnie pozwalających na spór i niezgodę.

Wielki socjolog Michael Young pod koniec lat 50. ukuł termin „merytokracja” jako ostrzeżenie, a nie jako ideał

D.A.: Ideał, który opisujesz, jest nieosiągalny, chyba że w ramach procesu deliberacyjnego uznamy, że wiele różnych wartości społeczności jest uzasadnionych i musi współistnieć. Dlatego nie sądzę, żebyśmy dobrze sobie radzili w społeczeństwach tak rozumiejących liberalizm, jak w ostatnich dwóch-trzech dekadach. Liberalny progresywizm próbował wymazać pewne wartości ważne dla społeczności, ponieważ są sprzeczne z jego własnymi. To niebezpieczne. Nieliberalne.

M.S.: Jednym z błędów, jakie popełnili liberalowie i progresywiści, dystansując się od języka wspólnoty, jest ostrożność wobec patriotyzmu. Gdy patriotyzm pozostawi się prawicy, zaczyna być definiowany w kategoriach hipernacjonalistycznych, ksenofobicznych, antyimi-granckich.

D.A.: A jednocześnie jedynym sposobem na utrzymanie różnorodnych wartości społeczności jest zdecydowane i przestrzegane zobowiązanie do pewnych podstawowych wolności jednostki, aby społeczności ich nie tłumiły. Dlatego kompromis między wspólnotą a wolnością jest tak subtelny.

M.S.: Prawa jednostki są ważne, wręcz niezbędne. Pytanie brzmi, czy uzasadnienie tych praw można oderwać od merytorycznych koncepcji dobrego życia.

Weźmy wolność słowa. Powszechnie uważamy ją za klasyczny przykład tego, jak prawo jednostki powinno przeważać nad rozgrywkami społecznymi. Ale ja opisałbym ją trochę inaczej. Jednym z powodów, dla których wolność słowa jest tak ważna, jest to, że bez niej nie ma wolności obywatelskiej – daje możliwość niezgody z rządem, prowadzenia debaty politycznych i kwestionowania poglądów większości. Więc moja obrona wolności słowa jako prawa podstawowego nie wymaga odłożenia na bok troski o społeczność czy dobro wspólne.

D.A.: W naszej rozmowie splatają się praca i demokracja. Już ustaliliśmy, że praca przynosi godność, szacunek i wartość społeczną, a często idzie w parze z udziałem w procesie demokratycznym. I tu przyszłość wygląda niepokojąco. Rzecz jasna w związku z postępami sztucznej inteligencji i związaną z tym szerszą reorganizacją gospodarki.

Jeśli AI wypiera znaczną część miejsc pracy, to nawet środki redystrybucyjne, takie jak uniwersalny dochód podstawowy czy przyznawanie obywatelom udziałów w firmach technologicznych, niekoniecznie przywrócą sprawie-

dliwość współtworzącą lub ożywią życie obywatelskie. A jeśli firmy AI coraz bardziej kontrolują sferę publiczną, udział obywatelski może jeszcze zmaleć. Więc demokracja stoi przed dwoma powiązanymi zagrożeniami: wynikającym z erozji pracy mającej znaczenie i z przejęcia domeny publicznej.

M.S.: Możesz mieć rację, przecież od dawna, zajmując się przyczynami pogłębiania się nierówności w erze globalizacji, badałeś, w jakim stopniu napędzały ją polityki handlowe i zmiany technologiczne.

Obroncy neoliberalnej globalizacji często przekonują, że polityki handlowe można modyfikować i kształtować, bo są zjawiskiem politycznym, ale zmiana technologia jest nieunikniona. Ty twierdzisz, że to niekoniecznie prawda. Kierunek innowacji technologicznych nie jest faktem naturalnym, nie wynika z praw przyrody. Również zależy od naszych wyborów i priorytetów. Jeśli te priorytety wyznaczą inwestorzy venture capital z Doliny Krzemowej, innowacje zmienią w kierunku automatyzacji. Jeśli innowacja będzie kształtowana przez różne cele społeczne, może skupić się na zwiększaniu dostępnych miejsc i możliwości pracy, czyniąc pracowników bardziej produktywnymi, zamiast ich zastępować.

D.A.: Wciąż tak myślę. Ale to nie zmienia rzeczywistości. Która jest taka, że obecnie AI zmierza w kierunku automatyzacji i daje kilku osobom możliwość przejścia kontroli nad całą przestrzenią publiczną. Więc co dalej? Jak na to odpowiedzieć? Może przez namysł, ale czy mamy na to czas?

M.S.: Podzielał twoje obawy. Nie próbujemy kierować AI w demokratycznym kierunku. Pytanie, kiedy zrozumiemy, że wektor innowacji technologicznych nie jest prawem natury, tak samo jak hiperglobalizacja nie była, ale jest przedmiotem uzasadnionej demokratycznej dyskusji.

Debata o sztucznej inteligencji jest kluczowa dla wszelkich prób ożywienia projektu samorządności. Duża część dzisiejszego niepokoju i złości wynika z malejącej wiary w wiarygodność rządu przedstawicielskiego, który sprawia wrażenie, że jest niezdolny do służenia dobru publicznemu i już nie zwraca uwagi na poglądy oraz wartości zwykłych obywateli. A więc nie działa w ich interesie. Za tym idzie koncentracja władzy w gospodarce, zwłaszcza w branży technologicznej. Te firmy mają ogromną władzę polityczną, co ma dalekosiężne konsekwencje dla przyszłego sposobu komunikacji, odbierania informacji i wzajemnego kontaktu.

D.A.: To kolejny aspekt pozbawienia obywateli władzy – poczucie, że technologia jest całkowicie poza naszą kontrolą, a mimo to przekształca nasze życie, eliminując pracę lub fundamentalnie zmieniając jej znaczenie.

M.S.: Dlatego, tak jak musimy jako społeczeństwo, obywatele, debatować, na czym polega istotny wkład w gospodarkę – zamiast pozostawiać tę ocenę rynkom – musimy też odyskać od inwestorów z Doliny Krzemowej władzę decydowania, do czego służy technologia. A żeby to osiągnąć, musimy tworzyć fora do wartościowych dyskusji.

To, co daje mi nadzieję – choć możesz pomyśleć, że to słaba nadzieja – to głód wartościowszego dyskursu publicznego. Istnieje coraz wyraźniejsza tęsknota za solidną, zaangażowaną, moralną dyskusją zamiast dyskusji wąskich, menedżerskich, technokratycznych i gniewnych, do jakich się przyzwyczailiśmy.

D.A.: Wcale tak nie myślę. Uważam, że ta nadzieja to najsilniejszy argument za współpracą ekonomii i filozofii. Wierzę, że demokracja – i głód demokracji – są silniejsze, niż wielu sądzi. To, co mnie niepokoi, to ramy czasowe: czy zdążymy coś zrobić, zanim szkody będą nieodwracalne?

M.S.: Trudno zaprzeczyć, że godzina jest późna. Mimo to zaczniemy. ●

• Prawa autorskie: Project Syndicate, 2026, www.project-syndicate.org

SHAHEDY NAD KALIFORNIA

Ulubieniec Trumpa właśnie zwolnił specjalistów od tego typu wojny, w jakim Irańczycy ćwiczą się od 45 lat



FOT. ROBERT GIROUX/GETTY IMAGES

• 11 września 2001. Terrorysty Al-Kaidy porywają cztery samoloty: dwa uderzają w wieże WTC w Nowym Jorku, jeden w Pentagon, ostatni rozbija się w Pensylwanii. Jest ok. 3000 ofiar. Tak zaczęła się globalna „wojna z terroryzmem”, która ukształtowała politykę międzynarodową na ponad dwie dekady. Czy teraz po ataku na Iran, czeka nas powtórka?

Mateusz Mazzini

W Buenos Aires – osiem. W Pretorii, administracyjnej stolicy RPA – jeden, ale ważny, bo dotyczący ambasadorki USA. W Canberze, stolicy Australii i urugwajskim Montevideo – dwa. Trzy w Madrycie. Jeden w Cork na południu Irlandii, ale świeży, z lipca ubiegłego roku. Po jednym w kolumbijskiej Bogocie i peruwiańskiej Limie. Ale przede wszystkim: w San Francisco – 6, w Houston – 7. W Waszyngtonie – 43, w Nowym Jorku – 30. Często, zwłaszcza na terenie USA, dotyczące tej samej osoby.

Schemat jest ten sam: przekroczenie granicy na fałszywych dokumentach, zakup broni, spotkanie z łącznikiem. Następnie przemyt narkotyków, zamiana ich na dużą ilość gotów-

ki. Aresztowanie, proces, oświadczenie służb federalnych, deklaracja Kongresu, czasami nawet rządu.

Z punktu widzenia Polski najbliższy punkt na mapie znajduje się w Berlinie – a w nim aż 12 zdarzeń. Jest też Wiedeń, Kopenhaga, Malmö, Sztokholm.

Łącznie – 494 wydarzenia z udziałem osób działających na zlecenie Islamskiej Republiki Iranu, planujących zabójstwa, zamachy terrorystyczne, ataki na miejsca publiczne z prawdopodobieństwem zabicia dziesiątek, a nawet setek czy tysięcy osób.

Nigdy nie byli to ludzie reprezentujący władzę w Teheranie w jakiegokolwiek oficjalnej formie. Często mieli irańskie obywatelstwo, ale nie brakuje osób o podwójnych narodowościach czy lokalnych podwykonawców.

Celami najczęściej byli inni Irańczycy, opozycjoniści, przeciwnicy rewolucji Chomeiniego z 1979 r., ale też, jak w Berlinie, aktywiści LGBT+ pochodzenia irańskiego, którzy nie chcieli obalać reżimu, tylko w ocenie teokratycznej dyktatury przynosili wstyd narodowi.

Nie brakuje też celów amerykańskich i izraelskich, jak 29 ofiar śmiertelnych i 242 rannych w ataku na ambasadę Izraela w Buenos Aires w 1992 roku. Często sprawstwo dało się przypisać Hezbollahowi, aktywnemu zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej, gdzie emisariusze rezydującej na południu Libanu organizacji polityczno-militarnej skutecznie werbowali zamachowców spośród sporych, choć mało znanych świata mniejszości arabskich w Paragwaju, Wenezueli i Brazylii.

Ale nierzadko były to działania czysto kryminalne, by zarobić i wypruć pieniądze na potrzeby innych, już ideowych operacji czy zakupu broni. Tak jak w irlandzkim Cork, gdzie Irańczycy wpadli przy próbie ogromnego przeładunku kokainy. To też element modus operandi Hezbollahu, który nigdy nie brzydził się twardymi narkotykami, finansując z przemytu i dystrybucji – głównie na zachodzie Europy – działania zbrojne na Bliskim Wschodzie.

Wszystkie te wydarzenia – w formie kropek na interaktywnej mapie, opisane, zilustrowane zdjęciami i skanami dokumentów – dokumentuje Washington Institute for Near East Policy, think-tank zajmujący się sprawami bliskow-

schodnimi. Najstarsze kropki – to wczesne lata 80., kiedy ludzie Chomeiniego tropili po świecie ukrywających się w diasporze opozycjoniści, często ich mordując.

Ostatnia pochodzi z 6 marca 2026 roku, dotyczy aresztowania w Londynie czterech mężczyzn oskarżonych o współpracę z irańskim wywiadem.

Wśród osób zajmujących się międzynarodowym terroryzmem, zwłaszcza tym sponsorowanym przez rządy suwerennych państw, od dwóch tygodni panuje zgoda, że niebezpiecznych wydarzeń z tropami wiodącymi do Teheranu będzie tylko więcej. A dokładniej – że po rozpoczęciu amerykańsko-izraelskiej ofensywy przeciwko władzy ajatollahów zwiększyło się ryzyko poważnego w skutkach zamachu terrorystycznego, zwłaszcza na terytorium Stanów Zjednoczonych.

To jednak tylko pierwsza część konsensusu. Druga jest bardziej przerażająca, bo wskazuje, że cokolwiek Irańczycy mogliby planować – Amerykanie nie są na to gotowi. I, co gorsza, mogą za to obwiniać wyłącznie samych siebie.

O tym, że Iran ma wyjątkowo dużą zdolność przeprowadzania ataków terrorystycznych poza granicami kraju, i to daleko od własnego regionu, wiadomo nie od dziś.

W 2023 roku „The Financial Times” cały sezon swojego sztandarowego audioserialu śledczego „Hot Money” poświęcił atakom Gwardii Rewolucyjnej na przedstawicieli irańskiej diaspory w Holandii – ludzi, którzy w politykę przestali się angażować dekady temu.

We wrześniu 2024 roku „The Washington Post” opublikował z kolei reportaż ilustrujący powiązania Gwardzistów ze światem przestępczym na całej planecie. W USA tekst wywołał popłoch, bo ujawniono, że na usługach Iranu w pewnym momencie znalazł się nawet słynny gang motocyklistów Hell’s Angels.

Ale z tamtej analizy wynikało, że najbardziej narażona na ataki Teheranu jest Wielka Brytania – bo tam jest najwięcej irańskich dyzydentów, w dodatku mających relatywnie duże wpływy i dobrą pozycję. Z Londynu nadaje np. stacja Iran International, mająca wielomilionową publikę, do niedawna także wewnątrz Iranu – choć oczywiście Islamska Republika kanał uznaje za nielegalny. Według „Washington Post”, w latach 2014-24 na Wyspach przygotowano ok. 18 prób zamachów terrorystycznych sponsorowanych przez Teheran. Dwa razy więcej niż w tym samym okresie w USA.

Amerykanie mają jednak powody do niepokoju, bo od dłuższego czasu Irańczycy skupili się na ich miękkim podbrzuszu: gnieźdzą się w meksykańskim ekosystemie kryminalnym. Według Soufan Center, który zajmujące się bezpieczeństwem międzynarodowym, Gwardia Rewolucyjna zarabia nawet do 300 mln dol. rocznie na handlu narkotykami pochodzącymi głównie z Ameryki Łacińskiej.

Nie da się pozyskiwać takich kwot bez instytucjonalizowanej współpracy z kartelami z Meksyku i Kolumbii. Dowody na nią są dostępne od lat. Colin P. Clarke, szef Soufan Center, w ub. tygodniu opisał w „The Atlantic” międzynarodową siatkę współpracowników Teheranu. I przypomniał, że już w 2011 r. służby federalne aresztowały Manssora Arbabsiara, podejrzanego o przygotowywanie zamachu na ówczesnego ambasadora Arabii Saudyjskiej w USA. Arbabsiar przyznał się rok później. Kluczowe jest to, że łącznikiem między Gwardią Rewolucyjną a przyszłym zamachowcem był członek kartelu Los Zetas, jednej z najbrutalniejszych i najbardziej zmilitaryzowanych grup przestępczych w Ameryce Łacińskiej.

Dziś te powiązania wracają w dyskursie publicznym z trzech powodów.

Po pierwsze – od kiedy 28 lutego Trump zaatakował Iran, znacznie wzrosło prawdopodobieństwo ataków odwetowych na terytorium USA. To metoda prowadzenia wojny relatywnie prosta, tania i skuteczna, a Gwardia Rewolucyjna ma w niej spore doświadczenie.

Po drugie – bo najnowsza wojna w Zatoce pokazała, że Stany i na poziomie technologicznym, i doktrynalnym przespały ostatnie kilka, może nawet kilkanaście lat.

Po trzecie – przy okazji tej wojny na powierzchnię wypłynęła strategiczna głupota administracji Trumpa, która od 14 miesięcy z pasją inkwizytorów zmienia instytucje federalne w prywatną armię prezydenta i jego akolitów, wykorzystywaną coraz bardziej nie do zapewniania bezpieczeństwa Ameryki i Amerykanów, ale do realizowania planów prezydenckiej zemsty politycznej.

Krótko mówiąc, USA stoją przed realnym ryzykiem powtórki z 11 września 2001 roku – i powtarzają te same błędy, które doprowadziły do tamtej tragedii.

3 marca Hannah Rabinowitz z CNN ujawniła, że Kash Patel, obecny szef FBI, ulubieniec Trumpa i jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci w tej administracji, w drugiej połowie lutego przeprowadził kolejną rundę czystek wśród „federalnych”. Zwolniono 12 pra-

cowników komórki znanej pod roboczym kryptonimem CI-12, odpowiedzialnej za działania kontrwywiadowcze i monitorowanie ruchów obcych wywiadów na terytorium USA.

Cała dwunastka w ostatnich latach zajmowała się analizą ruchów państw autokratycznych wrogich Stanom, a najwięcej czasu poświęcała właśnie Islamskiej Republice Iranu. Patel wszystkich wywalił na bruk, bo w 2022 r. uczestniczyli w gromadzeniu materiałów do śledztwa w sprawie Trumpa, oskarżonego o nielegalne i nieprawidłowe przechowywanie tajnych materiałów wywiadowczych w posiadłości w Mar-a-Lago. Innymi słowy, FBI pozbyło się kilkunastu wysokiej klasy specjalistów od Iranu i terroryzmu, bo odkryto w ich życiorysach, że wykonywali obowiązki służbowe i rozkazy przeciwko obecnemu prezydentowi, wtedy zwykłemu – choć wyjątkowo prominentnemu – obywatelowi.

Niecałe dwa tygodnie później Trump rozpoczął operację „Epicka Furia” i zaczął zrzucać bomby na Iran. Już w chwili przeprowadzania zwolnień wiadomo było, że eskalacja jest nieunikniona, bo na Bliskim Wschodzie znajdowała się jedna trzecia amerykańskiej marynarki wojennej i połowa siły ognia lotnictwa. Ale Patel po zwolnieniu ekspertów od Iranu nie miał czasu na powołanie nowych albo szukanie alternatywnych sposobów monitorowania sytuacji na odcinku irańskim, bo był zajęty wyjazdem na igrzyska w Mediolanie-Cortina. Gdzie dał się nagrać, kiedy próbował duszkiem wypić piwo w szatni amerykańskich hokeistów po zdobyciu złotego medalu.

Takich ruchów kadrowych od początku drugiej kadencji Trumpa było więcej.

DOGE, tymczasowa grupa robocza Elona Muska ds. zwiększania wydajności rządu federalnego, zwiększyła tylko deficyt budżetowy, ukradła dane obywateli – i wymusiła redukcję zatrudnienia aż o 40 proc. w biurze Dyrektora Wywiadu Narodowego (ODNI), którego szefową jest inna ulubienica Trumpa, Tulsi Gabbard.

Z administracji skreślono całe zespoły zajmujące się kontrwywiadem i działaniami antyterrorystycznymi.

Z kolei prokurator generalna Pam Bondi już w drugim miesiącu urzędowania, w lutym 2025 r., usunęła z Departamentu Sprawiedliwości zespół ds. przeciwdziałania obcym wpływom na procesy polityczne w USA, zajmującą się m.in. ingerencjami w wybory do władz federalnych.

Co ciekawe, to właśnie oskarżenie ajatollahów o mieszanie się w amerykańskie głosowanie było, przynajmniej wg Trumpa i propagandzistów spod znaku MAGA, głównym powodem rozpoczęcia „Epickiej Furii”.

Dwa tygodnie temu magazyn „Wired” opisał, jak w serwisach społecznościowych zwolennicy prezydenta i prawicowi influencerzy szerzą teorię spiskową, że Iran płacił – barterowo, ropą i poza międzynarodowym systemem płatności SWIFT – Wenezuelczykom za hakerowanie maszyn wyborczych w amerykańskich komisjach w 2020 roku. Celem było oczywiście niedopuszczenie do reelekcji Trumpa. Joe Biden wygrał na plecach Wenezuelczyków i za pieniądze irańskiej Gwardii Rewolucyjnej – uważają wpływowe postaci amerykańskiego alt-rightu, a za nimi rzesza wyborców.

W normalnie funkcjonującej administracji takie oskarżenia dałoby się zweryfikować. Ale obecny rząd federalny, nawet gdyby chciał, nie może, bo nie ma narzędzi. A nie ma ich, bo sam się ich pozbył, praktycznie od razu po przysiężeniu.

Ci, którzy w szeregach instytucji państwowych jeszcze zostali, z przymusu zajmują się innymi rzeczami. Bruce Hoffman z Council for Foreign Relations, najbardziej prestiżowego think-tanku w USA i wydawcy magazynu „Foreign Affairs” i Colin P. Clarke w „The Atlantic” równolegle odkryli niedawno, że zasoby przypisane do komórek antyterrorystycznych i kontrwywiadowczych przesunięto do walki z nielegalną imigracją.

Samorozbrojenie

12 specjalistów

• czyli całą komórkę – zajmujących się terroryzmem sponsorowanym przez państwa autokratyczne, zwłaszcza Iran, zwolnił szef FBI Kash Patel w połowie lutego br.

40 proc. personelu

• biura Dyrektora Wywiadu Narodowego USA zwolnił efektywnościowo-oszczędnościowy departament DOGE Elona Muska

Do 300 mln dol.

• rocznie na handlu narkotykami, pochodzącymi głównie z Ameryki Łacińskiej, zarabia irańska Gwardia Rewolucyjna

494 próby

• zamachów, zabójstw i ataków na zlecenie Iranu udaremniono na całym świecie od lat 80.

Jakby tego było mało, ekstremizmem i zapobieganiem aktom terroru w USA w administracji Trumpa zajmuje się ktoś, kogo w normalnych czasach bez żadnej hiperboli ani złośliwej intencji określono by mianem stażysty.

W czerwcu 2025 roku ProPublica, portal non-profit śledczy i analityczny, opublikował sylwetkę Thomasa Fugate, 22-letniego prawicowego aktywisty, który rok wcześniej skończył trzyletnie studia z prawa i politologii na University of Texas w San Antonio. Stamtąd poszedł na chwilę pracować do Heritage Foundation, ultrakonserwatywnego think-tanku od lat 80. przygotowującego prawnie i medialnie prawicową kontrrewolucję, dziś stanowiącego zaplecze ideologiczne bieżącej administracji. Był też mocno zaangażowany w kampanię Trumpa – dostał nawet bilet na imprezę z okazji jego 78. urodzin w Mar-a-Lago.

Po reelekcji było jeszcze lepiej, bo Fugate został szefem nowej antyterrorystycznej komórki w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, powstałej z fuzji kilku innych podmiotów, z których przy okazji zwolniono mnóstwo ekspertów z wieloletnim doświadczeniem. O jej szefie ProPublica – bez sarkazmu, chłodno, zgodnie z faktami – pisze, że jego doświadczenie w zakresie polityki międzynarodowej i bezpieczeństwa wewnętrznego ogranicza się... do udziału w licealnej konferencji spod znaku znanego formatu szkolnego „Model United Nations”.

Tak wygląda w tej chwili instytucjonalne i merytoryczne przygotowanie USA do walki z międzynarodowym terroryzmem.

Trudno jednak uciec od wrażenia, że wszystko dzieje się celowo i zgodnie z planem. Bo choć sekwencja zdarzeń i skala demolki sprawia wrażenie, jakby amatorska, złożona z ekscentryków, ideologów i politycznych błaznów administracja potykała się o własne nogi, to przecież opublikowana na początku grudnia Narodowa Strategia Bezpieczeństwa USA – ta sama, w której Amerykanie przepowiadali „cywilizacyjne wymazywanie Europy” – o zagrożeniach terrorystycznych nie wspomina prawie w ogóle, a jeśli, to ogólnikowo.

W ogóle pomija największe ponadnarodowe grupy terrorystyczne jak Al-Kaida czy ISIS, czyli tzw. Państwo Islamskie. W przeciwieństwie do poprzednich wersji dokumentu uchwalonych przez administrację Bidena, a nawet przez pierwszą ekipę Trumpa, obecna polityka Ameryki nie zawiera żadnej wizji walki z terroryzmem w ujęciu globalnym.

Przeciwnie, opisuje go jako problem lokalny, fragmentaryczny, który nie wymaga współpracy z innymi państwami. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i rządy pozostałych krajów

mają sobie z terroryzmem radzić we własnym zakresie. Jedynym obszarem geograficznym wskazanym jako potencjalne źródło zagrożenia terrorystycznego, jest Afryka Zachodnia, nie Bliski Wschód.

A jedyne miejsce, w którym działania antyterrorystyczne opisano w miarę szczegółowo, to wątek tłumaczący zmianę paradygmatu Waszyngtonu: za jedno z najważniejszych zagrożeń dla bezpieczeństwa uznano latynoskie kartele narkotykowe, dlatego wpisano je na listę organizacji terrorystycznych.

Dzięki temu Biały Dom może m.in. wysłać przeciwko nim regularną armię, a nawet uzasadnić interwencję na terytorium suwerennego kraju – jak przy okazji pojmania Nicolása Maduro na początku roku.

Jeden z głównych twórców tego dokumentu, szef planowania polityki Pentagonu Elbridge Colby, od dawna pisał, że przeciwdziałanie terroryzmowi powinno odbywać się przy użyciu możliwie najmniejszych i najbardziej wydajnych grup, a najlepiej – żeby opierało się na partnerstwie publiczno-prywatnym.

Innymi słowy, nie ma powodu, żeby bezpieczeństwa wewnętrznego nie delegować do prywatnych firm, głównie z sektora technologicznego. Biorąc pod uwagę olbrzymie kontrakty, które z organami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo, na czele z DHS, podpisały: wyspecjalizowany w inwigilacji i Big Data Palantir, Meta – koncern Marka Zuckerberga, twórcy Facebooka, Google czy gigant od serwerów, baz danych i infrastruktury sieci Oracle – to też przebiega zgodnie z planem.

Problem w tym, że wszystkie te założenia wyglądają świetnie na papierze, jako czysta teoria. W prawdziwym życiu zwykle nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością – i prawdopodobnie tak będzie z konsekwencjami wojny z Iranem.

FBI już w ubiegłym tygodniu ostrzegało, że Gwardia Rewolucyjna może zaatakować dronami zachodnie wybrzeże USA, głównie Kalifornię. Dlaczego akurat tam? Wszak to miejsca najdalej od Iranu geograficznie, nie ma tam dużej diaspory, wielkich banków ani siedzib instytucji rządowych. Czemu Los Angeles, a nie Waszyngton, Nowy Jork, Boston?

Bo z Los Angeles jest bliżej do Meksyku, a Irańczykom chętnie pomogą meksykańskie kartele. Zwłaszcza jeden.

Cártel de Jalisco Nueva Generación to jedna z najpotężniejszych organizacji kryminalnych na świecie. I potwornie wściekła na Amerykanów po tym, jak 22 lutego w obławie zginął ich lider, słynny boss narkotykowy „El Mencho”. Zabili go co prawda żołnierze meksykańskiej Gwardii Narodowej, ale operacja namierzania go opierała się na amerykańskich danych, technologii i wsparciu CIA.

Nie ma bezsprzecznych dowodów na współpracę instytucjonalną CJNG z Iranem, ale wiadomo, że na terenach kontrolowanych przez gang aktywny był Hezbollah – głównie jako nabywca narkotyków. Są więc powiązania personalne między tymi światami, które da się bardzo łatwo odświeżyć.

Co więcej, kartele, które zawsze starały się nadążać za technicznymi nowinkami militarnymi i dysponować uzbrojeniem nie gorszym niż w danym momencie armia i policja, coraz lepiej sobie radzą z dronami.

Gangi z Kolumbii i Meksyku pozwalają swoim zaciągać się do walki po stronie Kijowa na froncie z Rosją, bo w Ukrainie latania bezzałogowcami i ich zwalczania można się nauczyć najlepiej i najszybciej.

Tymczasem obecna wojna w Zatoce Perskiej pokazuje, że USA, choć były pionierem wojsk dronowych, to pozostały na etapie „klasycznym”, dronów zwiadowczych i dużych maszyn ofensywnych, odpowiedników cichych bombowców czy samolotów szturmowych, a ze zwalczaniem dronów oraz tym, co na froncie ukraińskim okazało się kluczowe

– szybką ewolucją własnego sprzętu i taktyk oraz nadążaniem za kreatywnością przeciwnika – mają problem.

Wykorzystanie podwykonawcy w postaci CJNG czy innego kartelu może wydawać się zaskakującym taktycznym majstersztykiem, ale z punktu widzenia Iranu to oczywiste posunięcie – metoda ataku tania, łatwe do zrealizowania i dająca duże prawdopodobieństwo powodzenia.

Bezpośrednie uderzenie pod flagą Gwardii Rewolucyjnej byłoby bardzo trudne i zostało by szybko zneutralizowane. Ale jaki problem opłacić i uzbroić małą komórkę wewnątrz kartelu, a potem wyprzeć się jakiegokolwiek związku z przeprowadzonym przez nią zamachem, zwłaszcza ma się już przetarte ścieżki, zna ludzi, układy i teren?

Trudno przewidywać, co mogłoby stać się celem takiego ataku, ale to bez znaczenia. Iran ma możliwości uderzenia zarówno w obiekty cywilne, jak i militarne na terenie USA, a skutki każdego, nawet najskromniejszego ataku byłyby wielokrotnie silniejsze i rozleglejsze niż same ofiary i bezpośrednie zniszczenia – efekt „la!”, szok na świecie i podziw sojuszników oraz wrogów Ameryki, a w samej Ameryce wszystko, co się wiąże z paniką, histerią społeczną i typowymi w takich sytuacjach przesadnymi reakcjami instytucjonalnymi.

Jak zareagowałby Biały Dom? To najważniejsze pytanie w całej tej spekulacji – a odpowiedź jest najbardziej paraliżująca.

Wybitny historyk XX wieku i badacz autorytaryzmów profesor Timothy Snyder zauważył niedawno w portalu Substack, że wojna z Iranem stwarza Trumpowi idealne warunki do zawieszenia praw i wolności obywatelskich. Przy tak przetrzebionej administracji i podwyższonym ryzyku ataków napraw-

dę łatwo wyobrazić sobie, że dojdzie do tragedii. Przy czym nie musiałby to nawet być zamachowiec związany z Iranem. Jest całkowicie wtórne, kto to robi.

Ważne, że nastąpi eskalacja przemocy. Trump powie, że to przez Teheran. W dodatku będzie przekonywać, że od początku miał rację, mówiąc, że Islamska Republika stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa USA. Oczywiście nie doda, że to zagrożenie zostało w całości wywołane przez niego i jego administrację.

Jest rok wyborczy, a Partia Republikańska jest na autostradzie do utraty władzy w Izbie Reprezentantów i niewykluczone, że przegra też Senat. Nie przypadkiem Trump kilkakrotnie już wspominał, że rząd federalny powinien „przejąć kontrolę” nad procesem wyborczym – co w USA jest kompetencją władz stanowych. Ewentualny atak terrorystyczny dałby pretekst do wprowadzenia tzw. Aktu o Insurekcji, czyli powiedzenia Amerykanom, że kraj faktycznie jest w stanie wojny. A przecież w czasie wojny wyborów się nie organizuje.

W taki oto sposób materializuje się mantra, którą od początku tej administracji powtarza ideolog MAGA i ojciec pierwszego, nieoczekiwanego sukcesu wyborczego Trumpa, Steve Bannon.

Już w styczniu ub.r. mówił: *All security is homeland security*. Dosłownie: „całe bezpieczeństwo opiera się na bezpieczeństwie wewnętrznym”, co interpretowano – i na co wskazywała polityka wizowa oraz rozkręcenie opresyjnych działań ICE – jako skupienie się na migracji. Ale bardziej metaforycznie – to znaczy, że „wszystkie działania w zakresie bezpieczeństwa muszą być skupione na obronie ojczyzny”.

Bannon zaś jak ognia wystrzegał się określenia, gdzie i jak ojczyzna ma być broniona.

Gangi z Kolumbii i Meksyku pozwalają swoim członkom zaciągać się do walki po stronie Kijowa na froncie z Rosją, bo w Ukrainie latami bezzałogowcami i ich zwalczania można się nauczyć najlepiej i najszybciej

Czy obroną ojczyzny jest zawieszenie niektórych swobód i praw w gardłowej sytuacji? Czemu nie. A agresja militarna wobec suwerennego i uznawanego państwa? Czemu nie. Hasło Bannona wcale nie oznacza izolacjonizmu, zamknięcia się we własnych granicach geograficznych. Wręcz przeciwnie – na mocy tej doktryny USA dają sobie prawo do interweniowania wszędzie na świecie, jeśli uznają, że stamtąd płynie dla nich hipotetyczne zagrożenie.

Interwencja w Wenezueli i porwanie głowy państwa były więc jak najbardziej działaniem krajowym, bo Maduro, w propagandzie Waszyngtonu boss narkotykowy przerzucający opioidy do USA, zabijał narkotykami Amerykanów na terytorium Ameryki. Pojmanie go w Caracas to zastosowanie zasady „all security is homeland security”.

Tak samo atak na Iran, w tym uderzenie rakietą Tomahawk w szkołę dla dziewczynek, było działaniem chroniącym obywateli USA we własnym kraju. Trafienie było tragiczną pomyłką, ale znamienne, że nikt z krę-

gów rządowych, choć wizerunkowo aż się o to prosi, nie rozgłasza żalu ani nie wyraża skruchy.

Do tej listy dopisywać kolejne kraje można szybko. Meksyk, Kuba, Kolumbia, Nigeria – wszędzie tam Trump może ugrać jakieś interesy, rozumiane dosłownie, dla siebie. Wszędzie tam można wymyślić hipoteczne zagrożenie, które ma szansę osiągnąć terytorium USA. W ten sposób *homeland*, ojczyznę, staje się cały świat.

Najlepiej tę strategię podsumował Nikhil Pal Singh esejem „Homeland Empire” w „Equator Magazine”. Tłumaczył, że Trump nie uznaje prawa międzynarodowego, bo dla niego nie istnieją granice państw. Inne kraje czy wspólnoty narodowe nie są suwerenne, nie mają podmiotowości. Wszystko można sobie wziąć, jeśli ma się odpowiednio dużo siły. Wenezuelska ropa? Jest „nasza”. Wenezuelski naród? „My” go kontrolujemy. „Irańska marynarka wojenna”? „My” ją unicestwimy. „Ukraińska walka z rosyjskim najeźdźcą?” Możliwa dzięki „naszym” środkom – więc my decydujemy, jak długo może trwać.

To jedna z rzadkich chwil, w których politykę da się dobrze opisać bez niuansowania, jednym prostym objaśnieniem – i matematycznym równaniem. Jeśli cała obronność jest obroną ojczyzny, a w celu obrony ojczyzny można prowadzić wojny wszędzie na świecie, wtedy cała obronność równa się wojnie. Tytuł tylko, że – jak mawiał generał James Mattis, były szef Pentagonu w pierwszej administracji Trumpa, dzisiaj przez prezydenta znienawidzony – „w czasie wojny przeciwnik ma zawsze coś do powiedzenia”.

Trump i jego ludzie zachowują się, jakby tego prostego zdania nie rozumieli. Konsekwencje ich ignorancji poniesie cały świat, chociażby gospodarczo. I wtedy rzeczywiście „homeland” przekształci się w „empire”. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34424481

DO 24 MARCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — kwiecień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



**CENA
199,99 zł****



**Dostęp także do
Wyborcza.pl***

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.

**Cena sugerowana

Roman Imielski

KORESPONDENCJA Z CHARKOWA

Prawdziwego imienia Ihora podać nie możemy. To on jest naszym przewodnikiem, gdy przyjeżdżamy do Charkowa. Od początku służy w jednostce Kraken – legendarnym oddziale, który na początku wielkiej inwazji rosyjskiej w lutym 2022 roku walczył na obronę miasta.

Kraken zaczął się organizować jeszcze przed napaścią sprzed czterech lat, tworzyli go i w dużej mierze nadal tworzą zagorzali kibice piłkarskiego Metallista Charków lub ich znajomi. Potem, gdy oddział znalazł się pod skrzydłami Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Narodowej (HUR) generała Kyryla Budanowa, walczył na najważniejszych odcinkach frontu i dostawał specjalne misje. I jako jedna z pierwszych jednostek opracował i zaczął rozwijać siły dronowe, w tym najsukuteczniejsze dziś na linii frontu małe drony kamikadze FPV.

Budanow od niedawna jest szefem kancelarii prezydenta Wołodymyra Zełenskigo, a większość Krakena przeszła do struktur Sił Zbrojnych Ukrainy (ZSU), czyli armii. To właśnie jednostka Kraken 1654.

Rosjanom zaczyna brakować ludzi

Pytam Ihora o to, co dzieje się pod Zaporoziem, gdzie ukraińska armia przeszła do działań ofensywnych. – To raczej czyszczenie terenu w szarej strefie, która sięga dziś nawet 15-20 kilometrów. Tak przez drony, których każdego dnia tysiące fruwa wzdłuż linii frontu, oddaliły się od siebie pozycje nasze i kaczupów – tłumaczy Ihor. – Oczyszciliśmy z Rosjan kilka niedużych miejscowości. I po raz pierwszy zauważyliśmy, że zaczyna im brakować ludzi. Uzupełnienia ich oddziałów nie są już tak płynne, a gdy atakują, to już nie falami.

Otwarcie o braku żołnierzy na froncie piszą rosyjscy Z-bloggerzy, autorzy kanałów w serwisie Telegram poświęconych agresji na Ukrainę. Większość z nich jest fanatycznymi wyznawcami propagandowej teorii o walce z „ukraińskimi nazistami”, część nawołuje do totalnego zniszczenia Ukrainy i użycia do tego wszelkich możliwych środków.

Wzywają też do ogłoszenia powszechnej mobilizacji w Rosji, bo do dziś Władimir Putin się na to nie zdecydował. Głównymi rezerwami „mięsa armatniego” jest prowincja, szczególnie ta etnicznie nierosyjska. Bo Kreml boi się wybuchu społecznego niezadowolenia, gdyby masowo do armii i na front, gdzie Rosjanie giną setkami i tysiącami, zaczęto powoływać mieszkańców największych miast i ich okolic. Szczególnie tych europejskich.

Z-bloggerzy ostrzegają, że zamiast kolejnej rosyjskiej ofensywy na froncie zobaczymy przejście inicjatywy przez Ukrainę. W 2026 roku siły ukraińskie zajmują znacznie więcej terytorium, niż udaje się zająć najeźdźcy, co potwierdza między innymi renomowany amerykański Instytut Studiów nad Wojną (ISW). Widać to dobrze choćby w Kupiańsku, którego zdobyciem Rosjanie chcieli się pod koniec 2025 roku, a dziś zostali nie tylko wyparci z miasta, ale wręcz odepchnięci na wiele kilometrów.

„Gruz 200” liczy się najbardziej

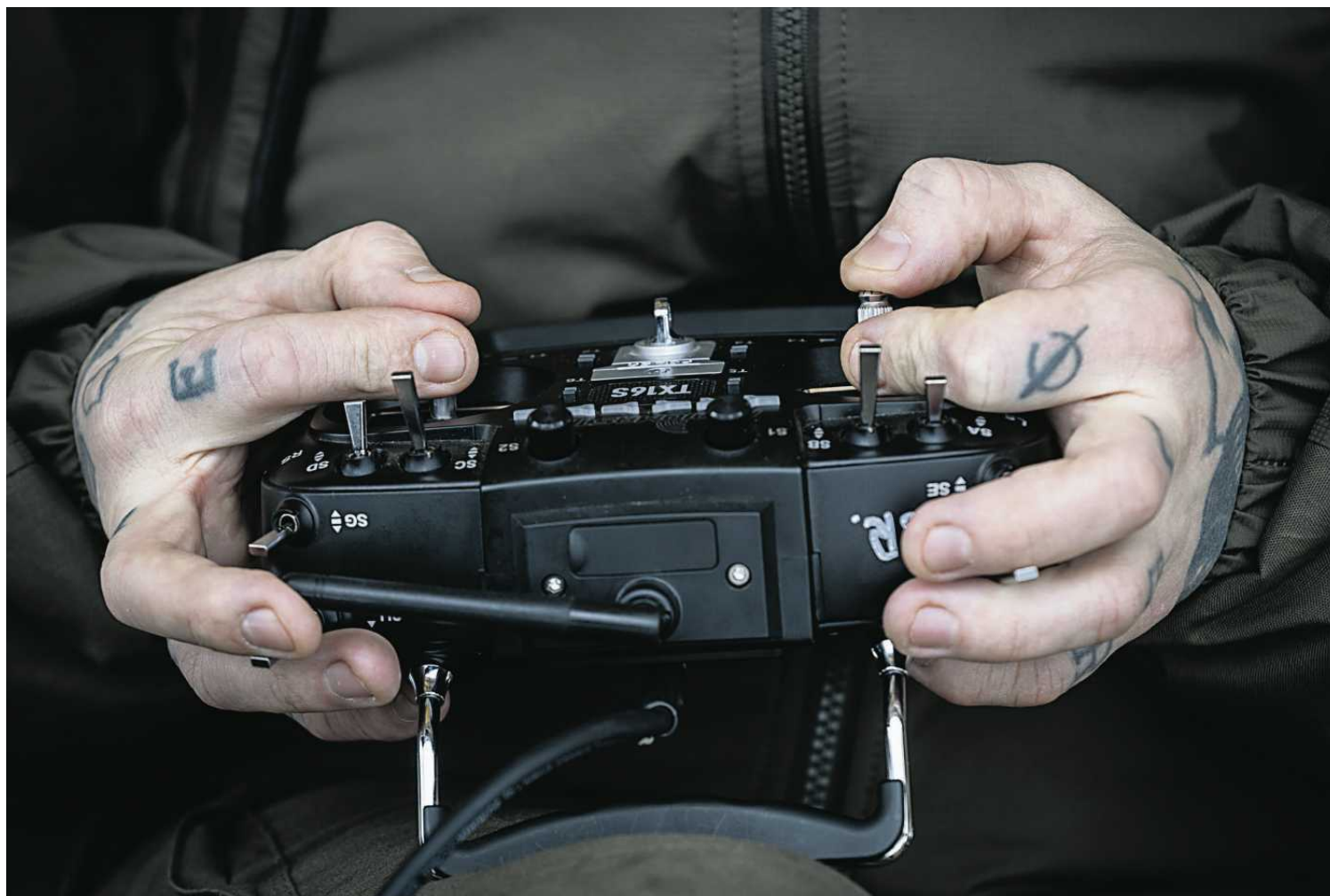
– Do niedawna najważniejsze było niszczenie techniki wojskowej, dziś priorytet to zabijanie ludzi. Jeśli operator drona widzi na przykład czołg i dwóch stojących obok niego kaczupów, to ma przede wszystkim ich wyeliminować – podkreśla Ihor.

Pochodzi z Charkowszczyzny, wychował się w rosyjskojęzycznym domu, ale teraz mówi tylko po ukraińsku, a o Rosjanach – wyłącznie używając pogardliwego określenia „kaczupy”. Przed inwazją z 2022 roku był nauczycielem, w armii służy również jego młód-



GRA „MADZIARA”

– Kiedyś niszczyliśmy przede wszystkim sprzęt wojskowy, dziś cel numer jeden to ludzie. A każda taka akcja jest punktowa niczym w komputerowej grze – mówi operator dronów z jednostki Kraken 1654.



• Każda dronowa ekipa składa się z czterech osób: dowódcy, pilota drona, pilota transmitera, osoby odpowiedzialna za mocowanie bomb

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL(2)

szy brat, a rodzice są ukraińskimi patriotami. Matka pracuje w jednej z energetycznych firm kluczowych dla regionu i systematycznie atakowanej przez Rosjan.

– Zmiana tej taktyki – na zabijanie ludzi – to pomysł „Madziara” – mówi Ihor.

„Madziar” to Robert Browdi, najbardziej znany ukraiński dowódca jednostek dronowych. Pochodzi z Zakarpacia z licznej tam mniejszości węgierskiej, przed inwazją z 2022 roku był biznesmenem. Dziś jest dowódcą Sił Systemów Bezzałogowych Ukrainy (SBS) i persona non grata na Węgrzech Viktora Orbána. Bo wielokrotnie publicznie krytykował go za to, że blokuje unijną pomoc dla Ukrainy i że jako jedyny lider z krajów UE współpracuje z Putinem. To też podległe „Madziarowi” oddziały uszkodziły rurociąg „Przyjaźni”, którym rosyjska ropa płynęła na Węgry.

– „Madziar” wyliczył, że trzeba eliminować 50 tysięcy Rosjan miesięcznie, by stracili oni możliwości bojowe. Po prostu nie będą w stanie walczyć – wylicza Ihor. – Ma razie udaje nam się dobijać do mniej więcej 30 tysięcy, ale powoli idziemy w tej statystyce w górę. Także dlatego, że jednostki dronowe rywalizują ze sobą na aplikacji JE-bally.

W języku polskim brzmi wulgarnie, ale w ukraińskim – nie. „Bally” to po prostu punkty. „JE” to skrót od „elektroniczne”. Ukraińska firma z sektora zbrojeniowego Blue Bird Tech stworzyła w 2024 roku platformę, na której zbiera się punkty za niszczenie konkretnych celów. A „Madziar” mocno teraz postawił na to, by jednostki dronowe rywalizowały ze sobą w skuteczności.

– Każdego dnia dowódcy raportują do centrali, co udało im się zniszczyć. Ale nie wystarczy słowo, trzeba mieć dowody: filmy czy zdjęcia z akcji. Dopiero po tej weryfikacji przyznawane są punkty – tłumaczy Ihor. – Teraz najwięcej punktów dostaje się za eliminację ludzi, najwięcej za „gruz 200” [ładunek 200 – tak rosyjska armia określa zabitych na froncie]. Jednostka, która zdobędzie najwięcej punktów w miesiącu, dostaje dodatkowo sprzęt i wyposażenie, a także pieniądze na premie dla najlepszych operatorów dronów.

Co do pieniędzy – skuteczny operator dronów, który służy na pierwszej linii, może zarobić nawet 120 tysięcy hrywien miesięcznie (około 10 tysięcy złotych), a premia w ramach JE-bally może wynieść nawet drugie tyle. Gdy operatorzy są na zapleczu frontu – na przykład szkolą innych – zarobki spadają do 30-40 tysięcy hrywien (około 2,5-3,3 tysiąca złotych).

Jak ujawnił latem 2025 rok „Madziar”, gdy przyjechał do Wiesbaden na spotkanie z generałami NATO, siły dronowe to mniej więcej 2 procent ukraińskiej armii, a odpowiadają za zabicie co trzeciego rosyjskiego żołnierza. Te statystyki są dziś już pewnie wyższe.

Generał Oleksandr Syrski, dowódca ukraińskiej armii, poinformował niedawno, że od stycznia do marca Rosjanie stracili ponad 92 tysiące zabitych i rannych żołnierzy. W sumie od początku inwazji straty agresora mają wynosić blisko 1,3 miliona, z czego mniej więcej 325 tysięcy to zabici.

Kiedy byliśmy w Charkowie poprzednim razem, „Tapir” (w Krakenie wszyscy posługują się pseudonimami), kolega Ihora, powiedział nam o najlepszej jego zdaniem taktyce na polu walki. – Najskuteczniejsze są miny przeciwpiechotne. I wcale nie te, które zabijają. Zobacz, tu jest niewielki ładunek wybuchowy. Tak żeby urwało nogę. Bo zabitego możesz porzucić, a rannego inny żołnierz będzie starał się wynieść z frontu i przez to nie będzie strzelał.

Rosjanie swój „gruz 200” bardzo często porzucają na polu walki. – Widzisz, tym się od nich różnimy, bo my staramy się zawsze ciało żołnierza odzyskać – podkreśla Ihor.

Wybuchowy Paulaner dla nieprzyjaciela

Żeby być najskuteczniejszym, potrzebne są ciągle innowacje. Podczas poprzednich wi-



• Poligon gdzieś pod Charkowem. Tu testuje się drony kierowane radiem FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGEN-

CJA WYBORCZA.PL



• Wybuchowa puszka piwa – jedno z dzieł żołnierzy Krakena, konstruujących ładunki wybuchowe używane na froncie FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

zyt w Charkowie Ihor zabrał nas do tajnych pracowni, gdzie specjaliści Krakena budują i ulepszają drony FPV oraz konstruują do nich ładunki.

FPV to skrót od angielskiego First Person View (widok w pierwszej osobie). To rodzaj modelarstwa, w którym pilot steruje dronem, mając podgląd na żywo z kamery na pokładzie. Obraz pokazywany jest na monitorze lub w specjalnych goglach – ma się wtedy wrażenie, jakby siedziało się w środku drona.

W cywilu sprzęt FPV jest używany na przykład podczas zawodów. To ukraińscy żołnierze jako pierwsi wpadli na pomysł, by wykorzystać go na polu walki. Albo podwieszają pod drony ładunki – dziś maksymalnie półtora kilograma, niedługo pewnie 2 kilo w zależności od odległości, jaką trzeba pokonać – albo niewielkie miny przeciwpiechotne.

Teraz Ihor zabiera nas na poligon gdzieś pod Charkowem. To tam żołnierze Krakena sprawdzają nową broń. – O, zobaczcie, to bomba zrobiona z puszki po piwie. To nasz



• Ukraińskie flagi zdobiące groby na cmentarzu wojennym w Charkowie. Najwięcej jest mogił młodych żołnierzy FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

podarunek dla Rosjan – specjalny Paulaner – śmieje się „Sycz”, specjalista od budowy przeróżnych ładunków.

„Sycz” to ukraińskie słowo oznaczające gatunek małej sowy. Przed inwazją z 2022 roku był piłkarzem rezerw Metallista. – Każdy ładunek, każdą bombę musimy sprawdzić, zanim damy ją chłopakom na froncie. Bo tam zawieść nie może – opowiada „Sycz”. – Robimy bomby z trotylu, materiału plastycznego C4, czy termobaryczne do zabijania ludzi w budynkach. Część wypełniamy na przykład śrubami albo nakrętkami, by zwiększyć liczbę odłamków.

Dziś „Sycz” i jego ekipa będą sprawdzać głównie to, jak rozsypują się ładunki po wybuchu. Daleko w dole pod nami żołnierze wbijają cztery drewniane żerdzie, tworząc kwadrat mniej więcej 5 na 5 metrów. Potem mocują pomiędzy nimi mocną czarną folię. Dziury, jakie zrobią się w niej po zrzuconiu ładunku, pokażą, jak skuteczna była bomba.

Na REB też jest recepta

Obok pracuje ekipa droniarzy pod wodzą „Oresta”. Jest ze Lwowa, świetnie mówi po polsku, bo przed inwazją pracował w naszym kraju.

– Każda ekipa to cztery osoby: dowódca, pilot drona FPV, pilot transmittera, osoba łącząca bomby z dronami – wylicza „Orest”. Transmitter to drugi dron, który wznosi się na kilkaset metrów i przekazuje sygnał z anteny do drona kamikadze. Dzięki temu można ten ostatni posłać nawet na odległość 30-40 kilometrów, bo fala radiowa nie napotyka przeszkód terenowych.

Dziś problemem są systemy zagłuszające REB. Rosjanie bardzo je rozwinęli, potrafią nawet „przejąć” dron. – Ale można je przechytrzyć. Gdy wykrywamy zagłuszarkę, przestajemy kierować dronem za pomocą fal radiowych i włączamy na 90 sekund autopilota. Dron oddala się od REB i znów się wtedy z nim łączymy – wyjaśnia „Orest”.

Ihor i jego koledzy nie ukrywają, że woleliby mieć więcej dronów na światłowodów, których powszechnie używają Rosjanie. Nie da się ich zakłócić systemem REB ani wykryć osobistym skanerem, który noszą żołnierze. Taki dron rozwija światłowod z kasety przyłączonej do kadłuba aparatu i nawet gdy kabel o coś się zaczepi, może lecieć dalej.

Przekazuje też do operatora dokładny obraz z kamery, dużo wyraźniejszy niż przy dronach radiowych. I przez to drony na światłowodów są znacznie skuteczniejsze. – Trafia w 8 na 10 lotów, podczas gdy nasze 4-5 na 10 misji – mówi Ihor.

Okolicą wstrząsają wybuchy, a my patrzymy, jakie skutki dała współpraca ekip „Sycza” i „Oresta”. – Cholera, nie wszystko się udało tak, jak myśleliśmy. Część ładunków trzeba poprawić – martwi się „Sycz”.

Morze flag na cmentarzu

Wracamy do Charkowa. Niedaleko przedmieść, po lewej stronie, rozciąga się ogromny cmentarz, na którym ciągle przybywa mogił. Właśnie chowają tu dwóch żołnierzy, są zapłakani najbliżsi i salwy honorowe, powiewają flagi jednostek, w których polegli służyli.

Na cmentarzu takich flag – w różnych barwach, w tym wiele Krakena – są tysiące. To morze falującej pamięci o ofierze, jaką ponosi Ukraina, walcząc z rosyjskim agresorem.

Na początku lutego prezydent Zełenski stwierdził w wywiadzie dla telewizji France 2, że dotychczas na froncie poległo 55 tysięcy ukraińskich żołnierzy, ale „wiele osób” jest uznanych za zaginione. Analitycy amerykańskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych szacują straty Ukrainy na mniej więcej 500-600 tysięcy, w tym około 140 tysięcy zabitych.

– Znałem wielu z tych chłopaków – mówi Ihor, gdy stoimy przed jedną z mogił. Ze zdjęcia patrzy na nas uśmiechnięty 30-letni mężczyzna. Takich i młodszych żołnierzy jest na tym cmentarzu najwięcej. ●



PRAWDA O ŚWIĘTYM PATRYKU

Dzień patrona Zielonej Wyspy to czas radosnych parad i oceanu zieleni, muzyki, tańca i, oczywiście wizyt w pubach.

Maja Staniszevska z Dublinia

Pół miliona ludzi, czyli prawie 10 procent mieszkańców Zielonej Wyspy zebrało się w Dublinie 17 marca br. wzdłuż trasy dorocznej parady z okazji Dnia Świętego Patryka – patrona Irlandii.

Tyle że w tym wielotysięcznym tłumie, ubranym obowiązkowo w coś zielonego, najmniej było samych Irlandczyków. Za to słychać było rozmaite amerykańskie akcenty i języki: włoski, hiszpański, portugalski, ale też też Azji Południowo-Wschodniej czy japoński. Japońskie turystki, były zresztą najbardziej interesująco przebrane: połączenie irlandzkich motywów z estetyką *kawaii* przynosiło zaskakująco urocze efekty.

Nie zabrakło też polskiego, bo rodaków w Irlandii nie brakuje i są tu nie tylko turyści. Za to kłopot był z irlandzkim. Kolejne osoby, które wytypowałam w tłumie jako miejscowych (ze stuprocentową skutecznością, nie chwaląc się) poproszone o nagranie życzeń po irlandzku [do towarzyszącemu tekstowi na Wyborcza.pl wideo], wymawiały się nieznaną mi języka. Ale w końcu się udało. Sympatyczny Fionn życzy więc „*Lá fhéile Pádraig sona dhuit!*”.

Cztery godziny przez cztery kilometry

Jeśli planujecie wybrać się kiedyś na paradę 17 marca do Dublinia, polecam zająć miejsce wcześniej. Bo choć przyszedłam o 11:00, czyli na godzinę przed rozpoczęciem, i wybrałam punkt, do którego pochód miał dotrzeć po godzinie, nie miałam już szans na miejsce przy barierkach.

Na szczęście i tak sporo udało mi się zobaczyć, zwłaszcza atrakcji umieszczonych na platformach, w tym bohaterów irlandzkich legend czy rozmaite zabawne postaci np. rockową kapelę wiewiórek czy przygotowującą herbatkę Betty w wielkich walkach na głowie.

Przed wszystkim jednak słyszałam kolejne orkiestry dęte m.in. z USA czy Szkocji, grające melodie wojskowe, folkowe, a nawet country. Wersja „Take Me Home, Country Roads” w wykonaniu dudziarzy wywołała entuzjazm widowni.

Parada jest okazją do zaprezentowania się dla rozmaitych irlandzkich organizacji, sportowców, szkół. Ta w Dublinie jest największa i najdłuższa – idzie przez cztery godziny przez prawie cztery kilometry reprezentacyjnymi ulicami. Od Black Church na północy, przez O’Connell Street, z najnowszym symbolem miasta Spire of Dublin (złoteliwie zwanym wykalczką) i dalej przez

most na rzece Liffey, obok Trinity College przez James Street do Zamku, a potem przed katedrę św. Partyka i stamtąd do parku St. Stephen’s Green.

Jednak uroczyste parady odbywają się w każdym większym i mniejszym mieście, a nawet w wioskach, gdzie w pochodzie idą dzieci z miejscowych szkół, sportowcy czy służby mundurowe, a oklaskują ich najbliżsi. Na paradzie w Dublinie poza wojskowymi pojawili się np. gorąco oklaskiwani śmieciarze.

Co ciekawe, ledwie minęła mnie ostatnia rozbrzmiewająca muzyką platforma, a już za nią pojawiły się ciężarówki, na które służby porządkowe zaczęły wstawiać zabezpieczające pochód barierki.

Tłum grzecznie ruszył w swoją stronę – do pubów, do których już po chwili nie dało się wcisnąć szpilki albo, jak ja, na ciąg dalszy zabawy. Gdy obejrzałam się za siebie, przed Trinity College nie było już śladu barierki. Jestem przekonana, że ruch samochodów wrócił punktualnie o godzinie 16,

Wytańczyć ciężkie jedzenie

Tymczasem ja na Merrion Square próbowałam nauczyć się choć paru kroków irlandzkich tańców. Nie, nie tych, w których nogi tancerzy ruszają się niezależnie od ich nieruchomego tułowia. Te są najwyższą szkołą jazdy.

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.





FOT. REUTERS/CATHAL MCNAUGHTON

• **Nie może być parady z okazji Dnia Świętego Patryka bez Świętego Patryka. Dublin we wtorek 17 marca br.**

Zresztą prezentowali je na scenie Céilí Mór profesjonaliści i co odważniejsze dzieci ze zgromadzonej publiczności.

Ale była tancerka zespołu Riverdance, który przyjeżdżał na występy także do Polski, cierpliwie i w dwóch językach – po angielsku i irlandzku – instruowała resztę, jak tańczyć w parach.

To trudniejsze, niż, może się wydawać, więc po kilku próbach szybszych melodii, prowadząca zarządziła coś wolnego, ku czci zmarłej dzień wcześniej folkowej pieśniarki Dolores Keane i tłum zakolysał się w rytm „Galway Bay”.

Darmowe kulturalne atrakcje z okazji Dnia Świętego Patryka trwały w Dublinie cały długi weekend, poza koncertami i tańcami były także m.in. spotkania z opowiadaczami, bo Irlandczycy słyną ze swojego talentu do opowiadania historii, zajęcia dla dzieci czy warsztaty rękodzieła.

A wieczorem zapelnili się puby, także te daleko od trasy parady. Zbierały się w nich całe rodziny i grupy przyjaciół na kolację i piwo.

Tu jedno zastrzeżenie: choć Dublin jest wspaniałym, przyjaznym i gościnnym mia-



Parę słów po irlandzku

Craic

• Pamiętajcie *hygge* duńskie słowo oznaczające komfort, przytulność, równowagę do jakiej mają dążyć Duńczycy, a więc po prostu duński styl życia? Irlandczycy też mają takie słowo, a jest to *craic*. Tyle że ten irlandzki styl życia, to dobra zabawa, świetna atmosfera, miłe spotkanie, ciekawa rozmowa, wspólne żarty czy ploteczki – w skrócie czas spędzony z innymi ludźmi. „What’s the craic?” to z kolei „jak się masz?”, a „no craic” – nuda.

Sláinte

• W irlandzkim jest tradycja barwnych, piętrowych toastów i równie barwnych i piętrowych przekleństw (w znaczeniu przeklinania kogoś, a nie wulgaryzmów). Przyjezdnym najprościej jednak powiedzieć właśnie *sláinte* czyli na zdrowie.

Taoiseach

• To nazwa stanowiska premiera irlandzkiego rządu (wymawia się ti-szek). Jego zastępcą czyli pierwszy wicepremier to z kolei *Tánaiste*.

Irlandia ma również prezydentkę, wybraną w 2025 r. na siedmioletnią kadencję **Catherine Connolly (na zdj.)**. To już trzecia kobieta na tym stanowisku po Mary Robinson, wybranej w 1990 r., i jej następ-



FOT. PAP/PA/BRIAN LAWLESS

czyni Mary McAleese, wybranej w 1997 r. Przed Connolly przez dwie kadencje prezydentem był ukochany przez Irlandczyków polityk i poeta Michael D. Higgins, właściciel wielkich i niezwykle przyjaznych berneńskich psów pasterskich, które towarzyszyły mu podczas oficjalnych uroczystości, stając się ich gwiazdami.

Gardaí

• W Irlandii nie zobaczycie nigdzie państwowej policji, tzn. nie zobaczycie mundurów, samochodów czy posterunków z napisem Police. Służba zajmująca się bezpieczeństwem obywateli to Garda Síochána – strażnicy pokoju, w skrócie Gardaí.

Saoirse i Siobhan

• Irlandzkie tradycyjne imiona są często spotykane na wyspie, a ich wymowa przyjezdnym sprawia problemy. Na szczęście w internecie nie brakuje filmików instruktażowych, można się więc przygotować przed spotkaniem nie tylko z „Serszą” czy „Sziwon”, ale też osobami o imionach: Aoife (Lifa), Caoimhe (Ktiwa) czy Oisín (Uszin), Tadhg (Tige), Cillian (Kiljan) oraz, oczywiście, Pádraig (Pa-drik).

FOT. REUTERS/CATHAL MCNAUGHTON

FOT. PAP/PA/EVAN TREACY



FOT. PAP/PA/EVAN TREACY



FOT. PAP/ABACA/MOSTAFA DARWISH

• **Rozrywkowe platformy z przebierańcami i orkiestry dęte podczas wtorkowej parady w Dublinie. Oglądało ją na żywo ok. pół miliona ludzi. To obecnie atrakcja głównie dla turystów**



• Pielgrzymi wspinają się na Croagh Patrick – świętą górę Irlandii

Podcast Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Irlandia – od Złotego Wieku, przez angielską niewolę, po cichą rewolucję.**

Alicja Dąbrowska rozmawia z dr Andrzejem Kucharskim – historykiem i tłumaczem, który opowiada o tym, w jaki sposób siedem i pół wieku panowania Anglii i jej kolonialny stosunek do podbitej w XII w. Irlandii, przekłada się na irlandzką tożsamość. Jak historia determinuje współczesność tego kraju? Jaka jest obecnie rola Kościoła Katolickiego w społeczeństwie, po „cichej rewolucji” ostatnich dekad? Co w rzeczywistości upamiętnia Dzień Świętego Patryka? Co pozostało do dziś po Złotym Wieku kultury celtyckiej? I wreszcie, czy to prawda, że Irlandczycy spotykają się w trzech miejscach: kościele, na targu i w pubie?



FOT. CHRISTOPHE BOISVIEUX/GETTY IMAGES

stem w pubach nie da się zjeść na ciepło nic zdrowego. Irlandczycy gustują w smażonych w głębokim tłuszczu i burgerach. Shepherd's pie – jagnięcina z warzywami zapiekana pod pierzynką z puree ziemniaczanego – to chyba jedna z najzdrowszych obiadowych opcji.

Na szczęście ciężkie jedzenie można wytłuścić w pubie, gdy gra muzyka na żywo. A właściwie w każdym 17 marca ktoś gra na żywo folkowe szlagiery czy covery irlandzkich kapel.

Druga twarz święta

Jest jeszcze druga, bardziej oficjalna strona tego święta, ale jak to w Irlandii nie robi się wokół niej wielkiego zamieszania. Składają się na nią dwie ważne rzeczy: uroczysta msza w katedrze św. Patryka w Armagh, transmitowana w publicznej telewizji oraz wystąpienie prezydentki Catherine Connolly.

W tym roku pani Connolly mówiła m.in. o tym, że „nie wolno zaakceptować normalizowania wojny”. Ale też przywołała historię życia świętego Patryka jako inspirację na nasze czasy pogłębiających się podziałów i niechęci do „obcego” czy „innego”.

– Historia życia Patryka przypomina o odporności i odwadze migrantów oraz o nieocenionym wkładzie, jaki wnieśli i nadal wnoszą do krajów, które obecnie nazywają swoim domem, niekiedy mimo ogromnych przeciwności losu – mówiła prezydentka Connolly.

Węże, druidzi i koniczyna, czyli legenda Świętego

Bo jedno jest pewne: święty Patryk, patron Irlandii, istniał naprawdę. Nie, nie wygonił węży z Irlandii, ani nie toczył pojedynków z druidami, w których jego wiara wygrywała z ich magią. Czy wyjaśniał Irlandczykom ideę Trójcy Świętej za

Symbole Irlandii

ZIELEŃ I HARFA

Kolor utożsamiany z Zieloną albowiem Szmargdową Wyspą, która bujną roślinnością o niespotykane intensywnych odcieniach zawdzięcza klimatowi i dużej wilgotności, to jeden z trzech kolorów irlandzkiej flagi. Dwa pozostałe to biały i pomarańczowy. Symbolizują dążenie do jedności między mieszkańcami wyspy wywodzącymi się z różnych tradycji. Zielony jest kolorem katolickiej większości, pomarańczowy protestanckiej mniejszości, a biały – pokoju między nimi.

Irlandia – jako jedyny kraj na świecie ma w godle instrument muzyczny – harfę. Wzorowana na XIV-wiecznej harfie Briana Boru, którą można zobaczyć w Bibliotece Trinity College w Dublinie, umieszczona jest na sztandarze prezydenta (złota na ciemnoniebieskim tle), państwowych pieczęciach, paszportach, monetach euro. Harfa widnieje też w logo browaru Guinnessa, ale odwrócona gryfem w drugą stronę, wpleciona jest też w logo innej popularnej irlandzkiej firmy, Ryanaira.

SHAMROCK

Trójlistna koniczyna, która miała posłużyć św. Partykowi do wyjaśnienia Irlandczykom



koncepcji Trójcy Świętej, to z kolei nieoficjalny symbol, który widnieje w logach drużyn sportowych, na mundurach wojskowych oraz, oczywiście, pamiątkach dla turystów. W dniu św. Partyka Irlandczycy często przypinają do ubrań wiązkę świeżych koniczynek, które za drobne można kupić na targach.

CELTYCKIE WĘZŁY

Nie mające początku ani końca, geometryczne węzły wywodzące się z czasów celtyckich często zdobią kamienne krzyże, kościoły i inne budynki, pojawiają się na meblach, ubraniach, tatuażach. Widnieją też w jednym z najcenniejszych irlandzkich zabytków, pochodzącej z VIII wieku „Księdze z Kells”, bogato iluminowanej Biblii, którą można zobaczyć w bibliotece Trinity College.

LEPRECHAUN I GARNIEC ZŁOTA NA KOŃCU TĘCZY

W irlandzkiej mitologii istnieje wiele bóstw, a w tradycji wiele magicznych stworzeń, jednak to przebiegły i psotny Leprechaun z gęstą rudą brodą i w wysokim zielonym kape-

luszku zrobił największą karierę. Być może dlatego, że jak się go złapie, to wskaże drogę do zakopanego skarbu. Tyle, że garniec złota znajduje się na końcu tęczy, czyli dotarcie do niego jest niemożliwe. Kiczowate Leprechauny są kojarzone z przemysłem turystycznym Irlandii i wielu miejscowych się na nie (i na ten przemysł żyzyma). Nic dziwnego, historia i legendy tego miejsca są dużo ciekawsze.

PIERŚCIONEK CLADDAGH



Najładniejsza (no może poza welnianymi swetrami Aran w tradycyjne sploty) pamiątka, jaką można przywieźć z Irlandii, to wywodzący się z XVII wieku pierścionek Claddagh. Dwie dłonie trzymają w nim serce w koronie. Powstał w małej rybackiej wiosce jako symbol miłości i przyjaźni i zrobił zawrotną karierę. Nosząc go, można zaszyfrować swój status matrymonialny – sercem do siebie: mężatka, od siebie: wolna. Sprezentowany przez kogoś Claddagh przynosi szczęście. ●

pomocą trójlistnej koniczyny, która jest dziś jednym z symboli kraju? Być może. Na pewno pozostawił po sobie „Confessio”, spisana opowieść o swoim życiu i wierze.

Patryk urodził się w V wieku u schyłku władzy Rzymian w Brytanii, prawdopodobnie na południu wyspy, być może w Walii. Gdy miał 15 lat, jego wioskę najechali irlandzcy piraci i porwali go wraz z grupą sąsiadów w niewolę. Patryk pracował jako pasterz i miał dużo czasu, więc rozmyślał o chrześcijańskim Bogu, który stoi po stronie uciśnionych. A potem także zaczął się do niego żarliwie modlić o ratunek.

Po sześciu latach udało mu się uciec i wrócić do domu. Postanowił zostać księdzem. Jego wiara była głęboka, ale równie głębokie było przekonanie, że miał wyjątkowe szczęście. Postanowił się tym szczęściem podzielić. Czując „zew Irlandczyków”, wrócił na wyspę jako misjonarz. Przemierzał ją wzdłuż i wszerz, uczył o Jezusie i wyświęcał księży, założył klasztor, spisał swoje „wyznanie”.

Z czasem jego życie obrosło licznymi legendami, na czele z tą o wygnaniu węży, których w Irlandii nigdy nie było. Podobnie jest z opowieścią o 40 dniach i nocach postu na górze Cruachán Aigle, dziś zwanej Croagh Patrick, na wzór Mojżesza i jego postu na Górze Synaj.

Na pamiątkę tego wydarzenia Irlandczycy co roku pielgrzymują na nią w Reek Sunday, ostatnią niedzielę lipca.

Trójlistna koniczyna to też raczej wymysł dużo późniejszy, ale z drugiej strony ładny i radosny symbol. 17 marca, w Dniu Świętego Patryka ustanowionym na pamiątkę jego śmierci, koniczynę zobaczyć można wszędzie, także w postaci żywych gałązek przypiętych do ubrania. ●

FOT. GETTY IMAGES (2), SHUTTERSTOCK



Moje ciało jest dziełem sztuki

Koledzy pytali: „Ewa, po co ci to?”. Żony kolegów gadały,
że już nie jestem taka młoda, że mam krzywe nogi.

Z ARTYSTKĄ **EWA PARTUM**
ROZMAWIA **EMILIA DŁUŻEWSKA**
ZDJĘCIE **JAKUB WŁODEK /**
AGENCJA WYBORCZA.PL

• Artystka
na wystawie
swoich prac
w krakowskim
MOCAKU
(8.03.2026)

• **Ewa Partum** (rocznik 1945) pionierka sztuki konceptualnej, body artu, mail artu i sztuki feministycznej w Polsce. Tworzyła instalacje, performensy, poezję konkretną. W latach 70. prowadziła w Łodzi Galerię Adres. Jej prace znajdują się m.in. w zbiorach MoMA, Tate Modern i Centre Pompidou. Brała udział m.in. w La Triennale 2012 w Paryżu, 18 Biennale w Sydney i Manifesta 7, wystawie WACK! Art and feminist revolution w MOCA Los Angeles i re.act.feminism w Akademii der Künste w Berlinie. Prezeska Fundacji ARTUM.

W 1979 roku oplakatowała pani Warszawę zdjęciem, na którym połowa pani twarzy była sztucznie postarzona. Krytyk Andrzej Osęka napisał w „Kulturze”, że zawraca pani ludziom głowę głupotami.

– On krytykował mnie od wystawy w Galerii Współczesnej, gdzie pokazałam „Obszar zagospodarowany wyobraźnią”. To były formy przestrzenne, podświetlone, z odchylenikami lub szczelinami, przez które można było czytać moje utwory poetyckie. Był czerwiec 1970 roku, taką pracę było bardzo trudno zrealizować, bo brakowało materiałów. Udało się ją zmontować z płyty paździerzowej, ale były w niej kleje, które do otwarcia wystawy nie wyschły i powodowały łzawienie. Zajmowałam się wtedy sztuką konceptualną, która mogła mieć formę broniącą się przed odbiorem, więc niektórzy widzowie uznali, że to celowe.

Pan Andrzej Osęka wszedł do galerii, zaczęły mu łzawić oczy i napisał, że „czyta słowa metaforyczne i poetyckie, artysta” – ściśle mówiąc artystka – „Ewa Partum broni swojej sztuki przed widzem”. Potem zobaczył te plakaty i krytykował, że chcę całą Warszawę zająć blahym problemem, który w dodatku na razie nie istnieje, bo jestem młoda i gdybym nie zeszpecila sobie połowy twarzy, to „pogratulowałby mi urody, co powinno mnie trochę pocieszyć”.

Dziś taki plakat ma w zbiorach MoMA. A felieton to dowód, że problem nie był blahy.

– I wciąż istnieje. Kobiety wciąż postrzega się przez pryzmat wyglądu, wciąż mają być młode i atrakcyjne, ułatwia im to karierę. W przypadku mężczyzny nie ma takiej zależności. Artysta nie ma biografii, ale artystka musi ją mieć. Dlatego pisałam, że „mój problem jest problemem kobiety”.

W dzieciństwie mówiła pani, że gdy dorosnie, zostanie „zwyczajną kobietą”.

– Dorastałam w specyficznym domu. Moja mama był rzeźbiarką, przed wojną skończyła Akademię Sztuk Pięknych, w pracowni była jedyną kobietą wśród kolegów. Robiła monumentalne rzeźby, ale musiała godzić pracę twórczą z wychowywaniem dzieci i zajmowaniem się domem. Ojciec był lekarzem i głównym żywicielem rodziny, rzeźby mamy służyły lataniu budżetu – jak udało się coś sprzedać, kupowało się buty na zimę albo coś podobnego.

Kiedy ja i rodzeństwo byliśmy pytani, kim będziemy, gdy dorosniemy, brat mówił: wielkim poetą, jak Norwid, Słowacki; siostra: wielką aktorką, jak Modrzejewska; a ja, że będę zwyczajną kobietą. Trochę na przekór, a trochę dlatego, że wydawało mi się to najtrudniejsze. Mama sobie z tą rolą radziła – ale zdarzało się, że przypalała ciasta, bo gdy miała wolną chwilę, biegła do pracowni. Za to dbała, żebyśmy mieli kontakt z kulturą, sztuką, literaturą, żebyśmy rozwijali się intelektualnie.

Ostatecznie poszła pani w ślady mamy i zdała na warszawską ASP.

– Próbowałam się dostać na malarstwo, ale nie miałam szans. Było 30 miejsc, a samych protekcji od Cyrankiewicza 60. Poszłam do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, gdzie program był oparty na teorii widzenia Władysława Strzemińskiego, ale na wydział ubioru. Po dwóch latach udało mi się przenieść do ASP w Warszawie na malarstwo.

W międzyczasie, w 1965 roku, pojechałam na letni plener do Sopotu. Wzięłam płótna, blejtramy, ale strasznie padało, trudno się było z tym rozstać. Więc położyłam to płótno na wzgórzu i obrysowałam swój kontur. Wstając, pozostawiłam na płótnie rekwizyty: kalosze, okulary od słońca. Koleżanka zrobiła zdjęcie z tego wydarzenia, z moim cieniem padającym na białą blejtram i bez cienia. Powstał cykl fotografii dokumentujących moją pierwszą pracę konceptualną, „Obecność/Nieobecność”.

W 1971 roku w Łodzi powstała inna pani pionierska praca, instalacja „Legalność prze-



• Trzy zdjęcia z serii kolaży prezentowanych w Małej Galerii ZPAF w Warszawie w 1980 roku na wystawie „Samoidentyfikacja” FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI EWY PARTUM/ARTUM FOUNDATION (3)

strzeni”: seria znaków zakazów ustawiona – nomen, omen – na Placu Wolności.

– Mijałam to miejsce codziennie, fascynowało mnie. Centrum miasta, z jednej strony tętni życie: pięknie odnowione budynki, Muzeum Etnograficzne, a z drugiej wyrwa po zniszczonych kamienicach. Chciałam tam zainstalować lustra, żeby odbijały to życie, ale było to za drogie. Więc postanowiłam zgromadzić w tej wyrwie jak najwięcej zakazów. Znaki drogowe wypożyczyłam od miasta, z kolegą malowaliśmy tabliczki: „zakaz palenia”, „zakaz wstępu”, „nie dotykać”. Stworzyłam też własne: „zabrania się pozwalać” i „zabrania się zabraniać”.

Zgromadzone w jednym miejscu robiły absurdalne wrażenie: wszystko było wzbronione. Choć działały – przechodzili obok dwaj mężczyźni i jeden pokazał drugiemu: „patrz, zakaz palenia” i drugi natychmiast papierosa zgasił.

I władze na to pozwoliły?

– Byłam młodą studentką Akademii Sztuk Pięknych, która wymyśliła sobie jakiś dziwny projekt – bo wówczas sztuka w przestrzeni publicznej właściwie w Polsce nie istniała. Konceptualizm – rewolucja tworząca nowy język sztuki – właśnie powstawał.

Żeby wypożyczyć znaki od miasta, potrzebowałam pismka od Biura Wystaw Artystycznych. Siedział tam jeden pan, przeczytał, przystawił pieczętkę i wtedy do niego dotarło, co zrobił. Zaczął krzyczeć, że mam to zezwolenie natychmiast oddać, bo on chce w tym miejscu dociągnąć do emerytury, ale szybko zbiegłam po schodach i już tego nie cofnęli.

Na wernisaż przyszło dużo ludzi, byli ciekawi, co to będzie. Na zaproszeniach i plakatach napisałam tylko, że otwarcie pracy „Legalność przestrzeni”. Krążyły plotki, że będę się w centrum Łodzi nago kąpać. Wynajęłam samochód z megafonem, jeździłam po placu i czytałam te tabliczki. Telewizja łódzka nawet o tym nakręciła program, ale nie było problemów.

Pani sztuka była w PRL-owskich mediach pokazywana jako ciekawostka?

– Bywało, że z typowo patriarchalnym komentarzem. W 1980 roku w Warszawie pokazywałam wystawę „Samoidentyfikacja”, serię kolaży, w których jestem wklejona nago w różne sceny na ulicach Warszawy, m. in. obok policjantki, kobiety z wózkiem, w kolejce do sklepu, wśród przechodniów na Krakowskim Przedmieściu. Pokazywałam to w Małej Galerii ZPAF w Warszawie, obok Pałacu Ślubów. Na otwarciu wyszłam nago z galerii, stanęłam w tłumie otaczającym nowożeńców. Towarzyszący mi kamerzysta zauważył patrol milicyj-

ny, więc musiałam uciekać, ale powstały dwa zdjęcia z serii, które nie są kolażami.

Na miejscu był dziennikarz radiowy, który postanowił zapytać kobiety na ulicy, co myślały o mojej sztuce. Mówiły, że to nihilizm: „Jak tak można!”, „To nie Afryka”. Potem słuchacze dowiedzieli się, że społeczeństwo Warszawy jest oburzone moim zachowaniem.

Pani Janina Motylińska, redaktorka Polskiej Kroniki Filmowej, postanowiła mnie bronić. Zadzwoniła: pani Ewo, chcemy poinformować o pani sztuce. Nakręciła o mnie odcinek Kroniki. Chciała jak najlepiej, ale nie przewidziała, że jej koledzy zatytułują ten materiał „Emancypantka z Polski” i dodadzą do niego ironiczny komentarz, m.in.: „Oto widzimy sztukę jako nagą prawdę”. Męskie spojrzenie na świat.

Pierwszy raz wystąpiła pani nago w 1979 roku. Wcześniej zajmowała się pani sztuką konceptualną.

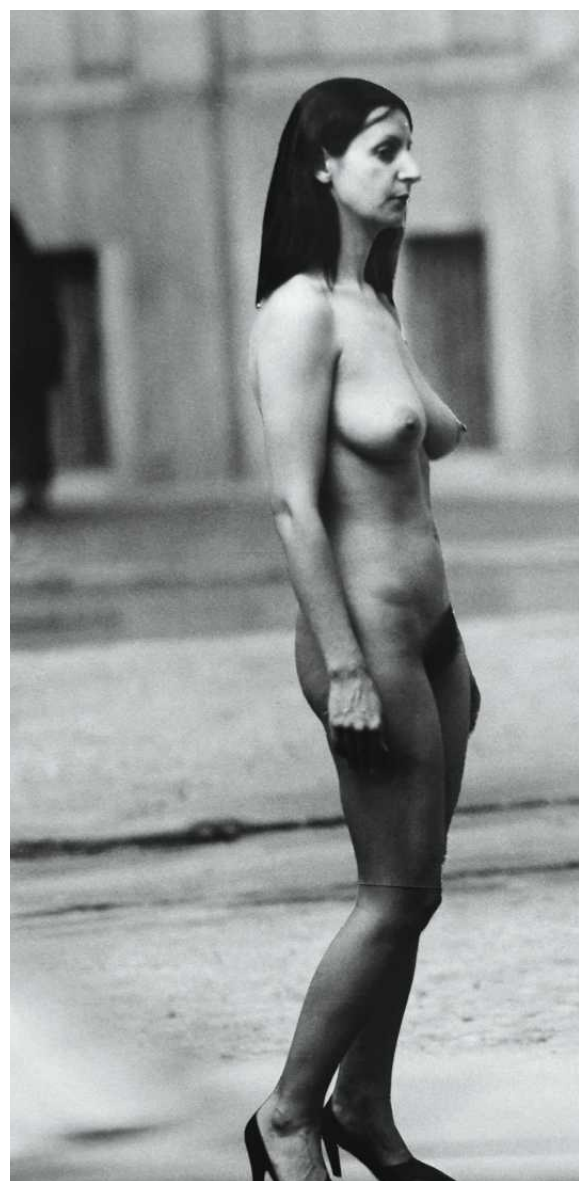
– Interesowało mnie tworzenie nowego języka sztuki, znaki, które nie podlegają interpretacji. Na początku lat 70. zaczęłam używać wyciętych z kartonu liter. Można je było kupić w sklepach papierniczych, służyły do układania hasel ku chwale socjalizmu w ściennych gazetkach czy na zebraniach.

Zaczęło się od wystawy „Obszar na licencji poetyckiej” otwierającej Biuro Poezji w lokalu przy Poznańskiej, gdzie mieszkaliśmy z mężem Andrzejem Partumem. 13 metrów, jeden pokój, toaleta na półpiętrze. Rozsypałam litery na podłodze, a wycieraczkę nasączałam klejem. Goście roznosili te litery po całej Warszawie.

Później rozsypywałam litery w przestrzeni publicznej, w lesie, układałam na plaży, a morze je zabierało i wyrzucało z powrotem, aż do całkowitego zniknięcia. W przejściu podziemnym rozsypałam stronę „Ulissesa” Jamesa Joyce’a i ustawiłam tablicę: „Poezja aktywna. Ewa Partum”. W nocy firmy sprząające zabrały litery i tablicę, ale konsekwencji nie było.

„Poezja aktywna” budziła zainteresowanie, ale była dla wąskiego kręgu wtajemniczonych – innych artystów czy krytyków. W sztuce konceptualnej publiczność nie była potrzebna, właściwie sztuka się przed nią broniła. Chciałam, aby moja sztuka dotyczyła innych ludzi, społeczeństwa. Wychodząc od sztuki konceptualnej, postanowiłam zająć się problemami, które dotyczyły mnie jako kobiety, ale były też problemami innych kobiet.

W 1974 roku powstaje „Zmiana”: charakteryzatorka postarza pani połowę twarzy. Pięć lat później w pracy „Change. Mój problem jest problemem kobiety”



ten zabieg powtórzy pani z całym ciałem. Jak to wyglądało?

– Siedziałam nago w Galerii Art Forum w Łodzi, charakteryzatorki filmowe na oczach publiczności zmieniały połowę mojego ciała w ciało staruszki. Trwało to dwie godziny. Z głośników puszczałam teksty feministyczne: Valie Export, Ulrike Rosenbach i moje. Po wszystkim wstałam i ogłosiłam, że widzowie byli świadkiem powstania dzieła sztuki, więc od tej pory moje ciało jest dziełem sztuki i tak go będę używać.

Wstydzila się pani tak leżeć nago?

– Nie, bo myślałam o ciele jako narzędziu mojej sztuki. Choć ludzie reagowali różnie. Podczas performance’u było dobrze, ale potem zaczęły do mnie przychodzić żony kolegów, często też artystki po akademii, i pytać, jak mogę się tak pokazywać. Za plecami gadały, że nie jestem już taka młoda i mam krzywe nogi.

A koledzy?

– Pytali: „Ewa, po co ci to? Masz przecież prace konceptualne, po co ci ten cały feminizm?”. Myślę, że czuli się trochę nieswojo, bo to było coś, w co nie mogli ingerować jako artyści.

A cenzura ingerowała?

– Gdy robiłam „Samoidentyfikację”, przysłała pani z cenzury obejrzyć kolaże. Nie podobalo jej się to nagie ciało, ale kierowniczka galerii zaczęła tłumaczyć, że to jest galeria fotograficzna, tu są często pokazywane akty, a za prośbami już rozesłane, więc jak teraz odwołają, to się zrobi szum i dopiero wszyscy będą chcieli te prace zobaczyć. Ostatecznie pani z cenzury kazała tylko zdjąć kolaż ze mną przed Pałacem Prezydenckim, gdzie wtedy była Rada Państwa. Uznała to za obrazę polskiego rządu.

Na wernisażu odczytałam swój manifest nago, dodając, że będę tak długo występowała nago, póki kobiety w społeczeństwie i środowisku sztuki nie będą traktowane tak samo jak mężczyźni. Z kierowniczką się umówiłam, że w razie kłopotów powie, że zrobiłam to bez zapowiedzi.



W tym samym roku pierwszy raz pokazuje pani performance „Kobiety, małżeństwo jest przeciwko wam”. Pani małżeństwo było przeciw pani?

– Z pierwszym mężem – Andrzejem Partumem – bardzo się kochaliśmy, ale to był trudny związek. Pobraliśmy się w 1968 roku. On był poetą dadaistą, niezwykle utalentowanym człowiekiem, ale miał trudne życie. Jako dziecko został sierotą, później zmarła ciotka, która się nim opiekowała, i został sam. Nie skończył żadnej szkoły, nie miał zaplecza intelektualnego wyniesionego z domu. Dyktował mi swoje wiersze, zapisywałam je, poprawiając błędy.

Ja mu zaczęłam opowiadać o happeningu, o sztuce konceptualnej. Początkowo był sceptyczny, ale kiedy zabrałam go na „Zjazd Marzycieli” do Elbląga, wciągnął się. Problem w tym, że jak ja sobie coś zapisałam i wyrzuciłam, to on wyciągał i wykorzystywał. Wchodzę potem do galerii Foksal, a tam mój pomysł podpisany „Andrzej Partum”. Jeden znajomy powiedział: nieważne, kto napisał, ważne, kto się podpisał. Był zazdrosny o moją pozycję artystyczną. A jednocześnie byłam od niego młodsza, więc ludzie sądzili, że to ja jestem pod jego wpływem, bo jestem jego żoną.

Rozwiodłam się w 1978 roku. W 1980 roku wyszłam na scenę do wtóru marsza Mendelssohna w sukni ślubnej opakowana w folię z napisem „For Men”. Za mną wisiał transparent: „Kobiety, małżeństwo jest przeciwko wam”. Cięłam tę folię i suknię, a widzom rozdawałam kawałki, aż stanęłam naga przed publicznością. Ale nie chodziło tylko o mnie. Każde małżeństwo jest przeciwko kobiecie.

A macierzyństwo? Jedna z pani prac z serii „Poem by Ewa” to zdjęcie z karmienia piersią córki Bereniki. Jej imię, obok nazwisk słynnych artystów, wpisała pani w pracy „Autobiografia”, która też jest w zbiorach MoMa.

– Ja naprawdę chciałam być zwykłą kobietą. Chciałam mieć dzieci, ale przez lata nie mogłam sobie na to pozwolić, bo nie miałam stabilizacji. W Polsce nie było rynku sztuki, nie dało się wyżyć ze sprzedaży prac, zwłaszcza

tych konceptualnych. Pracowałam nad projektami okładek, dawałam wykłady w galeriach, robiłam plakaty, pracowałam na planach filmowych jako kostiumografka i scenografka. Pragnienie macierzyństwa udało mi się zrealizować tylko dlatego, że żyła jeszcze moja mama, która bardzo mi pomagała. Mogłam zostawić Berenikę w dobrych rękach i wyjeżdżać na wystawy.

A co pani mama myślała o pani sztuce?

– Mama wierzyła, że w sztuce trzeba zawsze szukać czegoś nowego. Kiedy byliśmy dziećmi, układała dla nas wierszyki – potem, już po pięćdziesiątce, zadebiutowała w „Misiu” jako poetka – i każdy wierszyk był skonstruowany tak, żeby było w nim zaskoczenie, odkrycie.

Moje prace konceptualne trochę ją martwiły, bo jako rzeźbiarka uważała, że sztuka to coś monumentalnego. Mówiła: masz te wystawy, ale to jakieś papierki, z tego nic nie zostanie. A potem kiedyś w telewizji puścili materiał o festiwalu sztuki, w którym był fragment mojego performance’u. Mama spojrzała na mnie i powiedziała: „Ewa, nago? Czy to nie nudne?”.

W 1982 roku wyjechała pani z Warszawy do Berlina. Jak do tego doszło?

– Dzięki kontaktom, które nawiązałam, prowadziłam autorską galerię mailartu Adres. W 1972 roku dostałam pomieszczenie, cztery metry kwadratowe, przy Związku Polskich Artystów Plastyków. Myśleli, że będę tam wieszać jakieś obrazki, a ja zaczęłam pisać do artystów z całego świata. Przysyłali nam swoją sztukę. Tak poznałam Wolfa Vostella, jednego z pionierów Fluxusu, ojca europejskiego happeningu, który zaprosił mnie do Berlina. Drugie zaproszenie miałam od niemieckich feministek.

Dostawałam już wcześniej zaproszenia na wystawy, ale władze nie dawały mi paszportu. Tym razem napisałam we wniosku, że jestem artystką, samodzielnie wychowuję dziecko, nie mam możliwości pracy w zawodzie i jak ministerstwo znowu mi odmówi, to niech weźmie na siebie konsekwencje mojej egzystencji. Dali mi zezwolenie na wyjazd do Berlina na krótki czas.



Wsiadłam do pociągu z Bereniką i moimi pracami 26 listopada 1982 roku. Pusto, przychodzi konduktor, patrzy na te zapakowane prace i pyta, co ja tam wiozę. Więc mówię: „Tu jest Rembrandt, a tu da Vinci”.

W Polsce był już stan wojenny, więc Polacy w Niemczech dostawali możliwość pobytu. Te berlińskie feministki zaprowadziły mnie do urzędu, pomogły wypełnić kwity, że jestem samotną matką i należy mi się zasiłek. Jedną mnie zameldowała u siebie, u innej mieszkalam.

Pomogły mi, choć artystycznie się nie dogadywałyśmy, bo one były bardzo demokratyczne, uważały, że jak się jest kobietą i maluje akwarelki, to też się robi sztukę feministyczną. Do tego same się finansowały, więc do wystaw trzeba było dokładać. Nie mieściło mi się w głowie, że mam płacić za pokazanie moich prac.

Wtedy przez innych znajomych poznałam niemieckiego galerzystę Michaela Wewerkę. Nie bardzo interesowała go wtedy sztuka konceptualna, ale zainteresowało go, że naga kobieta coś robi, i zaprosił mnie do swojej galerii. Rozkleił plakaty po knajpach, przyszło sporo ludzi. Powtórzyłam performance „Hommage a Solidarność”, który w Polsce pokazałam w sierpniu 1982 roku.

Podchodziła pani nago do napisu „Solidarność” i odciskała ślad uszminkowanych ust pod każdą z liter. W Polsce to widzów nie oburzało?

– Nie miał się kto oburzyć, tam było dziesięć osób. To była podziemna galeria, nazywała się dla niepoznaki „Czyszczenie dywanów”. Wywieszali ogłoszenia, że tego dnia, o takiej godzinie będzie czyszczenie dywanów i ludzie wiedzieli, kiedy przyjść.

W Berlinie powtórzyłam też performance „Stupid Woman”. Grałam w nim taką słodką idiotkę, kobietę, jaką społeczeństwo chciałoby widzieć. Ubrana w lampki choinkowe wdzięczyłam się do mężczyzn, piłam z nimi alkohol, mogli mnie pocałować, pytałam, czy mnie kochają. Jak potwierdzali, kazałam to sobie dać na piśmie. Mam jeszcze te zapiski w archiwum.

W trakcie tego performance’u wylewałam sobie alkohol na głowę. Cud, że się te lampki na mnie nie spaliły. Za to w Polsce był problem, bo nie dało się dostać żadnego szampana, więc polewałam się normalnie wódką. Strasznie mnie potem bolała głowa.

W 1985 roku wysłała pani do berlińskich znajomych zaproszenia na „performance w galerii Urząd Stanu Cywilnego”. To był pani drugi ślub.

– Też byłam zapakowana w folię i w suknię ślubną, ale rozciął mnie Rolf Werner, mój drugi małżonek. Namalowałam mu złotą farbą obrączkę na palcu. To było działanie między sztuką a rzeczywistością: ślub był naprawdę,

a dzięki temu mój performance był potwierdzony w dokumentach. Potem Rolf twierdził, że się z nim pobrałam tylko dla performance’u.

Tak było?

– Trochę tak było.

Dwa lata później powstaje postscriptum, czyli „Katastrofa małżeńska”: zdjęcie pani twarzy z podbitym okiem. Podobne zdjęcie zrobiła sobie Nan Goldin. Znała je pani?

– Nie, wtedy w ogóle nie słyszałam o Nan Goldin. Po latach zobaczyłam to jej zdjęcie i moje zestawione razem na wystawie. Ona miała inne problemy, narkotyki, jakieś ciągłe szaleństwa. Ja miałam po prostu męża, który był zazdrosny, bo powiedziałam, że ktoś jest sympatycznym człowiekiem.

Natychmiast po tej awanturze dałam mu aparat i powiedziałam, aby to udokumentował. Moja córka powiedziała kiedyś, że każdego męża do sztuki wciągałam.

Niedługo kończy pani 81 lat. Pani prace znajdują się w zbiorach najważniejszych muzeów na świecie, wystawa w krakowskim MOCa-u to kolejna pani duża retrospektywa. Świat w końcu rozumie pani sztukę?

– Na pewno jest łatwiej, bo dziś młodzi artyści zaczynają już w świecie postkonceptualnym. Nawet jeśli zajmują się tradycyjnymi dziedzinami sztuki, pewne sposoby myślenia nie są dla nich obce.

Ale nie jest to dla mnie kluczowe. Nigdy nie zabiegałam o akceptację, ufałam swojej intuicji. Wierzyłam w to, co robię, uważałam, że jestem na dobrej drodze. Nie zwracałam uwagi, co inni o tym mówią.

W 1980 roku oświadczyła pani, że będzie występować nago, póki kobiety nie będą równo traktowane. I co?

– Zmieniło się wiele i w społeczeństwie jako takim, i w świecie sztuki. To, że w MOCa-u otwiera się wielka wystawa wokół mojej twórczości, kiedyś byłoby niewyobrażalne.

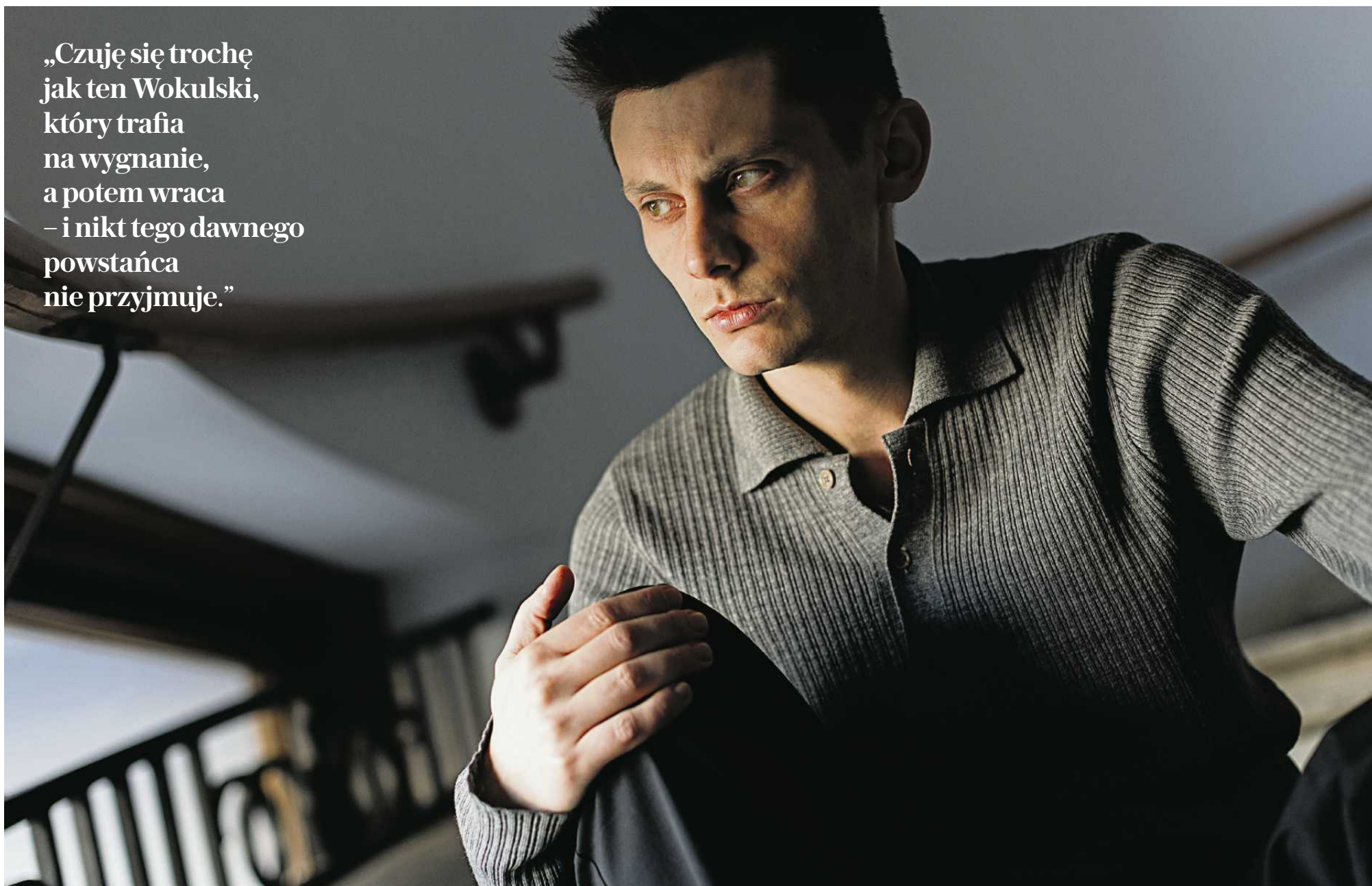
W Polsce patriarchat wciąż ma się dobrze, świetnym przykładem jest kwestia aborcji.

Zrobiłam o tym pracę „Wyciskacz lez”, perfumy o zapachu gazu pieprzowego, który kiedyś kobiety nosiły w torebce dla obroby, a potem policja używała go przeciw kobietom.

Wcześniej, w 2017 roku, ustawiłam w Sokołowsku instalację ze stu czarnych parasolek i baneru z napisem: „Wy odbieracie nam wolność decyzji, my wam odbierzemy władzę”. Obecny rząd wygrał wybory dzięki kobietom, ale i w nim są elementy zacofane, które głosują przeciwko nim.

Dziś nie występuję już nago, ale moja twórczość zainspirowała inne osoby. Młode artystki prowadzą tę sprawę dalej. ●

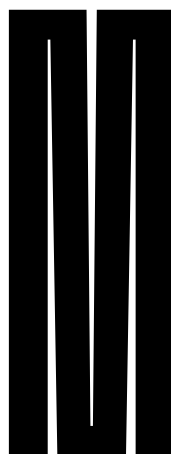
„Czuje się trochę jak ten Wokulski, który trafia na wygnanie, a potem wraca – i nikt tego dawnego powstańca nie przyjmuje.”



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

PO KREMÓWKACH CZAS NA „LALKĘ”

Witold Mrozek



Mikita Ilinczyk urodził się w białoruskim Nowogródku, jak Adam Mickiewicz. Studiował i pracował w Moskwie, a teraz w Teatrze Dramatycznym w Warszawie wystawia „Lalkę” Bolesława Prusa. 31-letni reżyser i dramaturg jest dopiero co nominowany do Paszportu „Polityki”. Wcześniej w Warszawie, Poznaniu czy we Wrocławiu wystawiane były jego nieoczywiste sztuki o uchodźcach i migracji.

WITOLD MROZEK: Gratuluję paszportu, który właśnie odebrałeś. Trudno dostać polskie obywatelstwo?

MIKITA ILINCZYK*: W białoruskim akcie urodzenia mam wpisane „narodowość: Polak”, miałem już wcześniej Kartę Polaka, moja rodzina miała polskie obywatelstwo aż do 1939 r. Osób, które mają polskie korzenie, dotyczy inna procedura. Musiałem spełnić różne warunki, m. in. mieszkać w Polsce trzy lata.

Czyli musiałeś swoją polskość wykazać przed polskim państwem dwa razy – raz przy egzaminie na obywatela, raz – wcześniej – przy Karcie Polaka.

– Przy Karcie Polaka to „obowiązkowa rozmowa”, nie egzamin. Choć wygląda trochę jak egzamin. Dużo jest w internecie chatów i grup, gdzie ludzie dyskutują, jak zdobyć Kartę Polaka, gdzie łatwiej przejść rozmowę, gdzie trudniej. To też zależy od województwa, od urzędnika... Obecnie możesz odbyć taką rozmowę w każdym mieście wojewódzkim, a nawet nie tylko wojewódzkim. Ja na przykład miałem rozmowę kwalifikacyjną w Białej Podlaskiej. Jest dookoła tego dużo żartów i specyficznych sytuacji.

Zrobiłeś o tym projekt teatralny na festiwal Sopot Non-Fiction...

– Reżyserką była Kalina Jagoda Dębska. Byłem tam jako dramaturg, który miał doświadczenia z tym „egzaminem”. Mówią, że to w Białej Podlaskiej jest najtrudniejszy, z panią, która dyskwalifikuje od razu, już przy pierwszych pytaniach. Pomyślałem, że pojadę właśnie do niej, bo tam była najkrótsza kolejka. No i mi się udało. Jeśli jesteś szczerzy, to ta rozmowa jest dość łatwa... Po prostu czułem się pewnie. Moja rodzina była zesłana, represjonowana, mordowana. Żył przez lata w strachu, długo bo-

jąc się nawet mówić w swoim ojczystym języku. Mogłem opowiadać i o rodzinie, i o swoich korzeniach, i o historii, i nawet o religijnym aspekcie, do którego teraz, jak rozumiem, zmierzamy...

Egzaminy na Kartę Polaka słyną z pytań o rzymski katolicyzm jako wyznacznik polskości. Krążą opowieści o pytaniach o odróżnianie Zielonych Świątek od uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny.

– Naprawdę takie są? Moim ulubionym pytaniem było: „Jaki był ulubiony deser Jana Pawła II?”.

To chyba prostsze.

– Ale z perspektywy ludzi, którzy są spoza tu-tejszego kontekstu, trudno się dowiedzieć, że ulubionym deserem Jana Pawła II była kremówka. Białoruś to chyba najbardziej zateizowane państwo byłego ZSRR. Były też pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć od razu. Na przykład nie wiedziałem, kto zabił trębacza.

Trębacza? Aha, hejnalistę w Krakowie...

– Niektóre pytania były dość kuriozalne. Na przykład legenda o świętym Wojciechu. Musiałem opowiedzieć, jak jego ciało było wykupione. Że za tyle złota, ile ważyło...

Ale „Lalkę” Bolesława Prusa czytałeś, zanim zacząłeś pracę nad nią w Teatrze Dramatycznym?

– Trzymałem w rękach... ale wcześniej nie czytałem.

Poszedłeś na studia teatralne w Moskwie. Ta decyzja była dla ciebie naturalna?

– U nas, na Białorusi, kończy się szkołę bardzo wcześnie. Ma się siedemnaście, a nawet szesnaście lat. Tuż po szkole zostałem zatrzymany przez milicję podczas akcji protestacyjnej. To mnie przeraziło. Pierwszy raz w życiu poczułem się nikim, zupełnie nikim. To był też czas składania aplikacji na studia w akademii teatralnej, było lato, egzaminy. Chciałem uczyć się w Mińsku, ale „oni” już się tym zajęli, przy okazji zatrzymania zadzwonili do akademii. Dostałem same dwójki. Nawet nie poszedłem na dalsze egzaminy. Wtedy pomyślałem, że pojadę do GITIS [Rosyjski Uniwersytet Sztuki Teatralnej nazywany także Moskiewską Akademią Teatralną], do tej legendarnej szkoły. Dostałem się.

Poczułeś ulgę, gdy wyjechałeś z Białorusi? Mimo, że to był wyjazd do Rosji?

– To był bardzo dziwny czas. Teraz rozumiem, że w ogóle nie miałem pojęcia, jak funkcjonuje Rosja. Mieszkalem w Moskwie, a trzeba

mieć świadomość, że to są dwie różne rzeczy, dwa różne miejsca: Moskwa i Rosja. Szkoła teatralna znajduje się w samym centrum miasta, jest otoczona teatrami, pełna ludzi o bardzo różnych poglądach. Białoruś wydawała mi się wtedy bardziej zamknięta, silniej cenzurowana, poddana mocniejszej kontroli niż Rosja. Tam było wtedy więcej wolności.

A jak wspominasz szkołę? Dorasta do mitu Wielkiej Rosyjskiej Szkoły Teatralnej?

– Nie wiem, co to jest mit Wielkiej Rosyjskiej Szkoły. Musisz mi wytłumaczyć.

Że pracuje się bardzo ciężko, że rezultaty są imponujące, że studenci-aktorzy nie wychodzą do nocy, bo pracują. Ba, w ogóle nie wychodzą, dopóki nie osiągną tej prawdy, która jest – dajmy na to – w Czechowie. W Polsce wiele osób do dziś w to wierzy.

– To powiem tak: staram się zrozumieć tę specyfikę, powody, dla których byliśmy tam faktycznie 24 godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, i właściwie nie wychodziliśmy. Po noc w tym budynku, przy ulicy Małyj Kisłowski Pierieulok, mieszkał kiedyś Adam Mickiewicz. Z kolei w akademiku miałem pokój, w którym mieszkał Jerzy Grotowski... W każdym razie w GITIS jest bardzo mało studentów z Moskwy. W naszej grupie, oprócz ludzi z wielu miast Rosji, byli Litwini, Mongołowie, Grecy, Kirgizi, Azerowie, no i Białorusini. To była naprawdę międzynarodowa szkoła, przynajmniej wtedy, przed 2022 rokiem – jak jest dziś, nie wiem. Nie mieliśmy rodzin, do których można było dojechać pociągiem w trzy, cztery godziny, więc to szkoła stawała się przestrzenią, w której dosłownie siedziało się cztery lata, non stop w artystycznym otoczeniu.

Po szkole trafiłeś do Teatru na Małej Bronnej, do Konstantina Bogomołowa, chyba najważniejszego wtedy nazwiska rosyjskiego teatru.

– Nie do końca wiem, jak to się w ogóle stało. W rosyjskiej szkole, na ostatnim roku opiekunowie studentów pomagają im zintegrować się z teatrami, ułatwić kontakt z dyrektorami. W Polsce, co bardzo mi się podoba, dzieje się to wcześniej, od pierwszego roku studenci mają czytania dramatów, biorą udział w różnych festiwalach, wchodzą w świat teatralny. W Rosji są zupełnie inne metody; koncentracja na partnerze, milczenie, monolog wewnętrzny, analiza tekstu. My robimy na pierwszym roku nawet żadnych etud. W każdym razie mój opiekun połączył mnie w 2019 roku z Bogomołowem, gdy ten został dyrektorem Teatru na Małej Bronnej. Moja pierwsza rozmowa z Bogomołowem trwała piętnaście minut. Przyszłem do jego gabinetu, a on po prostu zapytał, co chcę zrobić. Ja odpowiedziałem: „Łaskawe” Jonathana Littella. „No dobrze, zaczynaj za dwa tygodnie próby”. Premierę mieliśmy – uwaga – 9 maja.

W Rosji to Dzień Zwycięstwa, ważne święto państwowe wpisane w propagandę. – To było dość prowokacyjne, może antypaństwowe: zrobić na scenie powieść, której głównym bohaterem jest były oficer SS. Jeszcze z mocnym wątkiem queerowym – i dać premierę 9 maja. My to zrobiliśmy. Recenzje były bardzo dobre, na ten spektakl trudno było dostać bilety. I tak się zaczęła moja kariera reżyserska.

Co było dalej?

– Chyba w Polsce też tak jest, że jeżeli zrobisz dobry debiut, to od razu, z tego samego teatru, od tego samego dyrektora, dostajesz kolejną propozycję. Bo teatr ci ufa, jesteś w dobrych relacjach z zespołem. Dostałem propozycję, żeby zrobić „Wiśniowy sad” Czechowa. Rozmowa znowu trwała kwadrans. Mówię: „Ale jeżeli »Wiśniowy sad«, to chciałbym, żeby główną rolę grała transpłciowa aktorka”. A Bogomołow: „Super. Jak mogę cię połączyć z transpłciową aktorką?”. Jest ktoś taki. Natasza Maksimowa. Ona nie jest z zawodu aktorką, ale jest bardzo utalentowana.

I co?

– I dyrektor dał mi zielone światło. Natasza ma niesamowitą biografię, urodziła się jako chłopak w Związku Radzieckim w Kazachstanie. Na początku lat dziewięćdziesiątych wyjechała do Francji. Musiała znieść sporo trudnych, nierzadko upokarzających chwil. Bogomołow zgodził się, żebym pracował z Nataszą. Miałem pomysł, żeby spektakl był maksymalnie klasyczny, czechowowski, bez żadnych nowatorskich popisów, bez żadnych zmian w tekście – tylko z grą transpłciowej aktorki. Sto procent Czechowa, tylko gra Natasza.

I to się nie udało?

– Zaczęliśmy próby w teatrze, na dużej scenie. Ale gdy tylko teatr poinformował publicznie o premierze, zaczął się hejt: najpierw Pierwyj Kanał, największa stacja telewizyjna w Rosji, włączyło się też z tego, co pamiętam, ministerstwo kultury. A pieniądze już wydane... Na scenografię, kostiumy, honoraria ekipy. Wtedy dyrekcja podjęła decyzję, żeby wymienić mi aktorkę. Potem zaczęła się pełnoskalowa wojna i wyjechałem. Koniec mojej kariery.

Nie byłeś na premierze?

– Byłem na próbach, wyjechałem wcześniej. To już sam Bogomołow doprowadził spektakl do końca. Z innymi aktorami.

Trudno było wyjechać z Rosji?

– Z początku mocno to przeżywałem, ale gdy zaczęła się wojna, nie widziałem sensu, żeby tam żyć i pracować. Zrozumiałem, że to koniec.

Wyjechałeś do Polski?

– Do Bydgoszczy. Ale przez Białoruś, najpierw pożegnać się z Białorusią, na wieś. To była dziwna podróż, w głowie grał mi polonez Ogińskiego, „Pożegnanie ojczyzny”. To było też rozstanie z rodziną.

Dlaczego akurat do Bydgoszczy?

– Bo w 2021 roku wygrałem tam konkurs, zostałem laureatem Nagrody Dramaturgicznej Miasta Bydgoszczy „Aurora”. Za tekst „Dark Room”. Ówczesni dyrektorzy bydgoskiego teatru – Wojtek Faruga i Julia Holewińska – bardzo pomogli mi w tym, żebym został w Polsce. Jeszcze w 2021 roku zaprosili mnie, bym u nich wyreżyserował spektakl. Miałem więc plan, że i tak pojedę do Polski. Dla bydgoskich aktorów przygotowałem już nawet tekst.

W polskim teatrze inaczej się pracuje?

Jak porównałbyś styl pracy aktorów w Polsce i w Rosji? – Wiesz, ja byłem w takim stresie językowym, że nawet nie zastanawiałem się zbyt nad stylem pracy z polskimi aktorami. Na szczęście zespół Teatru Polskiego w Bydgoszczy bardzo mocno mnie wspierał, również językowo. Bo możesz nawet być na poziomie B1, ale do pracy reżyserskiej potrzebujesz C1. Budziłem się o 7 rano, otwierałem Google Translate i tłumaczyłem sobie, co tam chcę dziś powiedzieć aktorom. Trzy godziny później, totalnie zestresowany, przychodziłem do teatru i czytałem aktorom z komputera swoje uwagi. Tak wyglądała moja aklimatyzacja.

Ale chyba poszło nieźle? Dzisiaj jesteś rozpoznawalną postacią w polskim teatrze. Byłeś nominowany do Paszportu „Polityki”, robisz „Lalkę” na dużej scenie Teatru Dramatycznego.

– Nie kumam tego (*śmiech*). Nie wiem, jak to się stało. Wspaniale, że mam pracę, zresztą bez niej czuję się bardzo samotny, mam znajomych tylko z pracy, znajomych w trybie pracy. Poza tym nikogo nie mam... A kiedy nie pracuję, to po prostu siedzę i piszę kolejne teksty dla teatru. I wiem, że to taki niedobry pracoholizm.

Mało artystów w polskim teatrze zajmuje się tematyką uchodźczą, ksenofobią w Polsce. A ty – białoruski Polak czy też polski Białorusin – zrobiłeś o tym dwa głośne spektakle w ciągu roku.

– „Ksenofobia” brzmi hardcorowo. Nie podoba mi się słowo, którego użyłeś.

No, ale czy twój „Pigmalion” z Teatru Polskiego w Poznaniu nie jest o ksenofobii? W tej sztuce w 2035 roku Unia Europejska deportuje wszystkich migrantów. Trwają polowania na ludzi. Jeden sprawiedliwy Polak ukrywa osobę ze Wschodu w swoim mieszkaniu... To nie jest hardcore? Tam są jasne analogie do Holocaustu.

– Nie, nie zrobiłem spektaklu o Holocaustcie. Tak mówią krytycy, którzy napiszą wszystko dla zdobycia lajków pod postami... Zaproponowałem dyrektorowi Maciejowi Nowakowi „Pigmaliiona” według Shawy, bo powiedziałem mu, że moim zdaniem w Polsce czas właśnie na tę sztukę. To jest bardzo ciekawe, że „Pigmalion” jest dość popularny w imperiach bądź dawnych imperiach. W Rosji, w Niemczech, w Wielkiej Brytanii... A teraz również do Polski przyjechało dużo „obcych” ludzi. Ja sam taki jestem. I dla tych ludzi nie ma teraz powrotu. Wcześniej mogłeś być emigrantem, być w pracy, ale wracać na weekend do rodziny. Dziś na Białoruś wrócić nie można. Teraz siedzimy razem, dla nas to zamknięta przestrzeń, i zaczynają rodzić się napięcia.

■
Mówią, że to w Białej-Podlaskiej jest najtrudniejszy „egzamin”, z panią, która dyskwalifikuje od razu, już przy pierwszych pytaniach. Pomyślałem, że pojedę właśnie do niej

„Pigmalion” to satyra – potrzebowałem humoru, który byłby bardzo tu i teraz. Dlatego współpracowałem też z polskim dramaturgiem Andrzejem Błazewiczem, który mi otwierał polskie konteksty.

Nauka poprawnego akcentu, by przetrwać, to coś, z czym sam się w tej sztuce identyfikowałeś?

– Oczywiście, często doświadczałem podobnych sytuacji, choćby w sklepach.

Poprawiali cię sprzedawcy?

– Nie, mówili, żebym nauczył się mówić po polsku, chociaż uważam, że przecież mówię po polsku.

*Mikita Hinczyk

• Reżyser i dramaturg. Urodził się 1995 r. w Nowogrodku. Studiował w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej (GITIS) w Moskwie. W 2021 r. zadebiutował jako reżyser i dramaturg spektaklem „Łaskawe” na podst. powieści J. Littella (Teatr na Małej Bronnej). W 2021 r. zdobył Nagrodę Dramaturgiczną Miasta Bydgoszczy „Aurora” za tekst „Dark Room”. W 2022 r. zadebiutował w Polsce jako reżyser i dramaturg spektaklem „F***ing in Brussels” w Teatrze Polskim w Bydgoszczy. Autor i współautor dramatów mówiących o migracji i uchodźstwie: „Pigmalion”, „Unpacking” czy „2049: Witaj, Abdo”.

• **Premiera „Lalki”** w reżyserii Mikity Hinczyka i adaptacji serbskiego dramaturga Gorana Injacia w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, w piątek, 20 marca. W rolach głównych: Marcin Bosak i Marta Ojczyńska.

Sprzedawcy w polskich sklepach często sami są z Ukrainy czy Białorusi...

– Może ta sprzedawczyni była właśnie z Białorusi? Może to była zemsta na innym migrancie? Wprowadzam w „Pigmalionie” ten wątek przez postać Wasyla, który chce się zemścić na „swoich”.

A jak postrzega cię białoruska diaspora w Polsce, teatralna na przykład? Czujesz się częścią takiego zjawiska, jak „teatr białoruski w Polsce”?

– To jest bardzo dobre pytanie, na które nie mam odpowiedzi.

Czytałem ostatnio tekst białoruskiej krytyczki, która pisze, że podejmujesz za mało białoruskich tematów, że grozi ci, że będziesz „zasymilowany”.

– Cóż powiedzieć. Pracuję teraz z aktorem Marcinem Bosakiem nad rolą Wokulskiego. I czuję się trochę jak ten Wokulski, który trafia na wygnanie, potem wraca – i nikt tego dawnego powstańca nie przyjmuje. Zatem Wokulski wybiera własną strategię działania. Ja mam coś podobnego w relacjach z Białorusinami i białoruskim teatrem. Nie byłem w nim zbyt mocno obecny, choć pracowałem z centrum kultury „OK 16”, którego dyrektorką była Masza Kałesnikawa, która nie tak dawno wyszła z więzienia. Przez ostatnie pięć czy sześć lat po rewolucji białoruskiej państwo, które mi dało najwięcej możliwości realizacji i w którym najwięcej pracowałem, to Polska. Z diasporą białoruską jestem na dystans.

Za to z polską rzeczywistością jesteś na kursie kolizyjnym. „Witaj, Abdo” według twojego dramatu w warszawskim Teatrze Studio było skandalem, włączonym w dodatku w kampanię prezydencką. Prawica wyciągała, że w miejskim teatrze zrobiłeś spektakl o uchodźcach.

– Nie reżyserowałem tego spektaklu, nawet nie byłem na próbach, nie dostałem za to żadnych pieniędzy, dostaję jakieś mikroskopijne tantiemy z ZAİKS-u, bo to mała widownia i mało biletów. Po prostu reżyser wybrał mój tekst i go zrobił. Oczywiście, nie odcinam się od tego.

Zdziwiłeś się tym, jak silna była reakcja?

– Dotknęło mnie to mocno. Nie chcę i nie lubię o tym rozmawiać, zwłaszcza publicznie. Ktoś wykorzystał moment i rozkręcił całą machinę medialną. Ludzie tuż przed wyborami byli rozemocjonowani.

Jak reagujesz na porównania do Michela Houellebecqa? „Witaj, Abdo” może się kojarzyć z jego „Uległością” – świat, w którym władzę w Europie obejmują islamscy radykałowie, powstaje Unia Euroislamska... Houellebecq prawica wielbi, ciebie hejtuje.

– To spora ironia, bo ten tekst stoi trochę po stronie tych, którzy go hejtowali. Ta sztuka krytykuje przecież bardzo mocno tak zwaną „turystyczną” działalność rządu Łukaszenki. Ja naprawdę zrobiłem dość mocny research, pokazałem, jak działa mechanizm dostarczania ludzi do granicy, jakie wykorzystywane są narzędzia, jakie dokumenty. A druga część dramatu opierała się na polskiej książce „Jezus umarł w Polsce” Mikołaja Grynerberga.

Wystawić „Lalkę” w Dramatycznym – to był twój pomysł?

– Rozmawialiśmy z dyrektcją, z Wojtkiem Farugą i Julią Holewińską, o różnych opcjach, jedną z nich była „Lalka”.

Dlaczego ta książka budzi takie emocje w Polsce? Teraz, przy okazji dwóch ekranizacji?

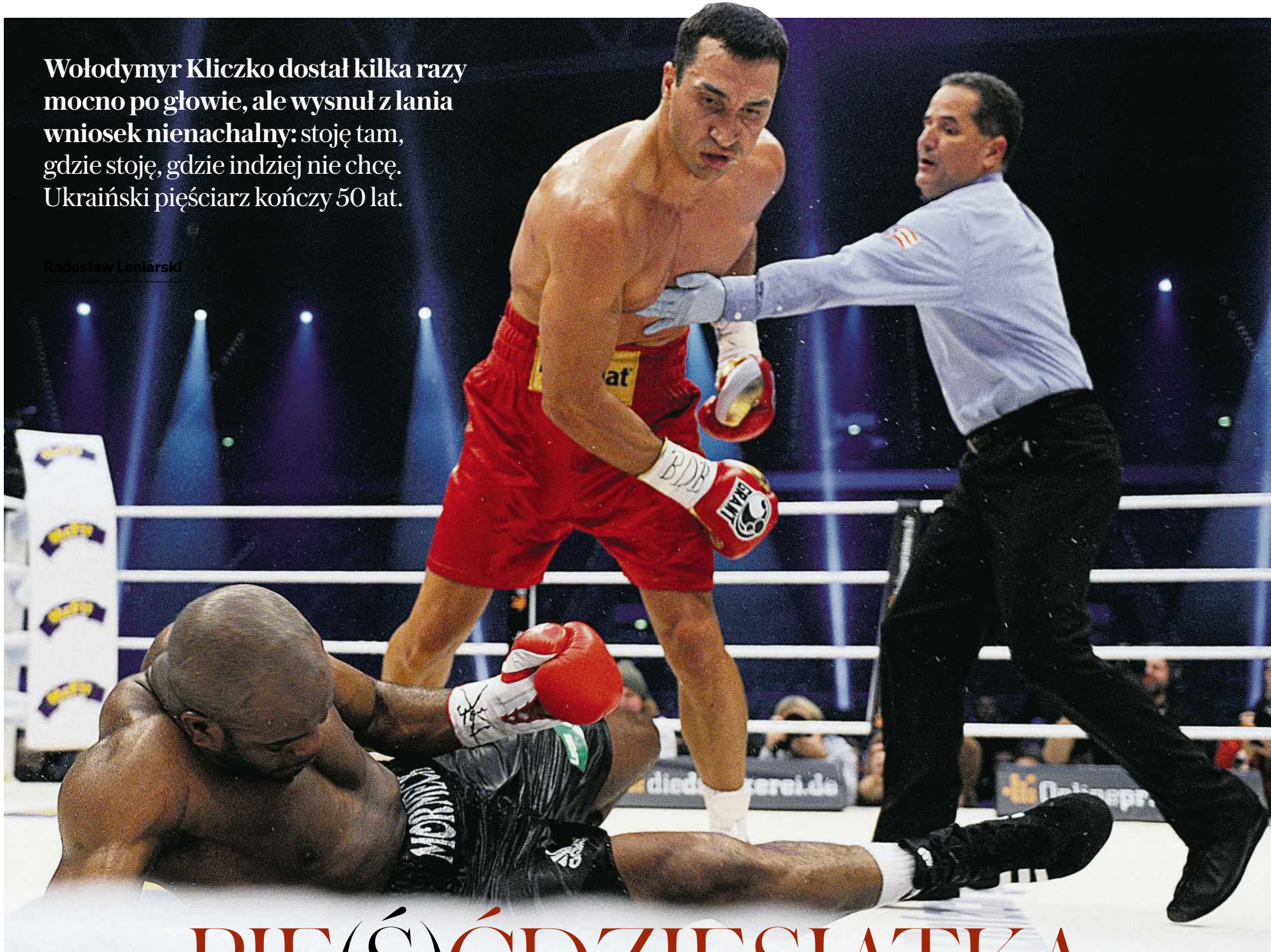
– Staram się nie zajmować ekranizacjami, jestem trochę poza kontekstem.

O czym jest według ciebie „Lalka”? O kapitalizmie? O miłości?

– O rzeczywistości politycznej pod rosyjskim zaborem. I to jest dla mnie rzeczywistość przerażająca. ●

Wołodimir Kliczko dostał kilka razy mocno po głowie, ale wysnuł z lania wniosek nienachalny: stoję tam, gdzie stoję, gdzie indziej nie chcę. Ukraiński pięściarz kończy 50 lat.

Radosław Leniarski



PIĘ(Ś)ĆDZIESIĄTKA MISTRZA KLICZKI

Niewykluczone, że spotkaliśmy się w 1988 roku. Ale nie, na pewno pamiętałbym tego dryblasa Witalija, skoro wrył mi się pod czaszką szeleszczący ortalion Marka Piotrowskiego, ćwiczącego kopnięcia w korytarzu akademika warszawskiej AWF.

Ukraińska ekipa przyjeżdżała z Kijowa do Warszawy zabłocnymi, zakurczonymi czarnymi bmw i mercedesami po pięciu, sześciu, siedmiu, na studencką wymianę. Pakowali się do znajomych do pokoju w tak zwanym rotaku, czyli akademiku rotacyjnym przy rogu Marymonckiej i Podleśnej, albo w Meksyku, czyli budynku na tyłach AWF, przy boisku do rugby.

To było wtedy bardzo popularne, studenci handelek w bliskiej zagranicy. Pamiętam podobną grupę studentów z kijowskiego Instytutu Kultury Fizycznej, gdzie studiował najpierw starszy, a potem też młodszy Kliczko. Przyjechała zaliczyć wędrowkę rowerową z Warszawy do Giżycka w pięć dni. – Jesz-

cze jeden dzień, Giżycko nie ucieknie, psorze – mówili docentowi W., lat 50., ich opiekunowi i zarazem wykładowcy organizacji i zarządzania sportu. Przez cztery dni handlowali jak oszalałi od rana do nocy na Stadionie Dziesięciolecia. Dżinsami, płytami kompaktowymi, czymkolwiek co przywieźli, precjozami końskimi, jak mówili, butami, wszystkim. Ostatniego dnia o świcie ruszyli na trasę, 270 km. Szybnego docenta W. zdemontowano z roweru w Giżycku po 12 godzinach jazdy non stop.

Z Witalijem Kliczką było podobnie. On i kumple handlowali na potęgę.

Przewodnikiem w braterskim układzie Kliczków był rzecz jasna Witalij, pięć lat starszy od Wołodimyra. Witia pierwszy raz przyjechał do Polski w 1988 r. jako kickbokser. Ten sport miał wówczas profil akademicki i był szalenie popularny dzięki filmom z Jackiem Chanem, Bruce'em Lee, Jeanem-Claudem Van Damme'em, oglądanym po całym ZSRR na kasetach VHS.

Zapomnij o herbacie

– W 1988 r. do Kijowa przyjechał z Warszawy studencki klub kickboxingu z trenerem

▲ 3 marca 2012 r. Wołodimir Kliczko znokautował Francuza Jeana-Marca Mormeckę. Stawką były pasy mistrza świata wagi ciężkiej federacji WBO, WBA, IBF i IBO

FOT. PATRIK STOLLARZ / AFP

Andrzejem Palaczem. Była wielka prezentacja Polaków na stadionie Dynama. Byłem pod wrażeniem. Palacz zorganizował nam tego samego roku wyjazd do Polski – mówił nam Witalij w 2020 r., kiedy wraz z Romanem Imielskim, obecnym I. wicenaczelnym „Wyborczej” odwiedziliśmy go w jego biurze mera Kijowa na Chreszczatyku.

Bardzo szybko Polski Związek Kickboxingu zaczął zatrudniać Ukraińców jako sparingpartnerów. Przyjeżdżali na dwa-trzy tygodnie. W Łodzi Witalij stoczył walkę z ówczesnym mistrzem Europy Przemysławem Saletą i przegrał na punkty w siedmiu rundach. Potem został sparingpartnerem Polaka przed jego pojedynkiem z Tomem Hallem w 1990 r.

Wołodimir miał wówczas 12-14 lat i wpatrywał się w starszego brata jak w obraz.

Kiedy we wrześniu 2011 r. Witalij miał walczyć we Wrocławiu z Tomaszem Adamkiem o tytuł mistrza świata wagi ciężkiej, przypo-

mniałem sobie tamtą historię oraz to, że przecież widziałem Wołodimyra w jakimś meczu bokserskim w Polsce, na które chadzałem na początku lat 90., głównie do Hali Gwardii. Albo mi się coś przyśniło?

Umówiłem się więc na rozmowę z Pawłem Skrzeczem, trenerem i pięściarzem Gwardii oraz ze Zbigniewem Raubo, który boksował zawsze dla Legii, ale po zakończeniu sportowej kariery był asystentem legendarnego trenera Gwardii Huberta Okroja.

Okrój i Skrzecz wydzwaniali do znajomych z turniejów bokserskich i załatwiali pięściarzy do podupadającej ligi. Zgodnie z przepisami w każdej drużynie mogło walczyć tylko dwóch obcokrajowców. Najtrudniej było w wagach ciężkich. Dzięki zabiegom obu trenerów Wołodimir przyjeżdżał na mecze warszawskiej Gwardii w 1995 r. Trener Raubo był nawet przekonany, że Witalij też bił się wtedy dla Gwardii raz lub dwa. Bo Wołodimir równocześnie walczył w Bundeslidze. Prawdopodobnie terminy rozgrywania kolejek czasem krzyżowały się, więc pokusa, aby jeden z braci zastąpił drugiego, faktycznie mogła się pojawić, chociaż każdy fachowiec zorientowałby się od razu w oszustwie, bo mieli niepodrabialne style walki.

Ówczesna cena za usługi Wołodymyra wynosiła 250 dol. za walkę, 300 dol. za wygrany pojedynek, a ze zwycięstwami nigdy nie było problemu. Kliczko zmiatał z ringu wszystkich, wygrał pięć walk, zarobił 1500 dol. Jedynym, który ustał w lidze trzy rundy, był Mirosław Czerniak. Padali reprezentanci Polski Krzysztof Rojek i Tomasz Zeprzałka, a to naprawdę wyczyn w boksie amatorskim, w którym rękawice są cięższe, żeby bardziej amortyzowały uderzenia, a na dodatek wszyscy walczą w kaskach. Aż się przypomina Lucjan Trela w igrzyskach w Mexico City w 1968 roku, który jako jedyny przetrzymał do ostatniego gongu armagedon z Georgem Foremanem.

– Oni uczciwie przyjeżdżali po pieniądze. Wtedy każdy dolar był dla nich ważny. I trenowali ciężko. W sobotę nasi królowie nie chcieli palcem ruszyć, a Wołodymyr robił pompki. Robiłem z nim tarczę [trening w ringu], bo Okrój był zbyt niski. Jak potem szedłem do kantorka z Okrojem i Raubo, mówiłem: „Koledzy, dla mnie herbaty nie róbcie, bo sobie łapy poparzę. Tak mi się trzęsą, że wyleję”. Miał ten Wołodymyr niezwykle precyzyjny i silny cios – mówił Paweł Skrzecz w rozmowie w tym samym ciemnym kantorku nad halą Gwardii, gdzie kilkanaście lat wcześniej nie był w stanie wypić herbaty.

Ekipa z St. Pauli

Skrzecz nie wierzył, aby Witalij kiedykolwiek zastąpił brata w polskiej lidze bokserskiej: – Przyjeżdżał w odwiedziny, ale nigdy z nami nawet nie trenował. Wiem, bo raz czy dwa przywoziłem ich z Hotelu Saskiego na zawody albo trening – opowiadał.

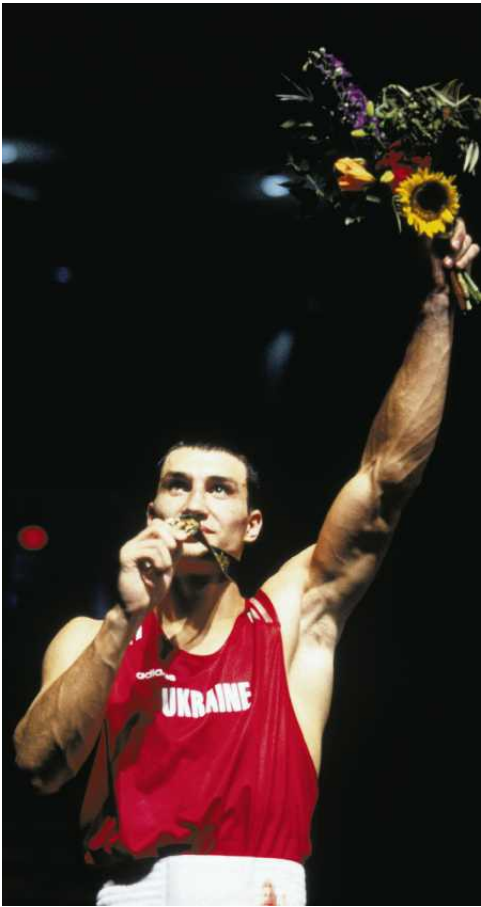
– Kiedy pierwszy raz przyjechał do Warszawy, miał oczy jak talerze, a głowa mu się kręciła dookoła szyi, tak mu się podobało – wspominał przy tej samej okazji Saleta.

Po niemal dekadzie od ich walki, Przemysław spotkał się z Witalijem u niemieckiego promotora Universum Box Promotion w Hamburgu. W 1997 r. bracia Kliczko byli już bardzo znani w światku pięściarskim. Rok wcześniej Wołodymyr jako 20-latek zdobył tytuł mistrza olimpijskiego w kategorii superciężkiej. Witalij odpuścił sobie amatorstwo po wpadce dopingowej przed igrzyskami w Atlancie, za co wyrzucono go z kadr. Tłumaczył w autobiografii, która ukazała się w Niemczech, że leczył kontuzjowaną nogę, a lekarstwo z niedozwolonym środkiem przepisał mu lekarz, który nie miał doświadczenia ze sportowcami i nie sprawdził składu medykamentu. Jeśli mu wierzyć, to doświadczył podobnego pecha, co nasza Justyna Kowalczyk na początku kariery, był to także przypadek nieco zbliżony do tego, co przydarzyło się Idze Świątek i Jannikowi Sinnerowi.

Na dyskwalifikacji brata skorzystał Wołodymyr, który nie musiał męczyć się ze zbijaniem wagi w Atlancie, przeskoczył do superciężkiej i rozbił wszystkich. A następnie Kliczkowie podpisali zawodowe kontrakty za milion dolarów każdy.

Jeśli chodzi o korzystanie z życia, z pieniędzy, byli wyposzczeni. Zachowywali się, jakby utworzył się przed nimi szesam. Zagustowali w drogich samochodach. – Mercedes 500s, Volvo 850 r5, jeep wrangler, zawsze z najwyższą mocą – opowiadał mi Saleta, choć warto dodać, że „przyganiał kociół garnkowi”, bo Saleta uwielbia muscle cars, w tamtym czasie widziałem go w czarnym chevrolecie impala, o którym mówił, że osiąga po zamontowaniu doładowania moc 700 KM. – Witalij psioczył wtedy bardzo na polską policję, która podejrzewała go o szmugiel, gdy jechał dziupem do siebie na Ukrainę – ciągnął Saleta, kiedy wspominaliśmy dawne dzieje Kliczków w Warszawie i Hamburgu.

To był okres czarnych skór na grzbiecie. Wszyscy trzej lubili w nich chodzić. – Na St. Pauli w Hamburgu, gdy wyszliśmy razem na miasto, ludzie myśleli, że nowa „ekipa” objęła rządy. Byłem najmniejszy – śmiał się Saleta.

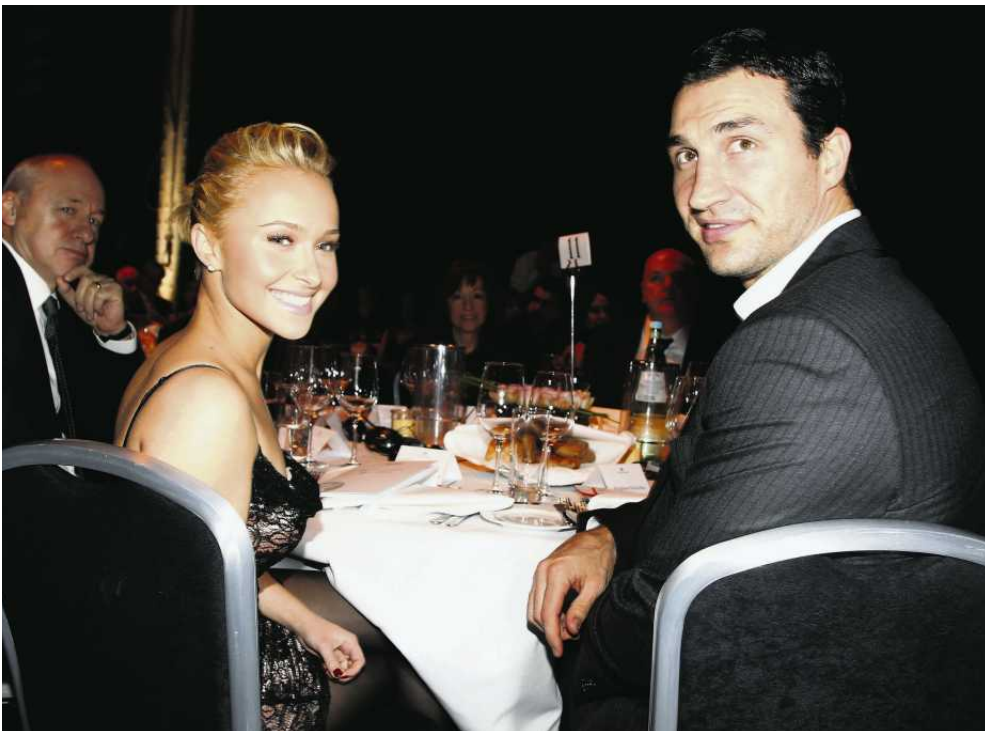


▲ **Złoto igrzysk w Atlancie (1996) było jednym z kamieni milowych w karierze młodszego z braci Kliczków, który 25 marca 2026 roku skończy 50 lat** FOT. AL BELLO/GETTY IMAGES

■

Tylko jeden mistrz wagi ciężkiej rządził dłużej niż Wołodymyr Kliczko. Był to Joe Louis, pięściarz-legenda. Nawet Muhammad Ali królował krócej. Jedynie Louise i Larry Holmes mieli dłuższą serię obron tytułu niż Ukrainiec

▼ **Wołodymyr Kliczko z Hayden Panettiere, amerykańską aktorką i modelką, z którą ma córkę Kayę** FOT. ANDREAS RENTZ/GETTY IMAGES



Polska jako wzór

Style walki Witalija i Wołodymyra były nieporównywalne i nie do podrobienia, wówczas i potem, gdy byli królami wagi ciężkiej i zarabiali dziesiątki milionów dolarów. Miejsce, gdzie nauczyli się cenić każdy zarobiony grosz, gdzie zdobyli pierwszy poważny majątek, była Polska.

Ten sentyment został im do dziś. Gdy zapytać któregoś z nich, powiedzą, że Polska była dla nich wzorem. Witalij jest przekonany, że Ukraina i Polska startowały z mniej więcej tego samego poziomu, ale nieszczęście polegało na tym, że w Polsce rządzą mądrzejsi ludzie, że Polska nie była pod tak wielkim wpływem skorumpowanej, zapijaczonej, brutalnej, postsowieckiej antykultury politycznej.

Gdy teraz wspominam spotkanie na Chreszczatyku w biurze mera Kliczki, półtora roku przed inwazją Rosji, mam dreszcze z powodu kolejnej zaprzepaszczonej szansy Ukrainy, tym razem nie z własnej winy.

– Kiedy byłem w Polsce pierwszy raz, to był biedny kraj. Wielkie bazy w Warszawie, mnóstwo handlujących ludzi z Ukrainy i z Polski. Jestem zszokowany i... zazdrosny, że Polska potrafiła dokonać tak szybko tak wielkiej zmiany, a my nie, choć mieliśmy naprawdę niewiele mniej czasu. W Polsce jest teraz nawet lepiej niż w Niemczech, bo infrastruktura jest nówka sztuka. Byłem w ostatnich latach we Wrocławiu, w Gdańsku, Bydgoszczy i jestem pod ogromnym wrażeniem. Polska jest dla Ukrainy idealnym przykładem, bo przecież mamy olbrzymie zasoby i możliwości, aby stać się nowoczesnym państwem. Dlaczego Polska potrafiła, a my nie?

Kliczko – góra mięśni za sześciometrowym stołem, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami – snuł wielkie plany rozbudowy miasta, usprawnienia komunikacji. Kijów jest jak Miami, mówił. – Wyspy, piaszczyste plaże. Na północ rzeka jest szeroka jak morze i czysta. Lasy, wzgórza, miejsca wspaniałej historii, ale wszystko w bardzo złym stanie. Moje zadanie to przywrócić miastu blask, a obywatelom dobry standard życia. Dlatego uwielbiam tę robotę – mówił i dodawał: – Musimy was dogonić.

Teraz mają do odrobienia jeszcze większy dystans.

Czarnobylska trauma

Pięć lat różnicy sprawiło, że Wołodymyr był pod przemożnym wpływem starszego brata, który zawsze starał się być niezależny. Ojciec, generał major lotnictwa (po polsku byłby to generał brygady lub generał dywizji), zasłużony i zaufany żołnierz ZSRR, dowódca jednostki lotniczej pod Kijowem, dostawał 300 rubli miesięcznie, a on jako nastoletni przewodnik turystów po mieście – 100. Starał się chro-

nić młodszego brata, oczka w głowie rodziny Kliczków.

Witalij był w Kijowie w 1986 r. podczas czarnobylskiej katastrofy. Jako 14-latek, a więc już duży chłopak, opiekował się Wołodymyrem. O Czarnobylu mieli wiadomości z pierwszej ręki, bo ojciec został oddelegowany do opanowania skutków wybuchu. Pewnego dnia przyjechał po prostu do domu do Kijowa i powiedział: „Nie wychodźcie na ulicę, a jeśli będziecie musieli wyjść, nie dotykajcie niczego. Spędzajcie na zewnątrz jak najmniej czasu, bo mamy duży problem w Czarnobylu”. Na Witaliju nie zrobiło to większego wrażenia, został też, bo miał w szkole egzaminy, ale młodszego brata rodzice postanowili wysłać nad Morze Azowskie do krewnych.

Kilka dni później całe miasto już wiedziało i w panice wyjechało, mimo że nie było żadnego komunikatu. Mało tego: partia każała ludziom wyjść na ulice 1 maja, aby zdemonstrować, że wszystko jest w porządku, a lud robotniczy wspiera partię (mer podnosi głos i wali pięścią w stół). Wszystkie dzieci na Chreszczatyku!

– Pamiętam siebie z czerwoną flagą: nie damy się promieniowaniu, w ogóle tego promieniowania nie ma, wierzymy naszej partii. 9 maja, kilkanaście dni po, kibicowałem kolarzom, bo przecież w Kijowie rozgrywały się etapy Wyścigu Pokoju. Co za *bullshit* – mówił Witalij zza stołu na tym samym Chreszczatyku, na którym 45 lat wcześniej paradował nieświadomy na co się naraża.

Ojciec zarządzał śmigłowcami w akcji ratunkowej, sam w jednym z nich latał nad chmurami radioaktywnego pyłu. Zmarł na białaczkę, prawdopodobnie związaną z napromieniowaniem podczas walki ze skutkami katastrofy.

Ten od myślenia

Wydaje się, że właśnie te doświadczenia, tak czarnobylskie jak i polskie, uformowały w braciach Kliczko przekonanie, że mogą liczyć tylko na siebie, jeśli chcą zrealizować życiowe cele.

Te początkowo były proste: tytuły w boksie, ogromne pieniądze, sława. Przyszły zdumiewająco szybko. I faktycznie pozostają z nimi długo.

Jeśli chodzi o boks: tylko jeden mistrz wagi ciężkiej rządził dłużej niż Wołodymyr. Był to Joe Louis, pięściarz-legenda. Nawet Muhammad Ali królował krócej. Jedynie Louis i Larry Holmes mieli dłuższą serię obron tytułu. Po prostu jest to cholernie trudne, bo młodych, zdrowych, ponad stu kilowych dobrze wyszkolonych byków, którzy w czasie 12-rundowej walki zawsze znajdują okazję do zadania ciosu o nokautującej sile, jest mnóstwo.

Wołodymyr doświadczył tego nie raz.

Schodził z ringu po każdej z pięciu porażek (wygrał 64 walki, 53 przez KO) nie tylko z bolącą głową, ale przede wszystkim z nęką. Witalij zawsze powtarzał – za każdym razem, gdy słyszałem te słowa, wyczuwałem ich lekki ton – że z nich dwóch to Wołodymyr jest od myślenia.

Po nokaucie z wyczerpania z Rossem Purittym już nigdy nie przeszarżował tempa. Po nokaucie z Corrie Sandersem stał się w pierwszych rundach ostrożniejszy niż wieściarka. Po nokaucie z Lamonem Brewsterem już nigdy nie dał się oszukać wrażeniu, że rywal jest w ringu skończony, zanim go ostatecznie nie skończył. Dwa lata później, pokonując Chrisa Byrda, odzyskał tytuł. To były długie lata królowania (federacja WBO) między 2000 a 2015 rokiem z krótką przerwą. Jednocześnie Witalij rządził w tej samej kategorii (w federacji WBC) od 2004 do ostatniej walki w 2012 r. Była to w boksie „Era Kliczków” – za erę wypada przeprosić, ale cóż, boks był zawsze operowy, nadmiarowy, tromtadracki. I epicki.

Z dwóch ostatnich porażek – z Tysonem Furym i Anthonym Joshua – zapewne też wyniósł lekcję: czasu nie cofniesz. Im dłużej tkwisz w wadze ciężkiej, tym gorzej. O ile jako

gieroj i młodej z końca lat 90. zapewne nie czuł, że ciosy robiły mu krzywdę, o tyle ostatnich latach kariery musiał mieć poczucie, że każde uderzenie niszczy mózg znacznie bardziej niż w młodości. A on go bardzo cenił jako szachista i biznesmen.

Amerykańscy dziennikarze lubią powtarzać, że Wołodimir stał się tak skuteczny dzięki trenerowi Emanuelowi Stewardowi, który przejął pałeczkę od Niemca Fritza Sdunka (obaj od lat nie żyją).

Prawda jest chyba jednak taka, że Ukrainiec po prostu dojrzał jako pięściarz. Stał się wyrachowany i defensywny. Oceniał przeciwnika na zimno, ostrzeliwał porządnie w pierwszych rundach, szukał słabości, schwerpunktu (mówi świetnie po niemiecku, z kresowym akcentem jak Niemiec nadwołżański), a potem kruszył defensywę jak budowlana maszyna do destrukcji żelbetowych murów, tylko że maszyna burząca jest mniej precyzyjna. Lewa, prawa. Lewa, prawa. To były proste metody, ale rywale leżeli pokotem (77 proc. nokautów). Anthony Joshua był na deskach pierwszy raz w karierze właśnie podczas walki z Wołodimirem. Bić się z nim, to jak bić się z T-800 z taśmy fabryki Skynetu.

W saunie rządzi Vlad

Drugi cel – gigantyczny majątek, jaki wiąże się z królowaniem w wadze ciężkiej – przyszedł rzecz jasna wraz z sukcesami. Bracia zarabiali nie tylko dzięki boksowaniu. Sami organizowali pojedynki, a więc zgarniali olbrzymią część pieniędzy od telewizji, sponsorów, biletów, czyli tzw. promocji.

Byli w negocjacjach twardzi tak samo jak w ringu. Nieustępliwi i sprytni, na dodatek wykorzystywali psychologię. W książce „Bez maski” Tyson Fury wspomina zajście na obóz w Austrii przed jedną z walk mistrzowskich Wołodimyra. Rozdział można nazwać „O królu sauny”.

Ktoregoś wieczora w kilku chłopów poszli do sauny, w której – jak ktoś z ekipy ostrzegł Furięgo – „rządzi Vlad”. Zawsze wychodzi ostatni, nikt go w tej dziedzinie nie pokonał. Czerwony żar, wilgotność dżungli Borneo, a mieli tam wytrzymać 20 minut. Kliczko włączył zegar. Po kilku, kilkunastu minutach ludzie zaczęli wychodzić. W końcu zostali tylko Wołodimir i Tyson. „Przecież ja tu zdechnę” – myślał Fury, ale pocieszał się, że najwyżej straci przytomność. Odratują go.

Zegar wybił 20 minut. Wtedy Kliczko wstał i ustawił kolejne 20 minut.

Sława też przyszła wraz z sukcesami w boksie. A potem nastąpiło coś większego niż boks.

Pisałem o celach, jakie przyświecały braciom na wczesnym etapie życia, ale były też marzenia lub przynajmniej jedno marzenie, o którym kiedyś Wołodimir wspominał Salecie. Chciał zamieszkać w Los Angeles, ale tak serio, na zawsze.

I faktycznie, kiedy już zbil majątek na ringu, kiedy zagrał w hollywoodzkim hicie (epizod walki bokserskiej w „Ocean Eleven”), kiedy związał się z amerykańską aktorką Hayden Panettiere, zamieszkał w USA, tyle że na Florydzie.

Potem, kiedy w burzliwym związku urodziła się córka, Wołodimir kursował między Nashville, gdzie mieszkała z mamą, Hamburgiem, gdzie ma swoje biura firm konsultingowej i zarządzającej jego 100-milionowym majątkiem, a Kijowem, gdzie w 2012 r. wybudował butikowy 50-apartamentowy hotel II Mirrors. Hotel jest położony w prestiżowej dzielnicy Kijowa, kilka kroków od Opery, minuty spaceru od Złotej Bramy i soboru Św. Włodzimierza. Wciąż funkcjonuje, nie został trafiony przez żaden rosyjski dron, rakietę lub bombę, choć domy w pobliżu i ludzie, którzy w nich mieszkali, mieli mniej szczęścia.

Duch Alego i Schmellinga

Teraz Wołodimir spędza większość czasu w Kijowie. Porzucił dawne życie celebryty, zanurzonego w świat golfa i inwestycji.



• 29 kwietnia 2017 roku Wołodimir Kliczko stoczył ostatnią walkę w karierze. W Londynie jego rywalem był Anglik Anthony Joshua, który pokonał Ukrainca przez techniczny nokaut w 11. rundzie

FOT. RICHARD HEATHCOTE/GETTY IMAGES

Mógłby spokojnie wieść je nadal, latając nad oceanem w tę i w tę. Mógłby wciąż zarabiać dzięki swojej charyzmie i inteligencji. Mógłby nawet otwierać wystawy sztuki i galerie, skoro był kuratorem ukraińskiego pawilonu na Weneckim Biennale, co ściągnęło w to miejsce celebrytkę-modelkę Naomi Campbell, artystów Jeffa Koonsa i Anthony'ego Gormleya.

Witalij opowiadał, że zdarzało się, że gdy przed wojną leciał ze Stanów Zjednoczonych do Kijowa, pasażerowie mylili go z bratem i wyrzucali Wołodimirovi, że słabo rządzi. Młodszy Kliczko miał narzekać, że to nie do wytrzymania i że nigdy nie popelniałby takiej lekkomyślności, by piastować jakąkolwiek funkcję publiczną. Faktycznie, wciąż jest w cieniu, ale mocno wspomaga Witalija.

Tuż przed inwazją wstąpił do obrony terytorialnej, ale patrolowanie ulic byłoby marnowaniem jego sławy. Podróżuje więc po świecie, głównie do Niemiec i USA, często bywa też w Polsce, namawiając do większego wsparcia Ukrainy. Amerykę odwiedza jednak coraz rzadziej. Były czasy, gdy z honorami przyjmowano go na Kapitolu, ale teraz raczej nie wchodzi to w grę. Rzecz jasna z powodu postawy Donalda Trumpa wobec wojny, nawet jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych lubi boks i pięściarstwo.

Nie każdy jest bohaterem, a nie zawsze to, co dzieje się w sporcie, przekłada się na życie. Boks jest chyba wyjątkowym sportem

pod tym względem, a może był wyjątkowy, bo zmienia się, tak jak wszystko na świecie.

Boks powodował, że w pięściarzu krystalizowało się wnętrze, kształtowała się życiowa postawa, prostowały się ścieżki. Nie u każdego rzecz jasna, ale znam tylu pięściarzy, którzy wyszli na ludzi dzięki temu sportowi, że nie uważam, że to przypadek.

Kliczkowie powoływali się na spuściznę Muhammada Alego. Nie złamało go opresyjne w stosunku do czarnej mniejszości państwo amerykańskie, mimo że było jeszcze bardziej autorytarne i bezwzględne niż teraz. Wołodimir za przyjaciela miał Maxa Schmellinga, pięściarza, który robił niebotyczną karierę w III Rzeszy po pokonaniu Joe Louisa. Schmelling, jako ten, który pokonał czarnego mistrza, był ulubieńcem Hitlera, ale nie wahał się uratować dwóch nastoletnich braci żydowskiego pochodzenia podczas pogromu Żydów w Noc Kryształową w 1938 roku. Zresztą prawdopodobnie nieprzypadkowo wysłano Schmellinga z oddziałami niemieckich spadochroniarzy w samobójczy desant na Kretę w 1941 r. (hitlerowcy opanowali wyspę, ale za cenę kolosalnych strat)

Działają formatywnie zwycięstwa i porażki, o ile nie są częste.

Najważniejsza życiowa lekcja

W 1998 r., a więc wkrótce po rozpoczęciu zawodowej kariery, Wołodimir zmierzył się w Kijowie ze wspomnianym Rossem Purri-

tym. Przeciwnik miał być niezbyt wymagający. Wołodimir i jego ekipa chcieli na początku sportowej drogi „budować rekord” młodego pięściarza, czyli stopniowo podnosić klasę wybranych przeciwników.

Pałac Sportu w Kijowie pękał w szwach, na siedmiotysięczne trybuny weszło około 10 tys. osób. Pojedynek transmitowała telewizja Inter i połowa Ukrainy usiadła przed telewizorami. Szacuje się, że w szczycie oglądało walkę do 10 do 20 mln widzów. Był to pierwszy – i jak się później okazało jedyny – pojedynek Kliczki w Ukrainie. Kibice zobaczyli, jak Wołodimir – z Witalijem w narożniku jako sekundantem – w pierwszych ośmiu starciach zdobywa gigantyczną przewagę, a potem gwałtownie opuszczają go siły. Nigdy nie walczył dłużej niż osiem rund. W 10. padł na deski, wstał, doczłapał się półprzytomny, na autopiłocie do narożnika, bo raczej nie widział nic. W 11. trener Sdunek rzucił ręcznik, ratując mu zdrowie, być może życie.

Do tej pory opis walki jest na stronie klistschko.com jako najważniejsza życiowa lekcja Wołodimyra.

Kliczko przeszedł na długi dystans. Nie podpala się nadmiernie, bierze rzeczy na zimno. I niezmiennie stoi za starszym bratem, który – wygląda na to – wciąż jest jego idolem i przewodnikiem. Na dobre i na złe. Trzy lata temu, kiedy ukraińska, udana kontrofensywa utknęła i Witalij zaczął krytykować prezydenta Wołodimyra Zelenskiego, Wołodimir był u boku brata. Rok później, kiedy w dokumencie telewizji Sky Witalij znów skrytykował Zelenskiego za autorytarny styl rządzenia podczas wojny – swoją drogą jaki miałby być w zaistniałych warunkach? – również.

Obaj są wciąż pięściarzami. Czasem jeden lub drugi sparuje. Ostatnio wideo z treningu Wołodimyra obiegło internet i niektórzy kibice zaczęli się zastanawiać, czy zamierza wrócić na ring w wieku 50 lat. Nie, nie wróci. Ale nieustępliwy charakter pozostał. Dlatego, gdy Ukraina obroni się przez inwazję, gdy wyneogocjuje z najeźdźcą sprawiedliwy pokój, czuję, że w Kliczkach znów odezwie się zew krwi i obaj ponownie staną do walki. Tym razem o prezydenturę dla Witalija. On zawsze był liderem tego potężnego duetu. ●

• Wołodimir (z prawej) ze starszym bratem Witalijem, obecnie merem Kijowa. Niemal nierozłączny duet, który od zawsze się wspierał, tak w boksie, jak i w życiu FOT. JOHAN-

NEs SIMON/GETTY IMAGES



Wszerz i wzdłuż po Ventotene

Kilka pamiątek o wyspie, na którą wybrałem się w nadziei na znaczenia ukryte. Wyspie, która mówi o naszej faszystowskiej i antyfaszystowskiej Europie.



Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu: Za pięć trzynasta

Nie wiem jeszcze po co popłynąłem na Ventotene. Na pewno, jak co jakiś czas mi się zdarza, po niezdefiniowany jeszcze sens, który wyzwoli się dopiero po powrocie.

Kiedy kilkanaście lat temu polecałem na Lampedusę, ta mała – jak myślałem – wyspa na Morzu Śródziemnym okazała się miejscem, do którego ludzie z Afryki płynęli (i płyną) jak do Ziemi Obiecanej, jak do pierwszego przyczółku przetrwania, znajdując często śmierć na milę od brzegu. Wyspą oszukańczego, nierzadko śmiertelnego mirażu człowieczeństwa i solidarności. Złudną Bramą do Europy.

Dziś, kiedy mam 66 lat, nie przeszedłbym już może 9 km długości Lampedusy, a przecież chciałem powtórzyć intensywność tamtej przygody. Europejskości wystawionej na próbę. Śródziemnomorskiego piękna natury w miejscu, w którym spotyka się z kulturą. Z historią, która mówi coś o naszej współczesności i o nas.

Czego ja tu szukam

Po powrocie mogę powiedzieć, że fizyczne doświadczenie Ventotene jest na pewno bardziej na moją nową miarę niż Lampedusa. Dziś ze wzruszeniem widzę, że na najbardziej południowym skrawku Europy, wspólnego człowieczeństwa narodów i kultur szuka dziś młody politolog i dziennikarz Eryk Kryński, ze swoimi dwudziestoletnimi siłami i od-



FOT. PAOLO GRAZIOSI/GETTY IMAGES

wieczną wrażliwością obywatela śródziemnomorza.

A ja – czego szukam na niespełna trzech kilometrach wysepki pomiędzy Rzymem a Neapolem, o 50 km od półwyspu? Dopiero zaczynam odczytywać to ze świeżej, lecz już prześwieconej pamięci.

Pejzaż – ta mimowolna inspiracja płynąca z nowych miejsc, która zawsze zatrzymuje od razu, a znaczy coś dopiero w dalszej perspektywie.

Pejzażem Ventotene są morze, urwiste skały licznych cypelków, które bywają pokusą dla samobójców, i przydomowe uprawy: soczewicy, karczochów, wino. A także kilka skał wyrastających z morza poza główną granicą wyspy. Spośród których wielkością i symboliką wyróżnia się Santo Stefano – wysepka, na której stoi przemyślne, nieczynne dzisiaj więzienie z 99 celami, zainaugurowane w ostatnich latach XVII wieku.

Ślady po manifeście

W dobrym okresie, w którym popłynąłem, czyli w połowie marca, na wyspie jest pewnie około 200 ludzi, głównie mieszkańców. Dwa bary, poczta, ambulatorium, szkoła dla nie-licznych dzieci (niektóre klasy są puste, w niektórych jest dwoje uczniów), kościół pod wezwaniem świętej Kandydy, kilka sklepów z pamiątkami i ubraniami, sklep spożywczy i – na głównym placu – ratusz. Na którym od frontu

Wulkaniczna kropka na Morzu Tyrreńskim



© GAZETA WYBORCZA

wypisany jest tekst dokumentu znanego pod nazwą Manifestu z Ventotene.

Manifest napisany w 1941 roku, jest owocem mądrości i głupoty. Mądrość antyfaszystów, którzy – spędzeni na wyspę w liczbie około tysiąca – w warunkach odosobnienia i opresji znajdowali konspiracyjne sposoby, żeby spotykać się i myśleć nad kształtem Europy powojennej.

Głupota przynależała Mussoliniemu, który nie pomyślał, że zgromadzenie na splachetku pięknej ziemi tak wielu wybitnych i odważnych opozycjonistów musi stać się kuźnią nowych idei, w tym nowych utopii. Ursula Hirschmann, Eugenio Colorni, Attilio Spinel-li, Ernesto Rossi, późniejszy prezydent Włoch Sandro Pertini... Chodziło im o coś ważnego. O wspólną wolność i solidarność, która jest dziś uznawana za początek idei zjednoczonej Europy.

Książka na gorąco pisana

Jest Ventotene miejscem szkółek żeglarskich, rajem dla ptaków (wśród których królują burzyki i mewy), hałaśliwie bez trosk waka-cji, które radykalnie zmieniają oblicze i morfologię wyspy, i pamiątek archeologicznych. Choćby pałacu, do którego cesarz August zesłał (podobno za rozwiązłość) swoją córkę Julię.

Jest też mała społeczność Ventotene ciasnym laboratorium zachowań społecznych. Sposobów na pokojową egzystencję ludzi, którzy muszą spotykać się po kilka razy dziennie, bez względu na to, czy są dla siebie przyjaciółmi, czy wrogami. A z dużym prawdopodobieństwem łączą ich więzy krwi i interesów, są sobie wujkami, kuzynami i braćmi.

Próbuję napisać coś o tym miejscu i o moich skromnych odkryciach. Niewielką książkę. Na gorąco. Kruchą jak niedawna „Marsala” (Austeria 2025), na pewno mniejszą. Zabierając się do pisania „Marsali” miałem atak epilepsji i niewiele brakowało, a w ogóle bym jej nie napisał.

Z obawy, że i tym razem może zdarzyć mi się podobna przygoda, chciałem zostawić tutaj kilka pamiątek o kolejnej wyspie, na którą wybrałem się w nadziei na znaczenia ukryte. Wyspie, która mówi o naszej faszystowskiej i antyfaszystowskiej Europie. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014

WSPRZEDAŻY

ANJA RUBIK: SAMOBADANIE PIERSI NIE WYSTARCZY

Halina Poświatowska: Miłość ważniejsza niż życie

Kinga Preis: Nie uspokajam sumienia

Zdrada kontrolowana: Dlaczego jawność może być dojrzała niż ukrywanie?

Joga twarzy. Ćwiczenia, które zdejmują napięcie

wysokieobcasy
extra

wysokieobcasy
extra

TEMAT NUMERU
PIERSI W POLSCE

Paulina Młynarska,
Natalia Przybysz,
dr Marzena Dębska

SEKS
ZDRADA
KONTROLOWANA

PSYCHOLOGIA
WIDZIELCZNOŚĆ
ELITARNE UCZUCIE

ZWIĄZKI
NIEWYGODNE
PYTANIA

Anja Rubik
UMIEM MOWIĆ
„NIE”

Halina
Poświatowska
GOTOWA UMIRZEĆ
Z MIŁOŚCI

Ewa Szykułska
PARĘ KASKÓW
ŻYCIA

Kinga Preis
NIE USPOKAJAM
SUMIENIA

Wszystko o naszych cychkach: piersi
w społeczeństwie, kulturze, nauce i zdrowiu



Numer dostępny z prezentem:
płatkami złuszczałającymi
SILCATIL w prezencie

Tuż po emisji wywiadu w telewizji felieton na jej temat pisze na łamach „Gazety Nowej Zielonogórskiej” Jacek Fedorowicz. „Joanna Pacuła już się zamerykanizowała. Nie mam jej tego za złe”.

Marta Górna /fragment biografii „Pacuła”*

Kiedy zaczęła się ta nagonka? Drobne uszczypliwości pojawiały się w środowisku filmowym już w latach 80., ale mam wrażenie, że powszechnie psy zaczęto wieszać na Pacule po emisji tego osławionego wywiadu telewizyjnego 25 grudnia 1991 roku. Co rusz potykam się o wzmianki o nim. Wielka Pacuła pokazała prawdziwą twarz. Niczym Polonus w czwartym pokoleniu z chicagowskiego Jackowa. Itd., itp. W lutym 1992 roku „Film” drukuje list oburzonej czytelniczki pt. „Am...powiało Zachodem”.

Pani Lidka Nowak-Babuch z Jeleniej Góry pisze: „To smutne, że po kilku latach pobytu za granicą, takie problemy z ojczystym językiem ma ktoś, kto ten język znał lepiej, niż przeciętny mieszkaniec tego smutnego kraju. Wiadomo szkoła Teatralna i Filmowa – wymagania – dykcja – akcent – średniówka etc.

Od pani Joanny Am...Pacuły powiało Zachodem... A ja byłam spocona i zmęczona, i bardzo, bardzo chciałam pomóc pani Joannie skłęcić jakieś polskie, logicznie brzmiące zdanie (odezwiała się we mnie długoletnia suflerka krakowskich teatrów) i do prawdy wolałabym, aby ten wywiad przeprowadzono w obcym języku.

Mogłabym wówczas uwierzyć, że pani Joanna Am... Pacuła równie dobrze włada językiem obcym, jak złe ojczystym. Z wywiadu nie wiem nic! Oprócz Am..., że Am... w Europie Am... w Stanach Am... nie jest Am...takie Am... łatwe, Am... jakby Am... ktoś Am... Dobrze, że obyło się bez tłumacza, ale mimo to nie byłam w stanie się skupić (...)

Czuję, że oberwie mi się od wielbicieli i wielbicielek pani Joanny Am... Pacuły, ale stawię temu czoło i dodam jeszcze, że nie uwłaczam talentowi aktorskiemu eksportowej gwiazdy. Lubię panią Joannę, śledziłam (o ile się dało) jej losy w wielkim świecie i cieszyłam się jej sukcesami – tym bardziej jest mi przykro, że w świątecznym wywiadzie, tak sobie ze mnie zażartowała”.

Wyjazd Pacuły „sztyletem wbitym w PRL”

Rafał Dajbor, pisarz i badacz kina PRL-u: – Pochodzę z rodziny solidaruchów. Moi rodzice byli bardzo antykomunistyczni, ojciec był powstańcem warszawskim. Dla nich każdy sukces Polki czy Polaka za granicą był jak policzek wymierzony systemowi. To, że Pacuła wyjechała, zagrała w „Parku Gorkiego” z Marvinem i Hurtem, dla nich było jak sztylet wbity w PRL, moralne zwycięstwo Polki nad komunistycznym reżimem, który wyjazdów na Zachód niemal przecież zabraniał. Ale po upadku komuny moi rodzice mnie zdziwili. Bardzo oburzył ich wywiad z Pacułą emitowany przez TVP. Po pierwsze, powiedziała w nim, że myśli po angielsku, po drugie, w miejsce, w którym Polacy zwykle mówią „yyyy”, wstawiała angloję-

ZAGINIONY WYWIAD JOANNY PACUŁY

• Joanna Pacuła jako Irina Asanowa w filmie „Park Gorkiego” (1983) w reżyserii Michaela Apteda



zyczne „ammm”. Moi rodzice byli tym wywiadem strasznie zbulwersowani, bardzo też wtedy z Pacuły kpili. Mówili, że zaledwie kilka lat spędziła w Ameryce, a już jest wielką Amerykanką. Nagle znalazł się powód, aby mimo sukcesów ją wyśmiewać, deprecjonować jej dokonania, choć wcześniej to był przyczynek do uwznioślenia.

Tylko że wywiad, o którym wiele osób wciąż mówi, jest kompletnie nieuchwytny. Samo ustalenie daty emisji zajmuje mi dwa lata. Co rozmówca, to inne wspomnienie. Jedni twierdzą, że widzieli go pod koniec lat 80., inni, że na pewno w kolejnej dekadzie. Sylwester czy Boże Narodzenie, nagranie w studiu TVP czy połączenie z Los Angeles?

Kiedy dzwonię do Alicji Resich-Modlińskiej, nie jest pewna, czy to ona rozmawiała z Pacułą, czy może kto inny. W pewnym momencie zaczynam na serio wątpić w jego istnienie. Może jest zbiorowo sfabrykowanym wspomnieniem? Podświadomym wyrazem tej masowej niechęci? A moi rozmówcy, którzy o nim wspominają, stroją sobie ze mnie żarty.

Moje poszukiwania wywiadu trwają w sumie cztery lata. Przełom nadchodzi kilka miesięcy przed wydaniem książki. Bartłomiej Belc z TVP po kolejnym moim rozpaczliwym telefonie („to Święty Graal Paculologii, panie Bartłomieju!”) rozsyła wici, wypytuje i uściśla, gdzie w przepastnych archiwach Telewizji Polskiej w ogóle wywiadu szukać, czy urodził się już ktoś, kto jest w stanie nagranie odnaleźć, a jeśli tak, to kim jest ta osoba. Indianą Jonesem wśród pracowników TVP okazuje się Karol Kühn. Z pomocą Belca dociera do niego moja prośba, a Kühn oddzwania do mnie po zaledwie trzydziestu minutach. – Pani Marto – mówi poważny głos w słuchawce. – Mam to, znalazłem. Następnego dnia, po dopełnieniu licznych procedur i formalności, mam legendarny wywiad na dysku.

Rozmowę prowadzi nie Alicja Resich-Modlińska, ale Wanda Nadobnik, nietypowo usadzona tyłem do kadru, tak że nie widać jej twarzy. Nieoficjalnie od kogoś z TVP dowiem się potem, że Nadobnik, zajmująca się „poważnym dziennikarstwem”, raczej nie chciała się swoim wywiadem z Pacułą obnosić.

Joanna Pacuła: „To, że zostałam w Stanach to przypadek”

Joanna Pacuła, w dzinsowej kurtce narzuconej na czarną sukienkę, siedzi w dziwnym, jakby muzealnym wnętrzu: w ściennych wnękach stoją figurki, obok niej wazon z kwiatami.

– Pani Joanno, jest pani symbolem polskiej aktorki, która odniosła sukces w Hollywoodzie – zaczyna dziennikarka. – Kiedy do tego doszło i jak?

Zaskoczona pytaniem Pacuła odpowiada: – Kiedy do tego doszło? Prawdopodobnie doszło do tego przez ostatnich osiem lat, jeśli w ogóle do tego doszło. Wszyscy myślą, że to jest jakiś niesłychany sukces, ja myślę o tym inaczej. Wykonuję ten sam zawód, jedyne, co się zmieniło, to język. Amm... Filmy, produkcja, to jest wszystko to samo. To jest ta sama praca, jaką wykonywałam w Polsce.

Dalej Pacuła przekonuje, że nigdy tak naprawdę „nie wyobrażała sobie Hollywoodu”.

– Nie wyjechałam z Polski, żeby robić tam karierę. To, że zostałam w Stanach, to był przypadek, który wydarzył się poza moją kontrolą, mój paszport był ukradziony w Nowym Jorku – buduje zdania na amerykańską modłę.

– Jak wygląda porównanie polskich aktorów i amerykańskich? – ciągnie Nadobnik. – Czy jest duża różnica?

Pacuła uśmiecha się dyskretnie, jakby pytanie ją rozbawiło. – To znaczy dla mnie ciągle najlepszym aktorem jest pan Tadeusz Łomnicki, w Polsce aktorzy mają do-

kładnie taką samą technikę i możliwości – odpowiada.

Nadobnik pyta potem o pierwszy film Pacuły w Ameryce, docieka, z jakimi aktorami w nim zagrała. Pacuła odpowiada oryginalnym tytułem: „Gorky Park”, a nie „Park Gorkiego”. Mówi, że w USA kariera aktorska w tradycyjnym znaczeniu oparta jest w dużej mierze na filmie, nie na teatrze. Dodaje też, że właśnie zaangażowała agenta w Europie, m.in. dlatego, że chciała spędzać więcej czasu z rodzicami. – W Europie są świetne role do zagrania, których nie ma w tej chwili przynajmniej w kinie amerykańskim. Jest kilka świetnych ról dla kobiet, ale one idą do Meryl Streep, Michelle Pfeiffer albo Glenn Close. W Europie właśnie otworzył się cały rynek, robi się tu więcej filmów niż w Stanach, teraz miałam okazję pracować we Francji i we Włoszech, gdzie zupełnie inaczej traktuje się kobiety w filmach, a mój następny project robię już w Stanach. Pamiętam, jak pracowałam w teatrze, by-

„Wszyscy myślą, że to jest jakiś niesłychany sukces, ja myślę o tym inaczej. Wykonuję ten sam zawód, jedyne, co się zmieniło, to język. To jest ta sama praca, jaką wykonywałam w Polsce”

ło cudownie, byłam zakochana w tym zawodzie. Ale nigdy w nim nie dojrzałam. Mentalnie jestem bardziej zrealizowana w Europie, ten zawód jest łatwiejszy do wykonywania tutaj.

Nagranie trwa zaledwie siedem minut, ale okazuje się wystarczająco długie, by zepsuć aktorce opinię na wiele lat. Co jest dziwne, tym bardziej że poza kilkoma „amm” i podejrzaną konstrukcją niektórych zdań Pacuła mówi ładną polszczyzną. Ale widzom, jak przypominają sobie odbiór tej rozmowy moi rozmówcy, nie podoba się też ubiór aktorki. Z polską dziennikarką rozmawia w stroju niemal domowym, a nie w wieczorowej kreacji, by lepiej zaprezentować się Polakom. Poza tym: taka z niej hollywoodzka gwiazda, a chodzi w dżinsie? Ewentualnie Pacuła nie jest już ich: pojechała do USA, wtrąciła kilka zamerykanizowanych zwrotów, użyła słowa „prodżekt”, nie celebryje polskości i nie opowiada o tym, jak bardzo brakuje jej ojczyzny. Stała się „amerykańska”, trudno się z nią utożsamiać. Póki była taka jak my, póki tylko gończyła za Zachodem, zasługiwała na to, by jej kibicować. Kiedy już go dogoniła i zapuściła w USA korzenie, stała się efekciarska, sztuczna z tym swoim „amm”, zaprzedała swoją polską duszę plastikowemu amerykańskiemu diabłu. A nawet nie gra oscarowych ról. Też coś.

Czy Pacuła zrobiła sobie ze wszystkich jaja?

Tuż po emisji rozmowy spory felieton na jej temat pisze na łamach „Gazety Nowej Zielonogórskiej” Jacek Fedorowicz. On też ogłasza wywiad w telewizji. „Joanna Pacuła już się zamerykanizowała. Nie mam jej tego za złe”. Dalej pisze o akcencie aktorów amerykańskich, o tym, jak go tracą, doda-

je, że i Pacuła akcent straciła, tyle że polski. Dodaje, że wpadł na pomysł, jak odzielić należycie Polaków mieszkających na stałe w Ameryce od tych, którzy mieszkają w Polsce. „Należy się skupić wyłącznie na tych momentach, gdy osoba zastanawia się, co by tu powiedzieć jeszcze”. Tytuł tekstu? „Am”.

Mariusz Załuski pisze za to, że wywiad z Pacułą był zdecydowanie najzabawniejszą z emitowanych przez TVP rozmów z gwiazdami na emigracji. „Jak to zwykle bywa w telewizji, kompletnie nieprzygotowana dziennikarka pytała o rzeczy oczywiste, a pani Pacuła odpowiadała z wrodzonym wdziękiem. Cały dowcip polegał na tym, że aktorka – którą zapewne spora część widzów pamięta jeszcze z wesołych seriali TVP – mówiła do nas z bardzo amerykańskim akcentem i przekąsem, po angielsku wymawiając niektóre słowa; wreszcie, że zaczyna odkrywać Europę i będzie tu kręcić film”.

W rodzinnym Tomaszowie Lubelskim znajomi Pacuły nie wiedzą, o co chodzi. Przecież Pacuła po polsku mówi bez zarzutu. Czyżby zrobiła sobie ze wszystkich jaja?

Maria Mamona, aktorka: – Po pierwsze, Aśka się w ogóle nie zmieniła, ani wtedy, ani dzisiaj. Jest taka sama, jaką znalazłam w Polsce. Po drugie, ma dystans do siebie i do swojej kariery. W Polsce ten wywiad dziwnie był komentowany. Zarzucano jej podobno, że „zapomniała polskiego”. Bzdura, świetnie mówi po polsku. Dzisiaj w Polsce bardzo często wrzucamy jakieś słowo po angielsku i nie robimy z tego problemu. Niektóre określenia wchodzą do naszego języka. Tym bardziej, jak się mówi i myśli tylko po angielsku, który się doskonalili intensywnie, przy polskim może nastąpić jakiś kiks. Niestety, u nas zawsze się znajduje powód, żeby się po prostu przypieprzyć. To za zdrość? Zawieść?

Tomasz Borkowy, aktor: – Od ponad czterdziestu lat mieszkam na Wyspach Brytyjskich i nawet śnię już po angielsku. Mam żonę Szkotkę i rodzinę syna, z którą rozmawiam w tym języku. Nic więc dziwnego, że kiedy przyjeżdżam do Polski, angielskie słowa często łatwiej wpadają do głowy niż polskie. Kiedy zdarza się to polskimi artystom na emigracji, a nie daj Boże w czasie wywiadów, to jest to negatywnie komentowane nie tylko przez publiczność, ale również w dużej mierze przez dziennikarzy. Było tak, kiedy angielski nie był jeszcze tak ogólnie znany w Polsce. Właśnie takie komentarze zamknęły Joasię na Polskę. A przecież my, emigranci, nie chcemy pokazać, że angielski jest dla nas ważniejszy. Ale dla aktorów mieszkających za granicą obcy język to język naszego zawodu. Żeby zaistnieć w naszej profesji, musimy przyjąć język kraju, w którym pracujemy, jako nasz własny.

Dlaczego Pacuła nie udziela wywiadów polskim mediom?

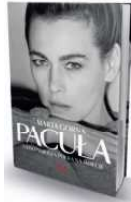
Pacuła pamięta odbiór osławionego wywiadu jeszcze w 2006 roku, mówi o tym „Pani”: – Jest mi przykro, gdy słyszę, że źle mówię po polsku, że już nie jestem Polką. To nieprawda. Fakt, od lat pracuję, rozmawiam, denerwuję się i cieszę w języku angielskim. Czasami, kiedy mówię po polsku, zdarza mi się popełniać błędy, zmienić akcent czy wrzucić w zdanie jakieś angielskie słówko. Ale nie zapomniałam swojego języka, jak to kiedyś napisała pewna dziennikarka. Nie znoszę ludzi, którzy łatwo wydają sądy. Moim rodzicom było wtedy tak przykro. Dlatego od kilku lat nie udzielałam polskim mediom wywiadów. Teraz zrobiłam wyjątek. Kiedy jechałam taksówką na sesję zdjęciową dla was, kierowca powiedział mi: „Pani tak dawno nie było, a tak dobrze mówi pani po polsku”. Byłam zadowolona.

Dwadzieścia lat później, w rozmowie z „Plejadą”, Ewa Pacuła powie: – Joasia rzadko przyjeżdża, rzadko się pokazuje, ona nie lubi wywiadów po tym nieszczęsnym, który ukazał się kiedyś w Wiadomościach, została wtedy nagrana w USA na jakimś przyjęciu.

Przez lata wywiad coraz bardziej obrasta w złowrogie dla Pacuły zniekształcenia. Nawet jej obrońcy – jak Rafał Dajbor – wspominają gafy, których nie popełniła. Ot, choćby stwierdzenie, że „myśli po angielsku”, wcale w rozmowie nie pada, choć powtarza się potem w kolorowej prasie. Jeśli więc Pacuła tym amerykańskim „amm” i obco brzmiącymi zwrotami robiła sobie żarty, to ewidentnie przestrzeliła. Polacy potraktowali ją śmiertelnie serio. Zwłaszcza na tle papieża, o którym materiał emitowano chwilę wcześniej czy później.

Joanna Idzikowska-Kęsik, najwierniejsza fanka Pacuły od lat 70., mówi: – Myślę, że wszechobecne w mediach i sieci umniejszające komentarze na temat jej kariery wynikają z kilku rzeczy: braku konkretnej wiedzy o niej i jej rzeczywistej karierze, z wywiadu, który na początku lat 90. został wyemitowany przez TVP, czasem z zazdrości, bo jej uroda nie wszystkich zachwyca. Poza tym mało było jej w prasie, w telewizji. Był taki dość długi okres, że bardzo się lekceważyło jej dokonania, a wręcz się z nich kpilo.

Maciej Gajewski, który z Pacułą przeprowadził jej ostatni wywiad: – Moim zdaniem Joasia jest bardzo wrażliwa na to, co pisały o niej media, także ze względu na jej bliskich. Szczególnie że często były to rzeczy nieprawdziwe lub wyolbrzymione. Po wyjeździe z Polski jej życie było owiane tajemnicą. Pamiętamy, że kiedy opuszczała Warszawę, tu panował szary PRL. Do nas docierały jakieś szczątki informacji na temat jej kariery, życia. Kreowano jakieś plotki na jej temat – bo w końcu jak tak lubiana i popularna aktorka mogła wyjechać z tak pięknego kraju jak Polska! To władzom na pewno się nie podobało. Tymczasem Joanna przez ponad dwadzieścia lat obracała się przede wszystkim w amerykańskim środowisku filmowym, nie wśród ówczesnej Polonii. Jej pierwszym językiem musiał stać się angielski. Zetknęła się z inną mentalnością, którą musiała zrozumieć i dopasować się do niej. Na pewno się zmieniła, bo nie miała innego wyjścia. Inaczej by nie przetrwała. Przyjechała do Stanów prosto zza żelaznej kurtyny, gdzie Coca-Cola i paczka Marlboro były symbolami luksusu. Ciężko pracowała na to, żeby się w tym nie zagubić. Jest bardzo inteligentna, utalentowana i to jej pomogło. Odnalazła tam swoje miejsce. Stała się aktorką z Hollywood. Podziwiam ją za to. ●



• Marta Górna
„Pacuła. Najstynniejsza Polka na świecie”
Wydawnictwo AGORA,
Premiera 25 marca 2026 roku.

Katarzyna Staszak

I o metaboliczny Święty Graal. Są jak naturalny baton proteinowy i multiwitamina w jednym – mówi doktor nauk medycznych Nick Norwitz, który przez 30 dni żywił się tylko sardynkami.

Ten absolwent Harvardu i Oksfordu postanowił przeprowadzić na sobie eksperyment. Na diecie sardynkowej schudł 3 kg bez utraty masy mięśniowej, bo wciąż miał energię, żeby ćwiczyć.

Norwitz stwierdził, że dzięki rybowi stał się odporny na zimno – w chłodny dzień wyszedł na ulicę z gołym torsem. To mógł być skutek wysokiego poziomu kwasów omega-3, których źródłem są sardynki. Naukowcy łączą wysoki poziom kwasów omega-3 z lepszą termogenezą, czyli sprawnym wytwarzaniem ciepła przez organizm. Gdy Norwitz zbadał poziom kwasów omega-3 w swojej krwi, wynik przekroczył skalę stosowaną w laboratorium. – Wynik był bliższy delfinom niż ludziom – opowiada.

Dieta sardynkowa miała jednak dla Norwita jeden poważny skutek uboczny – zamroziła jego stosunki z dziewczyną. Norwitz zbliżał się do niej dopiero cztery godziny po zjedzeniu sardynek, po umyciu zębów i użyciu wody kolońskiej. Nic to nie dawało, jego skóra cały czas miała rybi zapach.

Przeciętnym zjadaczom sardynek to jednak nie grozi. Jeśli zjecie te ryby dwa-trzy razy w tygodniu, nie zauważycie żadnych skutków ubocznych, za to mogą pojawić się pozytywne zmiany. Sprawdziłam to u naukowców, dietetyczek i sama potwierdzam. Uległam sardynkowej obsesji, która opętała świat.

Na stole puszka zamiast łososia

Najmodniejsze źródło białka czy „najzdrowsze jedzenie na świecie” – jak twierdzi wielu internetowych influencerów – długo kojarzyło się z czasami niedostatku.

Zaraz po drugiej wojnie światowej Polska i inne kraje europejskie dostały pomoc żywnościową od USA. UNRRA, czyli amerykańska Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy, przysyłała Polakom paczki. Wśród konserw były też sardynki.

W czasach PRL dostępny był u nas odpowiednik sardynki, czyli szprot łowiony w Bałtyku. Teraz, na fali popularności sardynek, rośnie też popularność szprotów. Czasem to kwestia niedopatrzeń. W niektórych puszkach z napisem „sardynki” zamknięte są szprotki. Informacja o prawdziwym gatunku ryb podana jest jednak mniejszymi literami.

– Unijne prawo dopuszcza napis „sardynki” na puszkach z rybami pokrewnymi jak szprot, śledź czy makrela. Na opakowaniu musi być jednak podana nazwa gatunkowa faktycznej ryby, np. *Sprattus sprattus*, jeśli w puszcze jest szprot – mówi dr inż. Bogusław Pawlikowski z Morskiego Instytutu Rybackiego.

Często kupuję polskie szprotki zamiast sardynki z Portugalii, Hiszpanii czy Maroka. Czy bałtyckie ryby w puszcze są tak samo wartościowe, jak te z Atlantyku i Morza Śródziemnego?

SARDYNYNKOWA OBSESJA

Mogą pomóc w pracy, sporcie i seksie. Są polecane na skórę, mięśnie, pamięć, serce i kości. Najmodniejsze jedzenie kiedyś kojarzyło się z biedą.



FOT. GETTY IMAGES

– Tak. Szproty są nawet nazywane sardynkami północy. Choć o ich wartości odżywczej decyduje moment, w którym zostały złowione. Jesienią i zimą szproty są najtłustsze, czyli najbardziej bogate w kwasy omega-3. Szproty są mniejsze od sardynek, co dla części osób może być zaletą, ich ości są mniej wyczuwalne podczas jedzenia. Przez mniejszy rozmiar szproty są delikatniejsze i w czasie obróbki trudniej zachować ich idealny wygląd – tłumaczy dr Pawlikowski.

Sardynki z puszek podbiły internet. Polecają je dietetyczki, lekarze, naukowcy, blogerzy kulinarni, edukatorki menopauzalne i influencerki urodowe. W tysiącach filmów na Instagramie i TikToku układają ryby z puszek na pieczywie, rozgniatają widelcem na pasty, dodają do makaronu albo blendują na koktajl.

Sardynki można nawet wypić, np. w bezalkoholowej wersji drinka Krwawa Mary.

Trudniejsze do przelknięcia jest zapewne sardynkowe martini, czyli sardini. To gin zmieszany z olejem z puszek sardynki.

Do kieliszka zamiast klasycznej oliwki można wrzucić sardynkę.

Kilka lat temu, gdy przyjmowaliśmy gości, raczej podawaliśmy im łososia niż puszkę sardynek. Teraz deska przekąsek z puszką rybną jest tym, co jednakowo ucieszy kobietę w okresie menopauzy, kulturystę i 20-latkę walczącą z trądzikiem.

Badacze trendów twierdzą, że dawna kultura diety odeszła, nie interesują nas już produkty, które ma-

ją jak najmniej kalorii. Odżywianie polega teraz na optymalizacji. Ilość jedzenia na talerzu nie ma być wielka, za to maksymalna ma być ilość białka, błonnika, zdrowego tłuszczu, witamin i minerałów. Posilek ma być nie tylko smaczny, ale też dbać o zdrowie hormonalne, regenerację mięśni i gasić stany zapalne. Sardynki wszystko to potrafią.

Mają to, czego szukamy

– Mała puszka sardynek dostarcza 30 g białka, czyli tyle, ile mi potrzeba w głównym posiłku. Sardynki to źródło wapnia, któremu towarzyszy zestaw składników wspierających kości – fosfor, witamina E, D i cynk. Stosunek wapnia do fosforu jest idealny dla mineralizacji kości – mówi Anna Kopańczyk, dietetyczka, autorka książki „Menopauza. Instrukcja obsługi”. Poleca sardynki każdemu, a szczególnie kobietom, bo z wiekiem coraz bardziej narażone są na osteoporozę.

Kopańczyk przypomina też o kwasach omega-3. Tłumaczy, że zmniejszają ryzyko choroby Alzheimera, chorób serca, sprzyjają długowieczności.

Tysiące influencerów zdrowotnych zachwalają sardynki jako jedzenie idealne dla zdrowia skóry i mózgu, dla urody i dla lepszej koncentracji podczas pracy. Urodziny natomiast zalecają sardynki dla poprawy życia seksualnego. Znowo to kwestia kwasów omega-3, które są kluczowe dla kondycji układu krążenia.

Wciąż słyszymy, że mamy budować posiłki wokół solidnej porcji

białka, a sardynki są łatwym rozwiązaniem. – Nie trzeba z nimi robić kulinarnych wygibasów. Mogą być częścią śniadania, obiadu lub kolacji – mówi Kopańczyk.

I jeszcze jedna ważna zaleta ryb z puszek: cena. Puskę sardynek złowionych w Atlantyku i zalanych oliwą można kupić już za mniej niż 7 zł, choć zwykle trzeba się ich trochę naszukać i przygotować raczej na 15-25 zł.

– O smaku sardynek decyduje proces ich obróbki i jakość użytego oleju. Sardynki mogą być parowane albo podwędzane. Najtańsze produkty nie są zalewane oliwą, tylko na przykład olejem sojowym. Warto czytać skład puszek – odpowiada dr Pawlikowski.

Dziko żyjące sardynki to często lepszy wybór niż hodowlany łosoś czy tuńczyk.

– Sardynki żyją krócej niż np. tuńczyk i mają niską pozycję w morskim łańcuchu pokarmowym. Nie kumulują więc takich ilości metali szkodliwych dla zdrowia, np. rtęci, jak duże ryby – wyjaśnia dr Pawlikowski.

Im starsze, tym lepsze

Niektóre puszkę sardynek mogą wyglądać jak małe dzieła sztuki, jakby projektowali je artyści. Na puszcze może być podany rok produkcji jak na butelkach wina. A im starsza jest taka puszka, tym droższa.

Założona w 1887 roku francuska firma La Perle des Dieux namawia do kolekcjonowania puszek i podpowiada, że należy je co pół roku

obrać do góry dnem – żeby oliwa równomiernie otaczała ryby.

Czy światowa moda na sardynki podniosła sprzedaż puszek rybnych w Polsce?

– Obserwujemy wysokie wzrosty sprzedaży w kategorii ryb pelagicznych jak śledź, makrela, sardynka i szprot, ale dostrzegamy potencjał dalszego rozwoju. Potwierdzają to wyniki naszego badania zrealizowanego we współpracy z SW Research: 40 proc. Polaków przyznaje, że je za mało ryb – mówi Agnieszka Szymkowiak z firmy Lisner.

Większość Polaków kojarzy puszkę rybne z kolacją, choć na śniadanie też wybiera je sporo osób – aż 41 proc. badanych przez SW Research. Blisko połowa z nas jada ryby prosto z puszek (54 proc.). Co najmniej raz w tygodniu po konserwę rybną sięga 35 proc. respondentów.

Ulubione ryby Polaków to makrela, śledź i łosoś.

Dla 41 proc. z nas barierą jest wysoka cena ryb. Przeszkadzają nam też ości i trudności w jedzeniu ryb (29 proc.) oraz ich nieprzyjemny zapach (16 proc.). – Wiem, że powinnam jeść sardynki, ale nie mogę. Czuję te kręgosłupy i nie jestem w stanie tego przelknąć – opowiada moja przyjaciółka, która uwielbia śledzie, ale do diety sardynkowej się nie przekonała.

Skromne i odporne na kryzys

Sardynki w puszcze to przykład jedzenia, które stało się wiralem – tematem, który rozpowszechnia się w internecie i napędza sprzedaż. Tak było z czekoladą dubajską, która z kolei nakręciła apetyt na pistacje jako dodatek do wszystkiego.

Ale sardynki to nie dodatek do posiłków, tylko e ich podstawa, więc zostaną z nami na dłużej.

Uwielbienie dla sardynek można też pokazywać poprzez ubranie i dobór akcesoriów. Marka Bottega Veneta wprowadziła „sardine bag” – torebkę z rączką w kształcie ryby. Sardynki pojawiają się na T-shirtach, torbach zakupowych, biżuterii, a skarpetki z sardynkami można kupić zamknięte w puszcze. Od kilku lat hitem są sandały rybaka, a w zeszłym roku mocny był trend „sardine girl”, czyli sardynkowa dziewczyna. Polegał na noszeniu ciuchów lub dodatków z wizerunkiem sardynek.

Ryby jako nadruk zdominowały letnie ubrania w sieciówkach, podobnie jak wcześniej cytryny czy pomidory. Badaczk trendów widziały w T-shirtach z sardynkami symbol czasów niepewności, przystępny cenowo codzienny luksus.

– Skromne produkty spożywcze mają szczególną moc, bo odzwierciedlają odporność na kryzysy. Sardynki pokazują tęsknotę za bliskością, mają nostalgiczny i niedoskonały urok – mówiła portalowi Women’s Wear Daily psycholożka mody Jennifer Heinen.

Ekspertki od mody zapowiadają, że następne na T-shirtach pojawią się mogą jeszcze mniejsze ryby – anchois – albo ogórki kiszzone. Jeśli świat ogarnie ogórkowa obsesja, to w Polsce będziemy spokojni – na tym akurat znamy się świetnie. ●

• **Masz apetyt na sardynki lub szprotki?** Przepisy na dania z tymi rybami znajdziesz pod internetową wersją tego tekstu na Wyborcza.pl w dziale Magazynu

A właśnie, że warto

Nowe PiS, czyli Prawda i Sens

Potrzebujemy prawdy, którą się nam zakłamuje. Potrzebujemy sensu, którego nas się pozbawia.

Mentzel

Dwa dni spędzone w Żydowskim Instytucie Historycznym na konferencji „Historia (według) Adama Michnika” to jedna z najważniejszych duchowych przygód, jakie spotkały mnie w ostatnich latach.

Organizatorzy podkreślali, że konferencja będzie miała charakter naukowy, a nie publicystyczny. „Publicystyka bywa emocjonalna, jest zabarwiona politycznie, stronnicza. Nam zależy na naukowym dystansie”. Już od pierwszej wypowiedzi Jarosława Kurskiego na otwarciu sesji było jednak oczywiste, że takiego dystansu nie da się zachować.

Adam Michnik, od ponad sześćdziesięciu lat współtwórca Polski, jest zbyt znaczącą i kontrowersyjną postacią, żeby rozprawić o nim w akademicki sposób – beznamytnie. Emocje musi budzić zarówno jego dobroczynny wpływ na historię najnowszą, jak i jego czarna legenda tworzona od dawna przez polską pravicę.

1.

Na przełomie lat 1983-84, w czasie dla Polski okropnym – w ponurej dziurze, czy, jak mawiał Michnik, „rozpadlinie”, w której znaleźli się Polacy po stanie wojennym i zniszczeniu „Solidarności” – powstawały dwa dzieła o ważnym i trwałym znaczeniu dla kultury polskiej. Dzieło pierwsze rodziło się w samotności – pisane przez Adama Michnika w warszawskim więzieniu mokotowskim. Dzieło drugie było owocem prowadzonych na Uniwersytecie Gdańskim konwersatoriów Pani Profesor Marii Janion, w których uczestniczyli zarówno studenci i doktoranci, jak i nauczyciele oraz tak zwani wolni słuchacze.

Tym pierwszym dziełem była książka „Z dziejów honoru w Polsce” wydana w 1985 roku nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu oraz Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA.

Tym drugim – seria książek, których pierwszy tom ogłosiło gdańskie Wydawnictwo Morskie już w 1981 roku.

Oba łączy forma – są rodzajem wypisów („wypisy więzienne” to podtytuł książki Michnika). Ich pokrewieństwo duchowe wyraża się z kolei we wspólnym tytule książek gdańskich – Transgresje. Transgresje, czyli przekraczanie granic. W rozmowach prowadzonych przez Marię Janion zajmowano się różnymi w kulturze europejskiej objawami takiego przekraczania – literackimi, filozoficznymi, egzystencjalnymi.

„Przekraczania siebie, przekraczania norm, konwencji, ról, przyjętych wyobrażeń – pokonywania tego, co dane i gotowe”, co 1 a t w e.

Książka Adama Michnika, a przede wszystkim sam autor i jego biografia także są objawami transgresji, przekraczania granic tego, co w Polsce i w innych państwach bloku sowieckiego wydawało się do przekroczenia niemożliwe. Ludzie tacy, jak Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Bronisław Geremek i Lech Wałęsa, fenomeny społeczne takie, jak KOR czy „Solidarność” – wszystko to są przykłady wielkiej transgresji.



• Adam Michnik podczas konferencji Historia (według) Adama Michnika w Żydowskim Instytucie Historycznym

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

2.

Książka Adama Michnika „Z dziejów honoru w Polsce”, podobnie jak seria książek zainspirowanych przez Marię Janion i wtedy, w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, i dzisiaj miała i ma nadal wybitne walory dydaktyczne dla młodych ludzi, tych najbardziej chłonnych, aktywnych intelektualnie. Wybitne w podwójnym znaczeniu. Elementarnym – jako cenne źródło informacji o książkach i innych świadectwach poszukiwania prawdy i sensu, które w krajach rządzonych przez komunistów znane były nielicznym, bo ich znaczenie perfidnymi sposobami próbowano zminimalizować, obecnie zaś są niedoczytane bądź niesłusznie zapomniane i uchodzą za antykwaryczne ramoty niewarte dyskusji („Kłopot z istnieniem” Henryka Elzenberga, „Buty” Jana Józefa Szczepańskiego, „Gusła” Witolda Kuli, „O odpowiedzialności” Hanny Malewskiej – żeby kilka zaledwie tytułów wymienić).

Ważniejszy jeszcze walor dydaktyczny ma umiejętność – chciałoby się napisać: dar – Adama Michnika odnajdowania w dawnych, dobrych książkach swojej własnej aktualności, łączenia przeszłości z teraźniejszością i jej możliwym związkiem z czasem dopiero nadchodzącym.

3.

Ku mojemu zdziwieniu podczas konferencji w Żydowskim Instytucie Historycznym ani razu – dopóki sam tego w końcu nie uczyniłem – nie przywołałem jednego z najważniejszych w moim przekonaniu tekstów, jakie Adam Michnik napisał. Tekst ów – o dziwo – w ogóle prawie nie zaistniał wśród czytelników. Dzisiaj próżno szukać go w obszernej antologii szkiców, która jest Iwią częścią publikacji „Obywatel Michnik”, ogłoszonej niedawno przez Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza. Ani

jednym słowem nie wspomina o nim, niestety, Anna Nasalska, autorka nowej biografii Michnika („Człowiek, który zrehabilitował Polskę”, Znak, Kraków 2025).

Tekst, o którym mówię, nosi tytuł „Polski rachunek sumienia” i jest posłowiem do kolejnego wznowienia w 2010 roku legendarnej książki Kazimierza Wyki „Życie na niby” (kolejny świetny pomysł Andrzeja Nowakowskiego, dyrektora krakowskiego Uniwersytetu). Książka Wyki ukazała się po raz pierwszy w 1957 roku, w czasie kiedy najpotężniejszy człowiek w Polsce, Władysław Gomułka, własnymi rękami dłał „rewolucję prawdy”, jak nazywano Październik ’56; rewolucję, którą sam przecież współtworzył (jego pamiętne słowa na VIII Plenum: „Przed prawdą uciec nie można. Jeśli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka”).

4.

Kazimierz Wyka opisywał „życie na niby” – codzienność kraju pod okupacją hitlerowską i ludzi zniewolonych. Ale w przedmowie do swojej książki pomieścił jeszcze zdanie, na które Michnik od razu zwrócił uwagę. „Życie na niby” to „nie tylko raz na zawsze skończona i ograniczona do kilku lat formacja socjologiczna. Kto wie, czy nie dotyczy ona również samego charakteru narodu”. Pisał autor: „Odczytuję to zdanie następująco – w życiu na niby żyjemy nieprzerwanie”. Już znacznie wcześniejsze słowa Wyki pochodzące z artykułu opublikowanego pod tytułem „Przemówienie programowe” w 1936 roku porażały Michnika jasnowidzeniem tego, co nieuchronnie nadchodzi: triumfu komunizmu i faszyzmu.

„Możemy sobie, my, humaniści, my, indywidualiści, wykazywać straszliwe niebezpieczeństwa tej przyszłości, siły władające światem nie liczą się ze słabymi głosami ostrzeżeń. Obserwacja zaś rzeczywistości uczy, że narody i państwa zmierzają i zmierzać muszą

do wytworzenia najwyższej mocy, potęgi. Że ten wygra, kto najwięcej zaparcia się, wyrzeczenia zdoła w imię idei lub pod przymusem wyrzesać [...] Na tę rzeczywistość nie wolno zamykać oczu. Dlatego [...] jestem pesymistą, na przyszłość spozieram z lękiem, nie ludzę się bowiem, ażeby to, w co wierzę, jako jutro miało już jutro zabłysnąć. Raczej przekonany jestem, że idą czasy wielkiego skrępowania i ograniczenia człowieka, czasy, w których myśl indywidualna i swobodna będzie zbyt niewolnym, a prawem będzie nagięcie się, przystosowanie do narzuconej wszystkim idei”.

5.

Wyka był pesymistą, ale konsekwentnie protestował zawsze przeciw rezygnacji, przeciw powiadaniu, że w niebezpiecznych i trudnych czasach n i e w a r t o. „Właśnie, że warto. Warto i należy bronić człowieka, warto i należy [...] świadczyć czynem i postępowaniem w miarę skromnych sił każdego z nas, że człowiek pełny, swobodny duchem, chętny świata i drugim jest i może być rzeczywistością”.

Podobnie jak Redaktor Naczelny „Gazety Wyborczej” jestem optymistą i nie tylko sądzę, że warto i należy bronić ludzi swobodnych duchem, ale wierzę, że do takich właśnie ludzi należy przyszłość Polski. Dlatego gorąco namawiam Adama Michnika, by napisał Polski rachunek sumienia II, tak potrzebny nam dzisiaj esej, gdzie zredefiniuje pojęcie „życia na niby”, w kraju, który odzyskał niepodległość i suwerenność – kraju niepewnej demokracji. Przekonać dziesięć milionów Polaków i jeszcze tych czterysta tysięcy, którym zawdzięczamy prezydenta, jakiego mamy, i premiera, jakiego mieć możemy, jest moralnym obowiązkiem nas, polskiej inteligencji. Potrzebujemy nowego PiS. Potrzebujemy prawdy, którą się nam zakłamuje. Potrzebujemy sensu, którego nas się pozbawia. ●

Zbigniew Mentzel

TEN, KTÓRY NIE CHCIAŁ UMIERAĆ ZA GDAŃSK



Megaloman, kronikarz własnej wielkości. Nie potrafił przyznać się do żadnej klęski. Bo przede wszystkim kochał siebie. I Hitlera

Jolanta Kawa

Każdy w Polsce zna frazę „Nie będziemy umierać za Gdańsk”. Zdanie, które jest symbolem polityki ustępstw wobec nazistowskich Niemiec i osamotnienia Polski we wrześniu 1939 roku. Nie każdy natomiast wie, że słowa te napisał Marcel Déat, żołnierz z okopów I wojny światowej, pisarz, socjalista, profesor filozofii, a potem francuski nacjonalista i kolaborant.

Po I wojnie Francja była głęboko porażona. Krwawy konflikt kosztował życie prawie 1,5 miliona Francuzów, wielu trwale okaleczył – fizycznie i psychicznie. Powojenne traumy i zniszczenia materialne wzmagały postawy pacyfistyczne. Ta wojna miała być „ostatnią z ostatnich”. Pokój stał się wartością nadrzędną.

Po dojściu Hitlera do władzy partia socjalistyczna, do której należał Marcel Déat, mimo narastającego zagrożenia hitlerowskim imperializmem w zdecydowanej większości opowiadała się za bezwarunkowym pacyfizmem.

Ta postawa skutkowała odrzuceniem przygotowań do wojny. Socjaliści głosowali przeciwko zwiększeniu budżetu na obronę, wydłużeniu do dwóch lat zasadniczej służby wojskowej, nie uczestniczyli także w pracach parlamentarnej komisji obrony.

Ani pacyfizm lat 30., ani układ monachijski nie były gwarancją pokoju. Przeciwnie, stały się czynnikami sprzyjającym wojnie. Były aktem kapitulacji wobec triumfalnego marszu Hitlera w Europie.

Déat, minister lewicowego rządu Léona Bluma, należał do kręgu bezwarunkowych pacyfistów, nie dziwi więc, że gdy hitlerowskie Niemcy rozpoczęły ekspansję w Europie, ratowanie pokoju za cenę ustępstw wobec III Rzeszy uważał za słuszne i konieczne. Popierał Monachium i przyłączenie Kraju Sudetów do Niemiec, bo czasami „konieczne są amputacje, by ratować życie pacjenta” – pisał w lewicowym dzienniku „La République” (19 listopada 1938).

Nie inaczej myślał o niemieckich żądaniach wobec Gdańska, sprawie korytarza gdańskiego. Zapamiętano mu właśnie, owiane złą sławą, zdanie o Francuzach, którzy nie będą „umierać za Gdańsk”. Pochodzi ono z felietonu opublikowanego w liberalno-lewicowym dzienniku „L'Oeuvre” 4 maja 1939 r.

Na tytułowe pytanie „Czy umierać za Gdańsk?” Déat dał jednoznaczną odpowiedź: „Walczyć u boku naszych przyjaciół Polaków w obronie naszych ziem, naszej wolności, to perspektywa, jaką możemy odważyć rozważyć pod warunkiem, że przyczyni się ona do utrzymania pokoju. Ale umierać za Gdańsk, nie!”.

Tekst ten nie był opinią niezależnego autora, lecz głosem posła z ramienia Republikańskiego Zgromadzenia Socjalistycznego (USR). Déat nie wyrażał wyłącznie swoich poglądów, tak myślało wielu innych polityków i, szerzej, Francuzów.

Jego felieton przeszedł do historii jako wyraz polityki ustępstw za wszelką cenę wobec agresora oraz jako ideologiczna matryca przyszłej kolaboracji.

Bagatelizował także eskalację roszczeń niemieckich. Ganił Polaków za opór wobec żądań przyłączenia Gdańska do Rzeszy. Opór ten, jego zdaniem, wynikał z chęci utrzymania kontroli nad portem, który „jeszcze kilka tygodni wcześniej Polaków nie interesował”.

Niepotrzebnie – pisał – „Polska zaostriżyła swój kurs. Patriotyczne wzmoczenie powoduje tym rozemnowanym i sympatycznym narodem. Teraz gotowi są uznać Gdańsk za »przestrzeń życiową«. I nie tylko odrzucają wszelkie rozmowy z Niemcami, ale chcą wręcz sprawować protektorat nad tym miastem”.

Przestrzegal, by Polacy w swoim uporze nie kierowali się narodowymi emocjami, które prowadzą tylko do jeszcze większej eskalacji: „Jeśli zaczniemy rozmowę w tym tonie, szybko dojdziemy do ultimatum, a incydenty graniczne będą się mnożyć”.

Kpił z militarne nieprzygotowania Polski do walki i romantycznego obrazu kawalerii w zderzeniu z rzeczywistością nowoczesnej wojny: „Zawsze pięknie jest patrzeć, jak naród powstaje i wyraża swoją wolę wielkości. Ale jego zadęcie bez realnego przygotowania - nie wystarczy”.

I dalej: „Nasi polscy przyjaciele są pełni optymizmu. (...) Polscy kawalerzyści mają werwę, dosiadają ruma-

ków z zadziwiającą zręcznością. Ale czy ich lance zatrzymają czołgi? A gdzież jest ciężki sprzęt armii polskiej? I od kiedy to nagie szable zastępują działa?”.

Dlatego należało zrobić wszystko, by Gdańsk nie stał się nowym casus belli: „Powień to wprost: rozpętać wojnę w Europie z powodu Gdańska to przesada – francuscy chłopci nie mają ochoty umierać za Polaków”.

We Francji felieton nie przeszedł bez echa. Władimir d’Ormesson z „Le Figaro” sprzeciwiał się ostro realizmowi Déat: „Tu nie chodzi o życie czy śmierć za Gdańsk. Tu chodzi o to, czy chcemy żyć jak cywilizowane narody, czy nie”. Z kolei Pierre Brossolette, ekspert od polityki zagranicznej w „Le Populaire” i przyszły członek ruchu oporu, odwrócił logikę Déata: „Kapitulacja nie prowadzi do pokoju”.

Prestiżowy literacki miesięcznik „La Revue des Deux Mondes” we wrześniu 1939 r. podkreślał wagę Gdańska dla Polski i niebezpieczeństwo oddania go Rzeszy:

„Gdańsk ma dla Polski kluczowe znaczenie. Oddanie go Niemcom oznaczałoby pozwolenie Rzeszy na utworzenie tam bazy morskiej. Obecność niemieckiej artylerii na terytorium miasta świadczyłby o całkowitej dominacji Niemiec nad Zatoką Gdańską i zniszczenie Gdyni... Polska nie może zgodzić się na zmianę statusu Wolnego Miasta”.

Po klęsce Francji w czerwcu 1940 r. Marcel Déat, redaktor naczelny kolaboracyjnego dziennika „L’Oeuvre”, dyktował swoje felietony promujące kolaborację z nazistowskim okupantem.

Pośród francuskich kolaborantów było wielu intelektualistów, mniej lub bardziej wybitnych. Do grona tych ostatnich należał Déat.

Nie był jedyny pośród ludzi lewicy, którzy ewoluowali w stronę faszyzmu, a później stanęli w szeregach wyznawców Adolfa Hitlera. Emblematycznymi postaciami tego nurtu byli Jacques Doriot i Marcel Déat.

Obaj poznali grozę okopów Wielkiej Wojny – I wojny światowej. Obaj wrócili z niej przekonani, że do woj-

nie była ona głównie bazą wyborczą dla prawicy - dlatego obstawał za utworzeniem z nią wspólnego frontu. Rewolucja, jaką należało przeprowadzić, miała być narodowa, nie klasowa.

Esej Déata został źle przyjęty w partii i doprowadził do zerwania z przewodniczącym jej koła parlamentarnego Léonem Blumem.

„Blum zrozumiał, że burzę wszystkie jego sztuczne dekoracje, że wynalazłem maszynę do odblokowania umysłów i że jeśli te wywrotowe tezy się rozpowszechnią, będzie to koniec wielkiej polityki odraczania i imobilizmu – wspominał Déat. – W rzeczywistości to właśnie ta książka spowodowała moje intelektualne i moralne zerwanie z Léonem Blumem: wtedy zrozumiał, że nie mam zamiaru zachowywać się wobec niego jak posłuszny uczeń i że wkrótce stanę się dla niego kłopotliwy” (Déat, „Mémoires politiques” - „Pamiętniki polityczne”).

Doriot wyrzucono z partii komunistycznej, bo nie zgadzał się z narzuconą przez Stalina strategią „klasa przeciwko klasie”, która zabraniała partii wszelkich sojuszy z socjalistami, uznawanych za wrogów klasowych.

Dla obu wyrzucenie z partii było upokorzeniem, źródłem nieskrywanych frustracji, politycznych wolt i dryfu w stronę faszyzmu.

Doriot stał się odtąd cynicznym graczem, utworzył własną, antykomunistyczną partię (Francuska Partia Ludowa), która szybko wpisała się w nurt faszystowski. Interesowała go wyłącznie władza, którą myślał sprawować w sojuszu z samym diabłem.

Déat stworzył swoje ugrupowanie, Socjalistyczną Partię Francji, która niosła na sztandarach hasło o faszystowskim zabarwieniu: „Porządek, władza, naród”.

Jej członkowie, których stał się liderem, zwani neosocjalistami, wieszczili powstanie „potężnego ruchu – ludowego, narodowego i rewolucyjnego (...), który bez ideologicznych uprzedzeń będzie szukać porozumienia ze wszystkimi”. De facto neosocjalizm był dobrze zdefiniowaną ideologią faszystowską - silne państwo i władza centralna, gospodarka planowa, korporacjonizm.

Uważał, że nowe ugrupowanie należy budować,

opierając się na doświadczeniach partii totalitarnych. Były one bowiem „zaprojektowane jak armia zdolna narzucić siłą wolę przywódcy” (gazeta „La Montagne”, 26 stycznia 1934). Co więcej, miały liczne, zorganizowane szeregi, rozbudowaną strukturę organizacyjną i paramilitarną. Dzięki temu skutecznie mobilizowały opinię publiczną, doszły do władzy i mogły ją utrzymać.

Déat rywalizował z Doriotem. Jak sam pisze w swoich pamiętnikach, gdy w 1941 r. założył kolejną, tym razem otwarcie faszystowską partię – Zgromadzenie Narodowo-Ludowe (RNP) – rozpoczęła się między nimi „cicha i bezwzględna walka”. Konflikt ego i politycznych interesów, mimo podobnych postaw wobec okupanta, wziął górę nad wolą stworzenia szerokiego ruchu kolaboracyjnego. Odtąd już walczyli ze sobą o przywództwo.

Marcel Déat urodził się 7 marca 1894 r. w Guérigny, w departamencie Nièvre, w skromnej urzędniczej rodzinie. Rodzice, pracownicy poczty, marzyli o lepszej przyszłości dla syna. W pamięć małego Marcela głęboko zapadły zapachy z dzieciństwa. Skromny dom pachniał palonym drewnem i kapuśniakiem. Zdolny i błyskotliwy uczeń w całości poświęcał swój czas nauce. Szkoła była dlań naturalną drogą awansu społecznego.

Studia w prestiżowej, paryskiej uczelni École normale supérieure przerwała I wojna światowa. Zmobilizowany, walczył na froncie. Po powrocie do życia w cywilu na tej samej uczelni uzyskał tytuł dyplomowanego nauczyciela filozofii.

◀ Marcel Deat
pozuje
do zdjęcia.

Paryż, rok 1932

FOT. ARCHIVE PHOTOS/

GETTY IMAGES

W 1924 r. wziął ślub cywilny z jedną ze swoich dawnych uczennic, młodszą o dziesięć lat Héléne. W bezdzietnym związku małżeńskim pozostał do końca życia.

Upatrywał w klęsce Francji w 1940 r. nowe możliwości urzeczywistnienia rewolucji narodowej. Francja - jego zdaniem - winna zawrzeć sojusz ze zwycięzcą.

10 lipca 1940 r. w Vichy zagłosował za przyznaniem pełnych uprawnień marszałkowi Pétainowi. Ufał, że zyska jego poparcie dla projektu utworzenia Jednej Partii (systemu jednopartyjnego), która stanowiłaby podstawę „rewolucji narodowej”. Próby przeforsowania tej koncepcji speliły na niczym. Nie został też ministrem w kolaboracyjnym rządzie Pierre’a Laval’a, na co bardzo liczył.

Wicepremier Laval szybko stracił zaufanie Pétaina i niektórych ministrów. Posądzano go, że knuje za plecami marszałka, chce „utworzyć w Paryżu nowy rząd m.in. z Déatem i Doriotem, i pogłębić współpracę z Niemcami” – pisał w swoich pamiętnikach Henry du Moulin de Labarthète, dyrektor gabinetu Pétaina.

Pétain zarzucał Lavalowi, że zgadza się „niemal na wszystko, czego chcą Niemcy. Często wykracza nawet poza ich oczekiwania”. Co więcej, podejrzewał, że ów stał za brutalną kampanią prasową w strefie okupowanej dyskredytującą jego i rząd Vichy: „Pańscy przyjaciele wykonują w Paryżu najbardziej ohydną robotę. Atakują mnie i moich ministrów. Mam tego dość. Żądam pańskiego odejścia” (Henry du Moulin de Labarthète).

Ostatecznie Pétain odwołał Laval’a z funkcji wicepremiera 13 grudnia 1940 r.

Za jednego z „przyjaciół” Laval’a, który w Paryżu wykonywał „najbardziej ohydną robotę”, uchodził – powtórzmy – m.in. Déat, naczelny dziennika „L’Oeuvre”. Na łamach swojej gazety prowadził krucjatę przeciwko Vichy. W ten sposób przygotowywał opinię publiczną do rekonstrukcji rządu na korzyść zwolenników Laval’a.

Uważał, że rząd Vichy przerzuca odpowiedzialność za swoje decyzje na Niemców: „Ten rząd jest fanatycznie reakcyjny. Niemcy nigdy nie chcieli niczego innego, jak tylko tego, by rząd francuski zaprowadził porządek i w odpowiednim momencie złożył ważny podpis pod traktatem pokojowym. Jeśli nasi przywódcy sugerują, usprawiedliwiając się, że są zmuszeni prowadzić taką a nie inną politykę, to kłamią” („L’Oeuvre”, 14 marca 1941).

Edytoriale Déata odbierano w Vichy jako nienawistną kampanię przeprowadzoną w porozumieniu z Laval’em w celu przygotowania gruntu pod pucz: „Trzeba pozbyć się tych sługusów. Nie można dłużej zostawiać losu kraju w rękach tych sekciarzy, palantów, łotrów i nieudaczników. (...) Trzeba ich przegonić”.

I dalej: „W sześć miesięcy udało im się wprowadzić zamęt w administracji, wytworzyć chaos, doprowadzić do wielkiego marnotrawstwa i arbitralności” („L’Oeuvre”, 2 grudnia 1940).

Skutkiem tych knowań było zatrzymanie Laval’a i Déata przez policję paryską. Areszt nie trwał jednak długo; kilka dni później na wyraźne żądanie ambasady niemieckiej zostali uwolnieni.

Wtedy Déat znowu zaczął prowadzić intensywną kampanię na rzecz utworzenia systemu jednopartyjnego („Elements révolutionnaires” – „Podstawy rewolucji”, „L’Oeuvre”, 20 grudnia 1940). W tym celu w lutym 1941 r. założył wspomniane Zgromadzenie Narodowo-Ludowe.

Było ono jedną z głównych – obok m.in. PPF Doriot’a – formacji opowiadających się za ścisłą kolaboracją z III Rzeszą. Przyjęło formę silnie zhierarchizowanej organizacji. Miało „partyjną milicję”, która – wedle Déata - winna „nadawać manifestacjom partii bardziej uporządkowany i widowiskowy charakter” oraz ucieleśniać powszechną wolę „dyscypliny, która położy kres politycznemu nieładowi” („La Milice du Parti”, „L’Oeuvre”, 3 sierpnia 1942); miało też młodzieżówki, które rekrutowały... nawet dzieci od dziesiątego roku życia.

Wspólnym punktem odniesienia dla partii, państwa i rządu – pisał w sierpniu 1942 r. – winien być Wódz (czytaj: on sam).

Wcześniej Doriot odrzucał antysemityzm, w czerwcu 1941 r. zaś po raz pierwszy zajął stanowisko w „kwestii żydowskiej”. Dwoił się i troił jednak, by było „rozsądne” i „umiarkowane”. Dlatego bałamutnie dzielił Żydów „na tych niepożądanych, którzy w ostatnich latach zalali Zachód, i tych, którzy żyli we Francji i od lat byli zasymilowani” („L’Oeuvre”, 17 czerwca 1941).

W pamiętnikach pisał: „Moje stanowisko [w sprawie Żydów] było zniuansowane i zawierało pewne zastrzeżenia. Znałem temperament żydowski, jego zalety i wa-

dy, jego skłonność do przesady i brak umiaru. Mogę sobie wyobrazić, jak Niemcy postrzegali inteligencję i wytrwałość żydowską. Antysemicka postawa nazistów była zrozumiała: musieli się bronić, i to z trudem, w takich obszarach jak bankowość, handel, wolne zawody, medycyna, chirurgia, adwokatura”.

W tych słowach wyraźnie wybrzmiewa nazistowski fantazmat o żydowskiej wyższości, wszechobecności Żydów i ich solidarności rasowej.

Wcześniej, daleki od rasowych urojeń, pisał w 1942 r. o potrzebie racjonalnej „polityki społecznej” państwa. W istocie chodziło o politykę rasową. Odwoływał się do idei „ziemi”, „krwi” i „rasy”. „Udoskonalanie” społeczeństwa zaś widział w „racjonalnej i wyselekcjonowanej hodowli małych, francuskich dzieci”. Nie omieszczał wspomnieć nawet o „sterylizacji” („L’Oeuvre”, 7 sierpnia 1942).

Po obławie Vel-d’Hiv w Paryżu, największym masowym aresztowaniu Żydów przez francuską policję współpracującą z Niemcami, w lipcu 1942 r., wyraził sprzeciw wobec wykluczania Żydów „poza nawias ludzkości”, należałoby ich za to – uważał – wykluczyć ze „wspólnoty francuskiej”.

Trudno nie dostrzec w tych deklaracjach pewnego zakłopotania – twierdzi historyk Philippe Burrin. Echo lewicowej przeszłości i zaangażowania Déata w latach 30. w obronę praw Żydów mogło być hamulcem wobec brutalnego, zwierzęcego antysemityzmu.

W „Pamiętnikach” (spisanych tuż po wojnie) Déat utrzymywał, że nic nie wiedział o eksterminacji Żydów; w jego mniemaniu chodziło jedynie o ich przesiedlenie na Wschód.

Niewykluczone, że „racjonalny” antysemityzm Déata był próbą uspokojenia własnego sumienia i umywania rąk od odpowiedzialności za brutalną rzeczywistość, którą przeżywał albo znał, ale ją wypierał. Ponadto antysemityzm był dlań sprawą poboczną, reakcją obronną. Toteż w jego rozumieniu nie należało się nim zajmować, ważniejszy był wielki projekt budowy nowego, europejskiego porządku pod egidą III Rzeszy. W imię pokoju, który Rzesza miała zaprowadzić.

Gdy po niemieckiej agresji na ZSRR w czerwcu 1941 r. przywódca faszystowskiej Francuskiej Partii Ludowej Jacques Doriot zainicjował projekt utworzenia ochotniczej, francuskiej formacji wojskowej, która miała walczyć u boku Niemców na froncie wschodnim, Déat go poparł.

Formacja pod nazwą Legion Ochotników Francuskich przeciwko Bolszewizmowi (LVF) miała być – zdaniem Déata – dowodem „dobrej woli” wobec Niemiec, „okazją do wspólnego działania i pretekstem do zbliżenia z nimi, być może trwałego” („Dziennik wojenny”, 7 lipca 1941). Ochotników wysłano do Polski, na poligon Waffen-SS pod Dębicą, gdzie przeszli gruntowne szkolenie wojskowe, a potem trafili na front wschodni. Służyli w niemieckich mundurach i składali przysięgę Hitlerowi.

Wspomnienia Déata wydobyto z archiwalnych pudeł pod koniec lat 80. Prawie tysiąc stron zapisków wydano dopiero w 1989 r. Pisał je w 1947 r. w Turynie, gdzie ukrywał się wraz z żoną przez dziesięć lat w zakonie salezjanów. Wcześniej, w czerwcu 1945 r., został skazany zaocznie przez francuski sąd na karę śmierci za zdradę.

To opasłe dzieło jest nie tyle świadectwem politycznym pierwszej połowy XX wieku, pogłębianą analizą epoki, ile portretem człowieka przekonanego o własnej wyjątkowości. Na kolejnych stronach kreuje siebie na myśliciela, lidera mas, wizjonera politycznego i rewolucjonistę europejskiego – mimo że jego polityczna kariera była pasmem porażek, a wpływ na losy wojny i kontynentu znikomy. Historia, która działa się na jego oczach, pozostaje w cieniu jego własnego ego.

W miarę lektury maluje się portret megalomana, kronikarza własnej wielkości, który nie potrafi przyznać się do żadnej pomyłki

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Maksym Dali Krywcow*

*Nie widzieć światła
światło dzisiaj w odwrocie
tylko ciemność
napelnia cysterny myśli.*

*Nie słyszeć głosu
świst pocisków i min
dziś głównie rozbrzmiewają
alarmy powietrzne.*

*A mówią:
trzeba śpieszyć się z życiem
patrz nie prześpij
nie panie Symonenko
oddalbym całe swoje odzienie
kilka aparatów fotograficznych
odtworzyć winyli
płytę Okeana Elzy
żeby przespaci
twardo zasnąć na początku wszystkiego
i obudzić się tylko wtedy
gdy pojawi się kropka.*

*Ale za wiersz dziękuję
panie Symonenko
jest dobry
lecz dziś nie słyhać go
tylko świst min
nie słyhać liści
tylko szelest pocisków
zamykam oczy
i nic się nie zmienia
światło jest dziś luksusem
a ciemność w cenach hurtowych.*

przeł. Zbigniew Dmitroca



***Maksym Dali Krywcov** – 1990-2024, ukraiński designer, poeta i żołnierz ochotnik. Uczestnik kijowskiego Majdanu. Pochodził z Równego, zginął na Charkowszczyźnie. Opublikował tylko jeden tomik, „Wirszi z bijnici” (Wiersze z okienka strzelniczego). Za życia i pośmiertnie został uhonorowany wieloma odznaczeniami wojskowymi i państwowymi.

Objaśnienia:

Wasył Symonenko – 1935-63, ukraiński poeta, dziennikarz i dysydent. Okean Elzy – ukraiński zespół rockowy założony w 1994 r. we Lwowie.

FOT. FACEBOOK/ANETA KAMIŃSKA

czy klęski. Nie czyni rachunku sumienia. Wymienia na przemian swoje zasługi, zniewagi, jakich doznał, i rozczarowania, nie poświęcając niemal uwagi cierpieniom ofiar ani dramatowi epoki.

Déat megaloman chwali się, że już w 1926 r. podczas kampanii wyborczej organizował „świetne, czasem wręcz triumfalne wiece”. Gdy opublikował „Perspectives socialistes”, książka „porwała młodych członków partii socjalistycznej”, a „najlepsi z nich przesiąknęli jej duchem”.

Pisał dużo, miał „świetne” pióro, co pozwalało mu „bez większego wysiłku odnosić dziennikarskie sukcesy, nieomal bezprecedensowe”. 17-punktowy program jego kolaboracyjnej partii RNP był „najpełniejszą syntetą bardzo długiego i bogatego doświadczenia politycznego”.

Z kolei jego „Plan odbudowy narodowej Francji” z września 1943 r. to „obszerny, 15-stronicowy maszynopis”, tak cenny, że nie-

mieckie służby w Paryżu prześcigały się, kto pierwszy przekaże go Hitlerowi! Nawet po inwazji anglo-amerykańskiej w 1944 r., gdy wygłaszał przemówienie w Weimarze, tłum „wybuchął oklaskami, przechodzącymi w owacje”.

Tym megalomańskim urojeniom towarzyszy pogarda wobec innych, a zwłaszcza wobec tych, z którymi wcześniej szedł tą samą drogą. Szczególnym obiektem drwin jest Léon Blum, u którego od dawna „dostrzegał wrażliwość kobiecą”. Laval zaś to „prostak, wieśniak, wyjątkowo niedouczone”. Podobnymi epitetami obdzielał po równo tych, którzy z nim wcześniej pracowali, funkcjonariuszy Vichy i oponentów politycznych.

Uderza brak refleksji nad wyborami politycznymi, jakich dokonywał; szedł w obranym kierunku, zbaczal z drogi, ale nigdy się nie mylił, nigdy nie targaly nim wątpliwości.

A powinni. Choćby wtedy, gdy wyrzekł się pacyfistycznych przekonań, które nakazywa-

ły mu, by „nie umierać za Gdańsk”, a potem wzywał innych, by umierali za Rzeszę. Albo gdy sam rekrutował francuskich „patriotów” do Legionu przeciwko Bolszewizmowi. Nawet w 1947 r. nie widzi w tym żadnego problemu: „sentymentalna odraza... kwestia jedynie pozorów... nie było w tym nic szczególnie dziwnego ani skandalicznego”.

Retoryczne akrobacje maskują jego - co najmniej dwuznaczny – stosunek do demokracji. Istnieje ona tylko wtedy, gdy „odnowa dokonuje się na poziomie narodowym, przez naród i dla niego, poprzez brutalne odrzucenie podziałów klasowych i rozbieżnych interesów, i wymuszenie bezwzględnej dyscypliny zbiorowej”. Gdy „masy niemal instynktownie żądają koncentracji władzy i chcą, by nimi kierowano i rządono”. Déat myśliciel przepo-

czwarza demokrację w autorytarny twór na wzór reżimów faszystowskich. Czy okupant deptał swobody obywatelskie? Bynajmniej. On sam cieszył się swobodą wypowiedzi i mógł publikować swoje teksty, a nawet jeśli „cenzura bywała czasami drobniawą”, to zmieniała jedynie „błahostki”, nigdy nie kontestowała „całości tekstu czy ogólnych idei”.

Nie był służalczy wobec okupanta ani nie pisał tekstów pod jego presją. Wystarczyło mieć – tak jak on – „serdeczne relacje z ambasadorem III Rzeszy w Paryżu”, Otto Abetzem. Ten już przed wojną zabiegał o zbliżenie francusko-niemieckie. Biegle mówił po francusku, ożenił się z Francuzką, animował niemiecko-francuską wymianę kulturalną, zbudował szeroką sieć kontaktów w paryskich kręgach intelektualnych.

Działania te przyniosły korzyści podczas okupacji, wielu ludzi pióra z okresu międzywojennego stało się w latach 40. prominentnymi kolaborantami, m.in. Déat, Drieu de la Rochelle, Céline.

Déat nie komentuje w pamiętnikach nazistowskiego antysemityzmu poza stwierdzeniem, że „w tej sprawie Niemcy nie byli skłonni do żartów”. Nie potępia go wprost, a wręcz go usprawiedliwia: Niemcy musieli się bronić przed żydowską dominacją: „stąd numerus clausus, a w końcu eliminacja Żydów i ich prześladowanie”. Słowem, była to uzasadniona reakcja obronna.

A eksterminacja Żydów? W 1947 r. nadal w to wątpił. Skoro „nigdy nie słyszał, by z ust wysoko postawionych Niemców padły słowa o planach eksterminacji”, a jedynie o koncentracji Żydów, np. w Palestynie – „co przecież nie było czymś potwornym” – wywodził, że eksterminacji nie było. Naiwność, zaślepienie, wyparcie niewygodnych faktów?

Déat uruchomił typowy postracjonalistyczny mechanizm wobec Zagłady. Ten temat omijał szerokim łukiem. Nie potępiał, rozmyślał odpowiedzialność sprawców. Chciał zachować pozory „cywilizowanego” kolaboranta.

Co więcej, próbował odwrócić uwagę od niemieckich zbrodni, pisząc o „prawdziwych” prześladowaniach, jakich rzekomo dopuszczała się Francja po wyzwoleniu. A jedyną „zbrodnią”, o jakiej słyszał, było „zbombardowanie Drezną” przez aliantów. To „arcydzieło bestialstwa winno znaleźć się w podręcznikach historii”.

O osobistym życiu Déata z pamiętników nie dowiadujemy się zbyt wiele. Skupia się on raczej na wydarzeniach niż na introspekcji. Jedno z nielicznych zwierzeń odsłania sedno jego osobowości: „Jestem takim zwierzęciem, które gdyby nawet znalazło się na bezludnej wyspie, próbowałoby tam zaprowadzić porządek”.

Nie ma w nim skruchy. Tłumaczy swoje wybory poczuciem wyższej racji: „Wierzyłem, że nowa Europa może narodzić się ze szczerzej kolaboracji. Historia pokazała, że się myliłem, ale nie żałuję, że próbowałem”.

Dlaczego Marcel Déat, gdy napotykał przyszkody dla swoich projektów politycznych,

„Wierzyłem, że nowa Europa może narodzić się ze szczerzej kolaboracji z Hitlerem. Historia pokazała, że się myliłem. Ale nie żałuję, że próbowałem”

zawsze parł naprzód, dokonywał politycznych zwrotów i rezygnował z wcześniej wyznaczonych zasad?

Nawet po wyzwoleniu Francji w sierpniu 1944 r. nie chciał przyjąć do wiadomości, że gra jest skończona. Uciekł jak wielu innych kolaborantów do Niemiec. W zamku Sigmaringen był członkiem operetkowego rządu „na uchodźstwie” pod ścisłą kontrolą naziistów. Nadal wierzył, że z pomocą Niemiec kolaboranci wrócą do Francji i odbiją ją z rąk z alianckich „terrorystów”.

Trzykrotny poseł z ramienia socjalistycznych ugrupowań, dwukrotny minister – najpierw w lewicowym rządzie Léona Bluma, potem w kolaboracyjnym rządzie Laval – założył kilku partii i gazet. Nigdy się nie poddał.

Jego wielkie projekty kończyły się porażką. Nie udało się mu stworzyć systemu jednopartyjnego: założone przez niego Zgromadzenie Narodowo-Ludowe pozostało mało znaczącą formacją. Nie miało w swoich szeregach 500 tys. członków, którymi Déat się szczycił. Nie dało mu większej władzy niż funkcja ministra pracy w rządzie Vichy w ostatnich dniach wojny.

Inne, założone przezeń wcześniej partie rozpadały się pod presją wewnętrznych scysji i konkurujących ze sobą frakcji. Gazety, które tworzył, albo zniknęły z rynku, albo przepoczwaczały się w inne tytuły o niewielkim nakładzie.

Co stało za jego „niezłomnością”?

Lekiem na pokłady nagromadzonej frustracji z powodu niepowodzeń i w pewnym sensie marginalizacji była ucieczka do przodu: „Aby wszystko osiągnąć, trzeba wszystko dać i niczego nie żądać” („L’Oeuvre”, 2 stycznia 1942). Frustracja zaś potęgowała pragnienie władzy, które wiodło Déata przez mroczne ścieżki. Szedł w kierunku wynaturzonego moralnie sojuszu z nazizmem bez wahań ni skrupułów.

Celnie i proroczo (luty 1941) pisał o nim w swoich pamiętnikach pisarz i członek ruchu oporu Jean Guéhenno:

„Od 20 lat dąży do władzy – i nadal to robi. Chce być przywódcą – jeśli nie może być nim »po francusku«, będzie nim »po niemiecku«, zostanie führerem, jeśli w tym języku bę-

dzie mówić nowa Europa. Cóż może obchodzić go stado, ważne, by on był pasterzem. Jedyna prawdziwa emocja, która nim kieruje, to nienawiść do rządu Vichy za to, że nie uczynił go ministrem”.

Tak więc wywody Déata myśliciela to do-rabianie ideologii do nieposkromionej żądzы władzy. Wedle Guéhenno Déat nie był ideowym faszystą. Był gotów dopasować się do każdej ideologii, jeśli ta dałaby mu przywódczą rolę.

W ostatnich miesiącach wojny Déat nadal ludził się, że może odegrać wielką polityczną rolę. Gdy Laval – już jako premier – tracił wpływy, miał nadzieję go zastąpić. Liczył na to, że zostanie uznany przez Niemców za nowego przywódcę kolaboracyjnej Francji.

Rozpaczliwie zabiegał o poparcie Hitlera, z którym spotkał się 29 sierpnia 1944 r. m.in. wraz z Doriotem w ostatniej próbie wpływu na losy Francji współpracującej z Hitlerem. W groteskowym rządzie „na uchodźstwie” w zamku Sigmaringen, gdzie kolaboranci odgrywali żalospny spektakl, tworząc pozory władzy, Déat – nadal minister pracy - snuł wizję odbudowy Francji, w czasie gdy alianci posuwali się naprzód. Jego mrzon-

ki o przywództwie miały wymiar tragikomiczny.

Po upadku III Rzeszy rozpoczął dramatyczną ucieczkę przed odpowiedzialnością karną.

Gdy 19 czerwca 1945 r. paryski sąd skazał go zaocznie na karę śmierci, dożyłotnią utratę praw obywatelskich i konfiskatę majątku, przedostał się wraz z żoną do Turynu, gdzie ukrywał się w zakonie salezjanów aż do śmierci.

Tam nauczał pod fałszywym nazwiskiem i pisał swoje „Pamiętniki polityczne”. Tam także odzyskał wiarę, którą – wspominał – utracił już w czasach licealnych. W 1947 r. uzyskał zgodę Watykanu na zawarcie ślubu kościelnego, co było dowodem na jego powrót na łono religii katolickiej.

Zmarł 5 stycznia 1955 r. w całkowitym zapomnieniu, z dala od politycznego blasku, którego niegdyś tak pragnął. Został pochowany w Turynie wraz z żoną, pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

Jego śmierć nie odbiła się żadnym echem we Francji. Poza historykami, niewiele osób pamięta jego nazwisko. Jest zapomniany przez Francuzów.

Jego grobu nikt nie ukwieca ani nie odwiedza. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wielirski;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414016

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ”

Spadki i testamenty

- Jak przekazać majątek bliskim?
Zapisać w testamencie, czy darować za życia?
- Czy zawsze dziedziczy małżonek?
- Kto może być niegodny dziedziczenia?



DODATEK
SPECJALNY



Wielki kryzys

DO CHAT WRÓCIŁO

luczyrwo

Ekonomiści traktowali gospodarcze zapaści jako naturalny mechanizm usuwający „złą krew”, ignorowali koszty ludzkie.

Robotnicy pracowali nie dość, że za mniej, to jeszcze bardziej wydajnie.

Z **DR. KAMILEM PISKAŁĄ**
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

PIOTR GŁUCHOWSKI: Ekonomiści twierdzą ostatnio, że prawdopodobnie stoimy u progu wielkiego światowego kryzysu finansowego, który zacznie się od niewypłacalności Japonii. Zatem część tego, o czym pan pisze w „Zredukowanych”, może stać się, niestety, aktualna...

DR KAMIL PISKAŁA: Nie jestem ekonomistą, lecz mam nadzieję, że lekcja Wielkiego Kryzysu, który wybuchł po krachu na amerykańskiej giełdzie w październiku 1929 roku, została przez światowe elity odrobiona. Rządy mają instrumenty, by reagować. Nauczyły się, jak wyrównywać wahania koniunktury, a też i dzisiejszy kapitalizm jest zupełnie inny. Na początku XX wieku ekonomiści traktowali kryzysy gospodarcze jako naturalny mechanizm usuwający „złą krew”. Jako nieodzowną część cyklu koniunkturalnego. Pozwalali sobie na komfort ignorowania kosztów ludzkich.

Doktrynę, której w pierwszych latach załamania trzymał się polski rząd, nazwano po fakcie „polityką przetrwania”. Opierała się na zapewnieniu stabilności waluty oraz zachowaniu równowagi budżetu, aby ocalić mechanizm państwa, niekoniecznie już myśląc o ludziach.

– I właśnie takie podejście po doświadczeniu Wielkiego Kryzysu zostało odrzucone. Pojawiło się przeświadczenie, że władza jest właśnie po to, by bronić obywateli w krytycznych sytuacjach. Od lat trzydziestych rządy zaczęły metodą prób i błędów poszukiwać możliwości aktywniejszego wsparcia gospodarki choćby przez wpompowanie pożyczonych gdzieś na zewnątrz pieniędzy. Tak było w kryzysie, który wybuchł na amerykańskim rynku kredytów hipotecyjnych w 2008 roku.

Cytuje pan w książce historyka Marcina Zarembę, który twierdzi, że gdyby nie kataklizm drugiej wojny światowej, Wielki Kryzys 1929-33 byłby „naj-

bardziej traumatycznym, najgłębiej zapisanym w pamięci polskiego społeczeństwa doświadczeniem XX wieku”.

– Jest to hipoteza z kategorii historii alternatywnej, ale też porównanie Zaremby pokazuje, jak dotkliwie było doświadczenie tamtej recesji. Okupacja to był przede wszystkim lęk przed śmiercią z rąk Niemców...

Ale niekoniecznie bezrobocie i bieda.

– ...dlatego, aby nie snuć ryzykownych porównań, oddaję w książce głos samym Polakom – cytuję ich pamiętniki, listy do redakcji, artykuły z ówczesnej prasy. Kryzys opisywali też literaci.

Antoni Slonimski: „Przeciętny Poleszuk ma na sobie baranicę, łapcie, kozuch, koszulę, spodnie z samodziółem. Jedyną rzeczą, której sam nie wyprodukował, to z carskim jeszcze orzelkiem guzik metalowy, na którym trzymają się portki. Tak wygląda polski konsument”.

– Dalej Slonimski pisał, posiłkując się Małym Rocznikiem Statystycznym, że ówczesna trzydziestodwumilionowa Polska konsumuje mniej cukru, tłuszczu, tytoniu i owoców niż trzymilionowa Dania.

Czyli podstawa gospodarcza kraju była krucha już przed kryzysem.
– Polska gospodarka od samego początku przeżywała permanentne kłopoty. Najpierw powojenne: zniszczenia fabryk i infrastruktury. Potem kilka lat wojen o granice, które też kosztowały. Od 1923 roku uporczywa inflacja marki polskiej zaczyna przechodzić w hiperinflację...

W 1924 roku Władysław Grabski przeprowadził jednak reformę walutową, wprowadzając złotego...
– ...i okres 1926-29 to rzeczywiście czas, kiedy wszystko szło ku dobremu. Wreszcie okrzepło z trudem wywalczone własne państwo, trwał pokój, gospodarka zaczęła wchodzić na wyższe obroty. Aż nadszedł czarny czwartek na Wall Street...

Do dziś nie ma pełnej zgody, co było przyczyną kryzysu w USA.
– Ówczesne załamanie kursów z dzisiejszej perspektywy zdaje się raczej efektem, a nie przyczyną zapaści. Koniunktura od początku roku 1929 była na całym świecie coraz gorsza. Dźwigającą się po zniszczeniach wojennych gospodarkę Europy napędzał przede wszystkim kapitał amerykański. Inwestowano głównie w Niemczech. I kiedy koniunktura zaczęła opadać, kapitał począł się wycofywać. Do tego konsekwencje psychologiczne. Przerażeni spadkami inwestorzy szukali „bezpiecznego portu”, porzucali – jak byśmy dziś powiedzieli – rynki wschodzące. Na to się nałożyło globalne załamanie cen produktów rolnych.

Jaka była jego przyczyna?
– 1929 był rokiem dobrego urodzaju także i w Polsce. Tymczasem ludzie – z jednej strony przestraszeni złymi wieściami, z drugiej zagrożeni realnymi klęskami, jak bezrobocie – ograniczyli konsumpcję żywności. W kraju rolniczym, jakim wtedy byliśmy, bo dwie trzecie Polaków żyły wówczas z rolnictwa, spadek popytu na ziemiopłody sprawił, że ponad 60 procent ludności nie miało za co kupować produkcji rzemieślniczej i przemysłowej. Dlatego ona również zaczęła gwałtownie spadać. Powstała spirala, która aż do roku 1933 ciągnęła polską gospodarkę w dół.

Między rokiem 1928 a 1933 nastąpił spadek PKB kraju o 22 procent. Do 18 miliardów tak zwanych dolarów międzynarodowych. Dla porównania – dzisiejszy produkt Polski przekracza dwa biliony.
– Ten spadek postawił II Rzeczpospolitą w ścisłej czołówce państw najsilniej dotkniętych recesją. Wyobrażenie o tym, jak bardzo zmniejszyła się konsumpcja – szczególnie na wsi – mogą dać obserwacje poczynione przez badacza na Podkarpaciu: „W dwóch dużych wsiach okazało się z książek sklepików, że na pięć tysięcy mieszkańców zakupiono w jednym miesiącu: jedną kosę, sześć guzików nicianych, kubek aluminiowy i 10 deko gwoździ. Ogółem wpływy gotówkowe wyniosły z terenu wsi powyższych pięć złotych i 35 groszy”.
Produkcja surówki żelaza w najgorszym momencie kryzysu spadła w porównaniu z 1929 rokiem o ponad 70 procent. Fabryki nawozów sztucznych zanotowały niewiele mniejsze spadki. Wydobycie węgla zmalało o prawie 40 procent. We włókiennictwie do 1932 roku zniknęła jedna czwarta etatów, a znaczna część tych, którzy nadal pracowali, miała zajęcie ledwo przez kilka dni w tygodniu. W przemyśle budowlanym – jeszcze gorzej: zatrudnienie spadło o ponad dwie trzecie.

Chodząc na przykład po Bydgoszczy – ale nie tylko – do dziś widać dziurę, która ziele między secesją a architekturą stalinowską. W dwudziestoleciu międzywojennym niemal nic tam nie zbudowano.
– Bo kto buduje? Kapitał państwowy albo prywatny. Po 1929 roku ten pierwszy ogląda dwukrotnie każdą złotówkę i jeśli tylko można, przekłada budowę szkół czy gmachów użyteczności publicznej „na lepszy czas”. A kamienice również nie powstają, bo inwestorom prywatnym kurczą się dochody. Zresztą dla kogo stawiać domy, skoro ludzie nie mają na czynsz? Dochodzimy do najważniejszego: wraz z wyhamowaniem przemysłu następowała redukcja zatrudnienia...

To tytułowe zagadnienie książki i zarazem wątek, który najbardziej przeraża. Cytuję: „Gdy kończył się Wielki Kryzys, górnicy na polskim Górnym Śląsku

pracowali najwydajniej w całej Europie, a przecież tamtejsze kopalnie nie należały do najnowocześniejszych. Nie trzeba było jednak inwestować w nowe maszyny, skoro lęk wystarczał, żeby górnicy bili kolejne rekordy wydobycia”.
– Oto proces, który jesteśmy w stanie intuicyjnie zrozumieć: tworzy się rynek pracodawcy. Pensje maleją, ludzie godzą się pracować nie dość, że za mniej, to jeszcze bardziej wydajnie niż kiedyś. Ze względu na widmo redukcji pracują na granicy wytrzymałości. Zanika zjawisko strajków...
Szacunkowo pracę utracił nawet milion osób. Do tego mieliśmy z dziada pradziada te kilka milionów „ludzi zbędnych” po wsiach. Ludzi, których nie obejmowały statystyki. A i tak wiemy, że w urzędach pracy na jedno oficjalnie zgłoszone wolne miejsce przypadało do 360 chętnych. Na jedno!

Statystykom umykali nie tylko „ludzie zbędni”...
– ...ale też rzemieślnicy i chałupnicy. Jak byśmy dziś powiedzieli: jednoosobowe przedsiębiorstwa prywatne. Nie dostawali zamówień, to nie pracowali. Byli faktycznymi bezrobotnymi poza statystyką.

Gdzie bezrobocie było najwyższe?
– W ośrodkach przemysłowych jak polska część Górnego Śląska, Zagłębie Dąbrowskie, Łódź, Warszawa, a także w miastach z jednym dużym zakładem dającym pracę przysłowiowej połowie mieszkańców. Na przykład w Zawierciu, gdzie potężny zakład włókienniczy znalazł się na granicy bankructwa i zwolnił niemal całą załogę.

Opisuje pan sposoby radzenia sobie z brakiem pracy. W tym także solidarność.
– W niektórych grupach zawodowych przyjął się zwyczaj, że zachowujący zatrudnienie na jeden-dwa dni w tygodniu odstępowali miejsca zwolnionym kolegom. Tego rodzaju akcje były inicjowane na przykład przez związki zawodowe zrzeszające zecerów. W 1932 roku czterech na dziesięciu robotników pracowało przez mniej niż sześć dni w tygodniu. W przemyśle włókienniczym w niepełnym wymiarze pracowała co druga osoba. Pracującym po dwa dni na siedem zostawała nadzieja: nie zwolnili mnie, więc jak będzie lepiej, może dniówek przybędzie...

Jak ludzie prosił tłumaczyli sobie przyczyny kryzysu?
– W dyskursie ludowym świat stanął na głowie. Jest armia bezrobotnych, a z drugiej strony przedsiębiorstwa pracują na 20 procent... Albo niszczy się płody rolne, by powstrzymać spadek cen. To przerażało. Jest taki przejmujący wiersz Slonimskiego o niszczeniu zboża, po to by utrzymać ceny.

„Towarzyszu drukarzu, zbuntuj się, nie drukuj/ O tych rzuconych w morze całych tonach żarcia/ Takiej jałmużny prosi i takiego wsparcia/ Twój brat opuchły z głodu leżący na bruku”. Kryzysowi towarzyszył głód?
– Klęski głodu nie było, ale masowe doświadczenie niedojadania – owszem. Mamy poruszające świadectwa. Utrata pracy, dalej jednostajna dieta ziemniaczana, a potem już niedożywienie. Tokarz z Łodzi obliczał: „Żona moja, 25 lat, ważyła 62 kilo, obecnie waży 43 i pół, na mnie pozostały tylko skóra i kości”. Bezrobotni pisali o tym, jak chudną, jak zmienia się im cera, jak tracą zęby i ogólnie – zdrowie.

Gdy przejrzeć prasę codzienną z pierwszych lat trzydziestych, autorzy co rusz piszą, że „na pryncypialnej ulicy ktoś zemdlął z głodu”. Przypadków śmierci głodowej jednak nie znalazłem. Pojawiała się natomiast tak zwana podaż głodowa. Polegała na tym, że wiele gospodarstw, chcąc choć trochę zrównoważyć spadek dochodów, sprzedawało to, co w innych okolicznościach zostałoby zużyte na własne potrzeby. Chłopi sprzedawali mięso i jaja, a sami jedli tylko ziemniaki i produkty z mąki.

Sprzedajemy rzeczy, na które nas nie stać. Jemy to, na co nas stać.
– Gdy rośnie podaż jajek, bo kilkaset tysięcy gospodarstw ich nie je, a tylko chce spieniężyć – cena jaj maleje. Działanie jednostkowo racjonalne pogłębiało więc jedynie problem niskich cen. System rynkowy grał przeciw człowiekowi.

Zapaść cen artykułów rolnych rujnowała rolników na różne sposoby. „Pożyczyłem na pół krowy, wten czas kosztowała 700 złotych, ja pożyczyłem 300.

◀ **Bezrobotni górnicy wydobywają węgiel z biedaszybu na wzgórzu Hugo-na w Zgodzie, dziś dzielnicy Świętochłowic, rok 1934**

FOT. NAC



Dr Kamil Piskala, adiunkt w Katedrze Historii Polski Najnowszej Uniwersytetu Łódzkiego. Zajmuje się dziejami emancypacyjnych i progresywnych ruchów społeczno-politycznych w pierwszej połowie XX wieku, historią społeczną w międzywojniu. Autor lub współautor ponad 30 publikacji naukowych, od lat zaangażowany w popularyzację tradycji rewolucji 1905 roku.



Kamil Piskala

Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu
Muzeum Historii Polski

Dzisiaj u nas krowa kosztuje 50 złotych, więc pożyłem pół, a oddaję sześć krów”.
– Idealem podczas kryzysu byłaby stuprocentowa samowystarczalność gospodarstwa rolnego. W praktyce jednak sól, naftę, cukier i zapalki kupić było trzeba. Do tego opłacić podatki. Te same 30 złotych podatku gruntowego chłop kiedyś sponował, sprzedając określoną liczbę kilogramów żyta, a teraz musiał sprzedać tę ilość razy trzy. Żeby wystarczyć. Czyli jak z tą krową.

Zapalki rzeczywiście dzielono na czworo, czy to mit?
– Stwierdził to w swoim przemówieniu minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski, który powiedział w Sejmie, że owo zjawisko jest na wsi powszechne. Zapalki były towarem monopolowym, ich cena nie spadała, bo to była produkcja wyłączona spod reguł konkurencji.

Podobnie jak alkohol. Cena wódki nie spadła, za to jej spożycie – o ponad połowę. To był jeden z dwóch okresów w historii ostatnich stu lat, kiedy krótkotrwale piliśmy mniej. Drugi to początek lat dwięćdziesiątych – również dno recesji.
– Abstynencja z przymusu pokazuje ludzki ciężar zapaści. Z pamiętników widać, że wprawie rezygnowano z kina, z gazety i właśnie z alkoholu, potem z papierosów, które trudniej rzucić. Wielu bezrobotnych paliło machorkę...

Czyli bogaty w nikotynę pospolity chwast. Przy obecnych cenach fajek to jakaś alternatywa.
– Gdy bezrobocie trwało, w dalszej kolejności oszczędzono na ubraniu, na żywności, nawet na soli. Gotoowano ziemniaki wielokrotnie w tej samej, raz osolonej wodzie. Wzrosła sprzedaż tak zwanej soli bydłowej...

Taniego dodatku mineralnego do paszy dla zwierząt.
– Ta sól zaczęła królować w kuchniach najuboższych. Wróciły do użytku lucywa.

Suche bądź żywiczne szczapy, które potwornie kopca i starczą jedynie na chwilę. Jeden z bohaterów cytowanych w książce próbował również „świecenia kocim szmalcem”.
– Inni palili karpinę, czyli wykopanymi na wyrębach i wysuszonymi latem korzeniami drzew. Albo torfem, który zbierano na bagnach i także suszono na zimę. Do tego oczywiście drewno kradzione z lasu pańskiego albo państwowego.
Już w pierwszych miesiącach kryzysu odnotowano gwałtowny, stuprocentowy wzrost liczby wyroków skazujących na mniej niż sześć miesięcy. Właśnie w taki sposób karano drobne kradzieże. Przystępczość wynikała z biedy i wręcz eksplodowała, lecz warto zauważyć: tą drogą poszła mniejszość. Natomiast powszechnym doświadczeniem większości – wyraźnie brzmiałym w pamiętnikach – był lęk, że w sytuacji ostatecznej nie pozostanie nic prócz kradzieży.

Te kradzieże z nędzy są charakterystyczne. Ludzie nie kradną zegarków czy pieniędzy, tylko płody z pól...
– Na Śląsku i w Zagłębiu mnoży się także hałdżiarstwo – zbieranie węgla na przykopalnianych zwalach. Powszechne są kradzieże kolejowe...

Nie okrada się jednak pasażerów.
– ...okrada się wagony, najczęściej wiozące węgiel.

Kopie się też biedaszyby. 60 lat później to zjawisko wróci w dotkniętym bezrobociem Wałbrzychu...
– W 1932 roku na Górnym Śląsku czynnych było około trzech tysięcy takich dzikich wykopów. Spośród około 60 tysięcy górników, których zwolniły kopalnie, jakieś 30-40 tysięcy fedrowało na lewo w śląskich i zagłębiowskich biedaszybach. Władze patrzyły przez palce, ponieważ to był jakiś wentyl bezpieczeństwa. Węgiel z biedaszybów był tańszy, bo gorszej jakości, ale zbiedniałym mieszkańcom to nie przeszkadzało. Bezrobotny fedrował na dziko i sprzedawał urobek innym bezrobotnym.

Kiedy praca stała się obiektem pożądania, rozpleniło się kumoterstwo przy zatrudnianiu. „Chociaż gdzie jest jaka robota – to już dla starych znajomych, a jak nie, to trzeba mieć różnych wujków, żeby protegowali, a ja takich jegomości nie posiadałem”.
– W mniejszych przedsiębiorstwach częstym warunkiem zatrudnienia mogło być opłacenie majstra, który dobierał załogę. Prasa pisała też o lewych pośrednikach oferujących protekcję przy znalezieniu etatu: „Opiekun obiecał pracę, wziął zaliczkę i zniknął”. Chcesz mieć posadę dozorcę? To ją sobie kup. Zdarzało

☞ się też odstępne: „Oddam miejsce pracy za opłatą”.

„Dlaczego stale pada deszcz? Mógłby w końcu śnieg upaść i może by była robota” – notował bezrobotny czekający na uruchomienie robót publicznych przy odsnieżaniu.

– Na zachodzie Europy te roboty były kluczowym narzędziem walki z bezrobociem. W Polsce je również organizowano, najczęściej siłami samorządów miejskich, ale to była kropla w morzu potrzeb. Chętnych do odsnieżania było tyłu, że kolejki ustawiały się wiele godzin przed planowanym rozpoczęciem prac. Dopiero przykład nazistów niemieckich dał polskim władzom impuls. W roku 1933 powstaje wzorowany na niemieckim rozwiązaniu Fundusz Pracy, który systematycznie organizuje roboty melioracyjne, przy oczyszczaniu placów i budowie dróg. Każda dniówka wypłacano w ramach robót publicznych szybko wraca do gospodarki, bo ludzie głodni od razu kupują, a nie odkładają, więc efekt koniunkturalny jest odczuwany od razu.

Niestety, powściągliwa polityka finansowa Polski sprawia, że wciąż – aż do wojny – brakuje pieniędzy na te przedsięwzięcia.

Magnesem przyciągającym bezrobotnych z całego kraju była – jak pan pisze – Gdynia.

– Tam władze nie szczędziły funduszy i miasto mimo kryzysu dynamicznie się rozwijało. Dlatego poszukujący pracy wydawali ostatnie oszczędności na bilet kolejowy do „ziemi obiecanej”. Spędzali noce w kosztach plażowych, na ławkach w parkach, na kłatkach schodowych, wierząc, że poranek przyniesie szansę zatrudnienia. Najczęściej nie przynosił.

Bezrobocie w Gdyni było nie mniejsze niż w innych miastach, bo przybywało miejsc pracy, ale jeszcze szybciej przybywało chętnych. W końcu gdyńskie władze postanowiły finansować bezrobotnym bilety powrotne do domu. Wracajcie do Nowogrodka albo do Czeladzi, bo tu będziecie tylko zasilać dzielnice nędzy. Gdyńskie peryferia – podobnie jak w innych miastach – obrosły po roku 1929 slumsami.

W całym kraju wyrastały „szałasy i budy klecone z desek i darni, nędzne lepianki z gruzu, nory ryte w ziemi, na zboczach nasypów kolejowych i hałd oraz jaskinie drażone we wzgórzach”. Wspomniane przez pana slumsy w pruskich fortach w Toruniu funkcjonują do dzisiaj.

– W Sochaczewie najbiedniejsi mieszkali w okopach z czasów pierwszej wojny światowej.

Czym było kątownictwo?

– Było to mieszkanie kątem w sensie dosłownym. Człowiek, czy nawet cała rodzina podnajmowała kąt w izbie, gdzie w drugim kącie układali się do snu obcy ludzie. Dla bezrobotnych mających mieszkania podnajęcie kąta stawało się sposobem na zarobek. Dla bezrobotnych kątowników był to zaś często ostatni etap przed przytulkiem.

W latach kryzysu groźba eksmisji wisiała nad niektórymi rodzinami przez długie miesiące. Lwowski cieśla, po tym jak właściciel kamienicy zaczął grozić mu wyrzuceniem z mieszkania, zwierzał się: „Każde pukanie do drzwi przyprowadziło mnie o jakieś drżenie”.

Dziś już nie sposób ustalić, ilu było bezdomnych. Dla samej Warszawy podawano liczbę ponad 20 tysięcy. W Łodzi – wedle oceny tamtejszych władz – mogło być jeszcze więcej.

W stolicy funkcjonowało kilka noclegowni. Na Jagiellońskiej mieścił się „Gigant”, czyli dom noclegowy dla mężczyzn z inteligencji, przy ulicy Leszno funkcjonował przytułek dla kobiet, a przy Dzikiej bracia albertyni prowadzili owiany złą sławą „Cyrk”. Stołeczna prasa opisywała go jako siedlisko najgorszej nędzy i występku, nie mówiąc o ciasnocie. Pojawiały się wzmianki o ludziach, którzy z powodu tłoku musieli spać na stojąco.

Społeczeństwo zubożało tak bardzo, że z nostalgią zaczęto wspominać czasy zaborów.

– Nie tylko w Wielkopolsce, która przed Wielką Wojną żywiła Berlin i świetnie prosperowała... „Dużo słyszy się dzisiaj wzdychań do czasów carskich, byliśmy niewolnikami, lecz mieliśmy byt odpowiedni, głód cierpiał ten tylko, kto nie chciał robić” – pisał w pamiętniku rolnik z Podlasia.

W świadectwach chłopskich czuć patriotyzm, a z drugiej strony niechęć wobec biurokracji, elit i opresyjnego państwa. Broniliśmy kraju w tyłu wojnach, a kiedy potrzebujemy pomocy, znikąd nie nadchodzi. Zrozumiała gorycz: „Co nam dała Polska, jak nas poniewierają, jak się obchodzą z nami urzędnicy, jak na każdym kroku czyha na nas policja, żeby sporządzić protokół lub zapłacić złotych”. Na koszmarne zbiedniałe wsi nie pojawiał się pracownik opieki społecznej, a tylko policjant i sekwestrator, który ścigał zaległe podatki.

Szacunkowo pracę utracił nawet milion osób.

Do tego po wsiach było kilka milionów „ludzi zbędnych”, których nie obejmowały statystyki. W urzędach pracy na jedno wolne miejsce przypadało do 360 chętnych

W efekcie wybuchały bunt: wieś przeciw urzędnikom

– Bilans niepokojów, do jakich doszło w czerwcu 1933 roku na Rzeszowszczyźnie, wynosi co najmniej kilkunastu zabitych, wielu rannych oraz kilkuset aresztowanych. Były to najkrwawsze zamieszki, jakie wstrząsnęły Polską w latach kryzysu. Niektórzy historycy nazywają je „bitwami z policją”. Dochodziło do nich w okolicach Łańcuta, Ropczyc i dalej w stronę Lwowa.

Podkarpacie miało silny ruch ludowy opozycyjny wobec rządzącej sanacji. Raz iskrą powodującą zamieszki była wizyta komornika czy sekwestratora, innym razem – w Lesku – ogłoszone przez miejscowego arystokratę „święto pracy” polegające na naprawie dróg. Rozeszła się w związku z tym plotka o powrocie pańszczyzny i chłopci zaatakowali posterunek policji. Władze przysłały więcej policjantów, zbuntowani stawiali barykady, zaczęły się regularne starcia...

Kryzys wzmagal nastroje antysemickie.

– Szukano kozłów ofiarnych, uprzedzenia się aktywowały. Spadały ceny artykułów rolnych, a ponieważ ich nabywcami byli często żydowscy kupcy-pośrednicy, chłopci podejrzewali, że to oni celowo obniżają ceny. Antysemityzm miał też swych agentów. Obóz prawicy nacjona-

listycznej wytrwale sączył propagandę, która odpowiedzialnością za kryzys obarczała Żydów. Rozrzucano ulotki z informacją, że paskudna sanacja sprzyja starozakonnym, zamiast dbać o Polaków.

Jeszcze przed przewrotem majowym uchwalono ustawę o ubezpieczeniu od bezrobocia...

– Przymusowe składki płacili pracownicy dużych i średnich przedsiębiorstw. To była jednak mniejszość zatrudnionych. Uprawnienia do pobierania zasiłku w wysokości jednej trzeciej wcześniejszej pensji uzyskiwało się po przepracowaniu 20, a potem 26 tygodni w roku poprzedzającym zwolnienie. Wsparcie przysługiwało przez 13 tygodni, w wyjątkowych przypadkach urząd mógł się zgodzić na przedłużenie okresu o kolejne cztery. W realiach ówczesnej Europy to było nowoczesne rozwiązanie, tyle że dobre na czasowe wahania koniunktury. Gdy bezrobocie było masowe i trwałe, odsetek biorących zasiłek wciąż malał. Trudno było znaleźć i utrzymać pracę przez wymagane 26 tygodni. W ostatnich latach kryzysu bezrobotnych pobierających zasiłki było mniej niż 10 procent.

Po ustaniu zasiłku pozostawało tylko liczyć na pomoc rodaków. Powoływano szlachetne komitety, robiono zbiórki, rozdawano węgiel.

– Zasiłek był ustawowy, natomiast pomoc doraźna była chimeryczna. Zasady jej przyznawania zmieniały się z roku na rok, były też różne w różnych województwach. Przyznawano jednorazowe zapomogi pieniężne rodzinom wielodzietnym. Wydawano żywność, chociaż posiłki w kuchniach dla bezrobotnych były gorzej niż wiejskie.

„W dobrym domu nawet świnie jedzą lepiej niż my te nasze obiady w Kuchni Obywatelskiej”.

– Pomoc doraźna tylko częściowo była finansowana ze środków publicznych. Przeważały wspomniane zbiórki. W niektórych miastach pieniądze zbierano, opodatkowując ekstra bilety tramwajowe, nocne zabawy w lokalach czy sprzedaż żarówek. W Wełnowcu na Górnym Śląsku opodatkowano nawet węgiel z biedaszybów.

Co sprawiło, że koniunktura w końcu powróciła?

– Po pierwsze, wzrost cen artykułów rolnych na rynkach światowych. Po drugie, kumulujące się skutki działań polskiego rządu: roboty publiczne, łatwiejszy kredyt, ulgi podatkowe dla budownictwa, inwestycje zbrojeniowe... Później ambitna polityka Eugeniusza Kwiatkowskiego. Od 1933 roku rozpędał się wreszcie gospodarka europejska, szczególnie niemiecka, co z czasem pociągnie i Polskę.

Na czym polegała ta ambitna polityka?

– Kwiatkowski jako minister skarbu od roku 1935 uznał dotychczasowe metody – równoważenie budżetu i bronienie złotego – za niewystarczające. W związku z zagrożeniem militarnym ze strony Sowietów i Niemiec postawił na dwa filary: uprzemysłowienie plus militaryzacja. Zaczęła się budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego w bezpiecznych – jak się zdawało – widłach Wisły i Sanu. Miała tam powstawać broń, ale projekt miał też wymiar aspiracyjny. COP miał zagospodarować „ludzi zbędnych”, ten ciężar na wsi od pokoleń. Miał także pokazać, że władza ma jakiś pomysł. To się poniekąd udało. Tuż przed wojną wskaźniki gospodarcze imponująco szły w górę, choć poziom życia – szczególnie na wsi – nie zdążył osiągnąć stanu sprzed kryzysu. ●

HIPNO

Są teksty, które Ksawerego Pruszyńskiego obciążają, mógł ich nie napisać. Ale to niewątpliwie jeden z najwybitniejszych polskich eseistów i reportażyistów.

Maciej Janowski

Zdziwiłem się ogromnie, gdy przeczytałem niedawno, że „Ksawery Pruszyński [...] jest dziś pisarzem zapomnianym” (w artykule Małgorzaty Gaszyńskiej-Magiery „Drugie życie Ksawerego Pruszyńskiego”, w czasopiśmie „Politeia” nr 3 z 2023 roku). A może? W czerwcu 2025 roku minęło 75 lat od jego tragicznej śmierci, ale rocznica nie odbiła się chyba żadnym echem. W każdym razie, na wypadek gdyby naprawdę był zapomniany – trochę faktów.

Urodzony w 1907 roku w rodzinie ziemiańskiej na Wołyniu, studiował w Krakowie i uważał się wówczas za ucznia konserwatystów krakowskich, głównie Michała Bobrzyńskiego. W latach trzydziestych związał się z Jerzym Giedroyciem i czasopismami „Bunt Młodych” i „Polityka”. Współpracował też z „Wiadomościami Literackimi”, rozgłos zdobył tomami reportaży z Palestyny i wojny domowej w Hiszpanii. Podczas drugiej wojny światowej przebywał na Zachodzie, we Francji i w Wielkiej Brytanii; walczył pod Narwikiem w 1940 i pod Falaise w 1944 roku (dwukrotny Krzyż Walecznych).

Nie tylko walczył, jeszcze działał i pisał; był w Rosji wraz z ambasadorem Stanisławem Kotem, kiedy zawarty został w 1941 roku układ między Związkiem Radzieckim a rządem RP na emigracji (tak zwany układ Sikorski-Majski). W 1944 roku poparł kompromisową politykę premiera Stanisława Mikołajczyka i zaraz po wojnie wrócił do Polski, gdzie nie odegrał jednak żadnej roli politycznej. Wysłany na marginalną placówkę dyplomatyczną jako poseł w Hadze, zginął w wypadku w 1950 roku, w wieku 43 lat. Samochód, którym wracał z Hagi do Polski, dostał się na niemieckiej szosie pod jadącą z naprzeciwka ciężarówkę. Chodziły plotki o morderstwie, chyba bezpodstawne.

ANTOLOGIA Z FRAGMENTÓW

Po wojnie wydał jeszcze dwa tomy opowiadań wojennych: „Trzyście opowieści” i „Karabela z Meschedu”. Przeczytałem je jeszcze w szkole podstawowej – jedno z największych w życiu olśnień literackich. Potem czytałem Pruszyńskiego, ile się dało – przedwojenne wydania reportaży, eseje i publicystykę. Potem była długa przerwa, aż niedawno zacząłem od czasu do czasu znowu zaglądać do jego książek. I wtedy, jakieś dwa lata temu wpadła mi w ręce antologia jego tekstów pt. „Narrator rze-

► **Ksawery Pruszyński (1907-1950), dziennikarz i dyplomata, zdjęcie z lat 40.**
FOT. NAC

TYZUJĄCY RYTM HISTORII



czywistości. Autoportret odczytany” w opracowaniu Karola Płatka (Karta, 2023). Nie ma w tej książce ani jednego pełnego tekstu – są fragmenty tak ułożone, aby tworzyły jakby autobiografię autora. Ten pomysł jest nietypowy i nie jestem pewien, czy młynie w pełni przekonał. W sumie jednak – dlaczego nie? Ostatecznie każda jednotomowa edycja czyjejś twórczości musi być selektywna; dlaczego więc selekcja obejmująca tylko pełne teksty miałaby być lepsza niż selekcja złożona z fragmentów? Każdy tekst ma tytuł nadany przez wydawcę i aby się dowiedzieć, jak brzmiał tytuł autorski, trzeba zaglądać na koniec do bibliografii. To trochę niewygodne, ale ostatecznie do przeżycia.

Co uderza w tych tekstach? Świetny styl połączony z niezwykłą łatwością pisania; oryginalność sądów tak śmiała, że nasuwa pytanie: Oryginalność czy tylko powierzchowność?

Czasem, kiedy z kilku osobistych obserwacji Pruszyński buduje błyskotliwe uogólnienie, budzą się wątpliwości... ale był przecież dziennikarzem, nie naukowcem. Oczywiście w tych tysiącach stron, które napisał, są teksty powierzchowne, sądy nie tylko kontrowersyjne, ale całkiem błędne, kiczowate zabiegi stylistyczne; ale tego jest mniejszość. Zwykle nawet tam, gdzie błądzi, przedstawia swoje racje tak ciekawie, tak perswazyjnie, że jeśli nie przekonuje, to zawsze zmusza do refleksji.

KRAJ WIELU MÓW I WIELU WIAR

Ale najbardziej uderzające jest jego mocne przekonanie, emocjonalne raczej niż rozumowe, że Rzeczpospolita jest z istoty swojej wielonarodowościowa – że różnorodność etniczna jest samą esencją Polski. Jest w omawianym tomie reportaż z Gdańska, opublikowany miesiąc przed wybuchem drugiej wojny światowej. Pruszyński widzi, jak hitleryzm bezlitośnie niszczy wszystkie tradycje nadbałtyckiego miasta. Pisze nie o Gdańsku, ale o sobie: „A jednak człowiek, który jest pogrobowcem psychicznym dawnej Rzeczypospolitej mnogoziemnej i mnogo-ludnej, Rzeczypospolitej wielu mów i więcej jeszcze wiar, nie będzie mógł patrzeć na ten koniec Gdańska inaczej niż z sercem najgłębiej i najsmutniej ściśniętym”.

I zaraz następuje, wspaniale w swej nieoczywistości i w swej niemal barokowej retoryce, porównanie Gdańska i Kijowa – dwóch

***Pruszyński znał i rozumiał
polski wiek XIX lepiej niż wielu
zawodowych historyków i może
właśnie dlatego błędnie oceniał
Rosję Stalina. Przenosił
realia liberalnej epoki
na XX-wieczny totalitaryzm***

kresowych miast Rzeczypospolitej: „Trzeba znać to, czego młode pokolenie już nie zna i znać nie będzie: rozpustne złoto kopuł cerkiewnych Ławry Peczerskiej, biel klasycystycznej dzwonnicy i rokoko włoskiej cerkwi zawieszanej na dniostrowej skarpie, żeby sobie uświadomić, że skrzydła Orła Białego zmiatały szron północnych mórz i nawiewały ciepło z czarnomorskich limanów. [...] Po ulicach tego miasta [...], które należało do wielkiej konfraterni hanzeatyckich, germańskich miast handlowych, chodzili ludzie bliżsi mową Holbeinom i Rembrandtom [...]”. Po ulicach tamtego miasta, schodzącego jarem na dniostrów padół, po ulicach, które przypominały raczej suk arabski i majdan Siczy kozackiej, chodzili [...] niedalecy wnukowie koczowników z jurt mongolskich [...]. Dziś dziwimy się, że tak być mogło. Może kiedyś zrozumiemy jeszcze, że aby utrzymać wolność tych ziem, nie mogło być inaczej. [...] To tak, jakby w skarbcyku klejnotów słowiańskiej królowny Wandy spoczywał nabrzmiały perłami wschodu naszyjnik Szecherezady i rzeźbiony kunsztownie pierścień Loreley. I to tak, jakby na raz znikły z tego skarba i naszyjnik i pierścień. I późniejszym dziedzicom tego skarba były i ten i tamten obce”.

MODLITWA ZA RZECZPOSPOLITĄ

I tekst o kilka lat późniejszy, z końca drugiej wojny światowej: opowiadanie „Ksiądz Ulas”, jakby ostateczne rekwiem dla dawnej Rzeczypospolitej. Oto późne lata trzydzieste: prawosławny ksiądz, Ukrainiec, nie chce odmawiać po polsku narzuconej przez władze sanacyjne

„Modlitwy za Rzeczpospolitą”. Odmawia ją po ukraińsku, jest za to prześladowany, prześladowo usunięty z parafii, potem na nią wraca.

Aż nadchodzi pamiętna niedziela 17 września 1939 roku. Polka, której udało się uciec przed bolszewikami, opowiada narratorowi w Londynie o wydarzeniach tego dnia: „Od lasu nadjechali tamci. [...] szły wojska sowieckie z tymi ich długimi sztykami. Pulk za pulkiem, za pulkiem pulk. [...] Cała wieś się zbiegła. Na drzewie nad drogą zawiesili głośnie i te głośnieki nadawały [...] przemówienia, pieśni, marsze: »Moskwa maja, strana maja, nikiem nie pobiedimaja«. [...] Tylko ten ksiądz nic. [...] Na dwunastą kazał bić w dzwony jak zawsze”. I zaraz po mszy „zaintonował: »Mołytwa za Ryczupospolytu«. [...] Naraz wszyscy sobie uświadamili. Rzeczpospolita! Była tu jeszcze wczoraj. [...] Teraz jej nie ma. Pan wie, lud ruski jest zabobonny. Więc to było tak, jakby ten ksiądz wywoływał teraz widmo, kazał jakimś dziadom w grobach leżącym powstać i zjawienia się ich oczekiwać. Zupełnie tak”. I oto chłopci, porwani atmosferą chwili, padają na kolana, by modlić się za tę Rzeczpospolitą, której już nie ma: czytelnik wie, że Pruszyńskiemu nie chodzi o realną sanacyjną Rzeczpospolitą prześladowaną Ukraińców, ale tę idealną, matkę wszystkich ludów od Gdańska po Kijów.

SYMPATYK SYJONIZMU

Młodzi konserwatyści skupieni wokół redagowanych przez Jerzego Giedroycia czasopism „Bunt Młodych” i „Polityka” uważali się za imperialistów; ale ten imperializm był radykalnie przeciwny endeckiej idei państwa mnoetnicznego. U Pruszyńskiego w ostatnich latach przedwojennych powoli ewoluował: przemieniał się w apologię społeczności tolerancyjnej, wielojęzycznej i wielokulturowej.

W pewnym sensie podobną ewolucję przeszedł Jerzy Giedroyc, od mocarstwowego imperializmu do przekonania, że suwerenna Ukraina, Białoruś i Rosja są wymogiem polskiej racji stanu. W obu wypadkach zmiana poglądów nie jest tak radykalna, na jaką wygląda: łącznikiem dawnej i nowej postawy jest sprzeciw wobec endeckiego nacjonalizmu.

W kwestii żydowskiej Pruszyński jest sympatykiem syjonizmu i emigracji części Żydów z Polski, nie wierzy w masową asymilację – ale nie robi tego z motywów nacjonalistycznych, raczej z poczucia paralelizmu żydowskich i polskich dążeń narodowych. Widzi u syjonistów w Palestynie ten sam entuzjazm i patos co u polskich zwolenników pracy organicznej – i życzy im sukcesu, tak samo jak życzy sukcesu Polsce. Relacja z pogromu w Przemyśle i reportaż z Palestyny („Palestyna po raz trzeci”), we fragmentach przedrukowanych w omawianym tomie, należą do jego najlepszych tekstów.

Do najlepszych i najgłośniejszych tekstów Pruszyńskiego należy również obszerna książka – reportaż z hiszpańskiej wojny domowej „W czerwonej Hiszpanii” (obszerne fragmenty zawarte są w omawianym tomie). Wymagała by osobnej prezentacji; jest napisana z wyraźnym dążeniem do obiektywizmu, ze zrozumieniem racji republikanów – to wystarczyło, by ówczesna polska prawica atakowała ją jako komunistyczną. W Polsce Ludowej za to nie została opublikowana ani razu jako zbyt krytyczna wobec republiki...

„O GŁOWĘ MURZYŃSKIEGO KRÓLA”...

Owa fascynacja dawną wielonarodowościową Rzeczpospolitą jest u Pruszyńskiego częścią

szerszego zjawiska. On miał niesamowite wy-czucie historii, zdumiewające u młodego człowieka, bo zwykle przychodzące (jeśli w ogóle) z wiekiem. Może ziemiańskie pochodzenie, o którym z lekko ironiczną czułością pisał we wspomnieniowym teksie otwierającym omawiany tom, dało mu perspektywę dziejową głębszą niż tylko mierzona własnym życiem.

W symbolicznym opowiadaniu „O głowę murzyńskiego króla” polski żołnierz opowiada narratorowi, jak służąc w armii polskiej we Francji pod koniec pierwszej wojny światowej, widział na pewnej stacji transport wojsk kolonialnych. Wdał się w rozmowę z senegalskimi żołnierzami. Tłumaczyli mu, że walczą o swoją świętość narodową: o zasuszoną głowę swojego króla, którą kiedyś ukradła „jakaś niemiecka ekspedycja karna [...] i umieściła w muzeum berlińskim. Powiedziano im, że jeśli Murzyni pójdą się bić do Europy, to dobrzy alianci, doszedłszy do Berlina, odbiorą zasuszoną głowę [...] – a alianci są dżentelmenami i dotrzymują słowa”.

Mijają 22 lata, jest rok 1940 – kolejna wojna europejska, ta sama prowincjonalna francuska stacja, ten sam polski żołnierz, i znowu transport wojskowy wyladowany Senegalczykami. „Chciałem ich zapytać, co ich pcha znowu do Europy; [...] A może, pomyślałem, Niemcy nie wypełnili [...] postanowienia traktatu wersalskiego”, nie oddali relikwii, „i Murzyni walczą po raz wtóry o zasuszoną głowę swego bohatera?”. Oczywiście jest paralela z losem Polaków, którzy także ufając obietnicom Aliantów, walczyli – o co? Czy nie o coś podobnie fantomowego, co ci biedni, oszukani Senegalczycy?

CO NAS OBCHODZĄ JAKIEŚ GRUZJE...

I jeszcze jedno ważne opowiadanie – „Cień Gruzji”. Polski dziennikarz w wyzwolonym Paryżu w 1944 roku zachodzi do hoteliku, w którym mieszkał przed wojną; nic się nie zmieniło; konsjerżka daje mu list, którego nie zdążył przed wybuchem wojny odebrać, jakby poselstwo z minionej epoki. List z redakcji czasopisma, w którym pracował. Zrobił bowiem w Paryżu wywiad z premierem emigracyjnego rządu gruzińskiego, który opowiedział mu o swym życiu. O tym, jak uczył się francuskiego w Tyflisie przed pierwszą wojną światową; jak żył w przekonaniu, że wolnościowe i demokratyczne ideały Zachodu są perspektywą wolności również i dla Gruzji. „Ten Zachód, gdzie o jednego niewinnie skazanego oficera cała opinia stawiała do walki, wydawał nam się – nie, pan nie zrozumie, czym dla mojej generacji był Zachód”. I o tym, jak się przekonał, że tak nie jest. Jak stracił wiarę w Zachód.

Ów list zaś, który dotarł w ręce bohatera opowieści dopiero w 1944 roku, to odpowiedź od redaktora naczelnego, że wywiad nie nadaje się do druku. „Co nas [...] mogą obchodzić jakieś niepodległe Gruzje i ten ich premier, który w Paryżu rekonstruuje swój gabinet, kłóci się ze swymi socjaldemokratami?”. Bohater opowiadania teraz, w 1944 roku, już rozumie, a czytelnicy w Polsce po zakończeniu wojny rozumieją jeszcze lepiej, że redaktor nie miał racji; że historia Gruzji zdradzanej przez Zachód i oddanej na łup bolszewikom jest w istocie historią Polski.

PÓJDŹMY DROGĄ WIELOPOLSKIEGO

Pruszyński bał się zostać wiecznym emigrantem, jak ów Gruzin. Stopniowo budziła się w nim myśl o konieczności kompromisu z Rosją. Kamieniami milowymi są tekst „Wobec Rosji” (1942) i esej

☉ „Margrabia Wielopolski” (1944), z punktu widzenia formy może najświetniejszy tekst Pruszyńskiego: zwarty, dobitny, jednoznaczny; wprawdzie jednostronny, niesprawiedliwy, przeceniający możliwość sukcesu polityki ugodowej i pomijający milczeniem błędy Margrabiego, ale w sumie fascynujący. Ukazuje próbę Wielopolskiego dojścia do porozumienia z Rosją w przededniu powstania styczniowego; próbę udaremnioną zdaniem Pruszyńskiego przez patriotyczną, ale bardzo niemądrą, polską opinię publiczną.

Nie pisał w celu popularyzacji historii, lecz dla przekonania czytelników, że w tej chwili – w 1944 roku – jedyną sensowną możliwością jest opcja Wielopolskiego, czyli polityka premiera Stanisława Mikołajczyka. Ale Wielopolski z tej książki to nie zakamuflowany Mikołajczyk. Pruszyński w Wielkiej Brytanii mógł pisać otwarcie o współczesnej polityce, i jeśli napisał o XIX wieku, to dlatego, że chciał pokazać powtarzalność. Oto po raz kolejny Polacy stają wobec potężnego sąsiada z takim samym dylematem: bardzo niezadowolający kompromis, który pozwoli zachować jakąś samorządność czy beznadziejny opór skutkujący wyłącznie represjami.

Pruszyński znał i rozumiał polski wiek XIX lepiej niż wielu zawodowych historyków i może właśnie dlatego błędnie ocenił Rosję Stalina. Przenosił realia liberalnej epoki na XX-wieczny totalitaryzm. Wielopolski miał przeciw sobie państwo despotyczne, zdolne do okrucieństwa, ale jednak zakorzenione w XIX-wiecznym świecie dyplomacji, polityki i przyjętych zasad. Łamało te zasady, ale ich istnienia nie kwestionowało. Wielopolski był konserwatywnym szlachcicem (choć na przykład w kwestii równouprawnienia Żydów zaskakująco liberalnym), więc lojalność wobec monarchii, nawet monarchii rosyjskiej, nie była dlań kompromisem moralnym. Carat wymagał oczywiście lojalności politycznej, ale w odróżnieniu od stalinowskiego komunizmu nie zmuszał do uznania żadnej jedynie słusznej ideologii. Pruszyński chciał takiej właśnie pragmatycznej współpracy wynikającej tylko z geopolityki: my rezygnujemy z pełnej niepodległości, a Rosjanie za to pozostawiają nam swobodę wewnątrz kraju. Niestety, co było do pomyślenia za cara Aleksandra II, było absolutnie niemożliwe za Stalina.

CZY NALEŻY PAKTOWAĆ Z DIABŁEM?

Inaczej niż autor posłowania prof. Rafał Habielski nie uważam, aby taka pragmatyczna próba porozumienia z Rosją kompromitowała Pruszyńskiego. Myślę, że gra Mikołajczyka, choć niemal na pewno skazana na klęskę, w sumie była sensowną próbą ocalenia choćby części niepodległości. Mikołajczyk ani Pruszyński nie byli realistami (choć wydawało im się, że byli). Ale ich emigracyjni przeciwnicy, którzy nie chcieli żadnych ustępstw wobec Rosji, byli nierealistyczni dokładnie w tym samym stopniu. Tragizm polegał na tym, że nie było wyjścia, bo Stalin nie chciał kompromisu, tylko bezwarunkowej kapitulacji. Ale mimo to bardzo dobrze się stało, że Mikołajczyk podjął ryzyko i przyjechał do Polski; choćby dlatego, że zanim został zmuszony do ucieczki, był dla Polaków w kraju symbolem nadziei – nadziei, która zawiodła, ale przez ponad dwa lata pozwalała ludziom trwać.

Są sytuacje historyczne, w których trzeba negocjować nawet ze zbrodniarzami. Ale kto chce jeść z diabłem z jed-

nego talerza, musi mieć długą łyżkę. Inaczej diabeł zje wszystko, a współbiednik pozostanie nie tylko głodny, ale także ze zszarganą reputacją. I oto Pruszyński, być może z początku nieświadomie, zaczyna po powrocie do Polski wpisywać się w obowiązującą linię propagandową (cytowanych poniżej tekstów nie ma w omawianym tomie). W 1948 roku pisze o wystawie poświęconej trzecieciu polskich „Ziem odzyskanych”: „Nie byłoby tych traktorów polskich, tych obrabiarek, [...] bez Manifestu Lipcowego PKWN, który proklamował hasła wielkich reform, ani bez Rządu Polski Ludowej, który te hasła wcielił w czyn”.

I jeszcze gorzej: po śmierci generała Karola Świerczewskiego (pseud. Walter) pisze „Rapsod o generale Walterze” (co za tytuł!). Przypomina jego udział w rewolucji hiszpańskiej: „w nim także sprawdziło się stare powiedzenie [...], że tam, gdzie jest walka o wolność, tam jest interes Polski”. Pisze tak o człowieku, który zginął, tłumiąc ukraińską partyzantkę! Naprawdę, jak mógł coś takiego napisać – on, patriota „Rzeczypospolitej mnogoziemnej i mnogoludnej”, autor „Księdza Ułasa”, wielbiciel proukraińskiej polityki Bobrzyńskiego i Piłsudskiego!

Może Pruszyński (przypominam: autor „W czerwonej Hiszpanii”) żywił do Świerczewskiego sympatię z czasu hiszpańskiej wojny domowej, ale to nie jest usprawiedliwienie. Dlaczego tak się zachowywał, nie wiem – to pytanie do jego biografów. Przecież pragmatyczny kompromis nie powinien oznaczać poparcia dla władz komunistycznych. Dlaczego oddalił się od legalnej opozycji: Mikołajczyka i PSL? Był ostro skonfliktowany z pravicowymi emigrantami, ale czy musiał ich atakować już w kraju, kiedy ze względu na cenzurę nie mogli odpowiedzieć? Atak na Andersa w artykule „Irański odmarsz” z końca 1945 roku za to, że wyprowadził polskie wojsko z ZSRR (we Włoszech ich ofiara była dla Polski niepotrzebna, i „byłoby może lepiej, gdyby ginęli pod Lenino”), wydaje się szczególnie niesmaczny, mówiąc bardzo delikatnie. Nie musiał tego robić, mógł milczeć.

NIE MUSIAŁ TEGO PISAĆ

Trzeba jednak być sprawiedliwym: Pruszyński był o wiele bardziej wstrzemięźliwy niż wielu jego kolegów twórców. Nie uprawiał partyjnej propagandy. Spod jego pióra nie spłynęło ani „Słowo o Stalinie”, ani „Partia i twórczość pisarza”, ani „Poemat dla zdrajcy”. Napisał kilka tekstów, których lepiej by było, gdyby nie napisał – tyle. To jest do wybaczenia. W ostatnich latach życia stworzył za to śliczną, daleką od jakichkolwiek wtrętów ideologicznych, jakby eskapistyczną „Opowieść o Mickiewiczu”.

Wygląda na to, że chciał przeczekać na uboczu stalinizację. Gdyby żył dłużej – nie, przerwijmy, nie wiemy, co by było, gdyby żył dłużej.

Pozostaną po nim nie te nieszczęsne propagandowe artykuły; pozostaną głęboko wzruszające opowiadania, pięknie napisane i składające do długich przemyśleń (szkoda, że fragmentów opowiadań niemal nie ma w omawianym tomie, bo Pruszyński bez nich jest okaleczony); pozostaną doskonale reportaże i książka o Wielopolskim, jeden z najlepszych polskich esejów historycznych. Pozostanie nie tylko myśl, nie tylko styl, ale ów bijący z jego tekstów hipnotyzujący rytm historii, którego nawet nie potrafię opisać słowami. Albo ktoś ten rytm odczuje, czytając i wtedy Pruszyński jest autorem dla niego (czy dla niej) – albo nie. Każdy może sprawdzić na sobie. ●

MIESZKO I.

Bez sprzedaży niewolników do krajów muzułmańskich państwo wczesnopiastowskie prawdopodobnie w ogóle by nie powstało.

Przemysław Urbańczyk

Bez sprzedaży niewolników do krajów muzułmańskich państwo wczesnopiastowskie prawdopodobnie w ogóle by nie powstało.

W czasie wielkich inwestycji grodowych, które rozpoczęły się w drugiej ćwierci X wieku, do centralnej Wielkopolski napływały luksusowe przedmioty i srebrne arabskie monety – dirhamy. Te „importy” dowodzą, że budowniczowie państwa wczesnopiastowskiego nie tylko nawiązywali kontakty ze światem zewnętrznym i dysponowali znacznymi dochodami. A przecież do kosztów budowy tych grodów trzeba również dodać wydatki na utrzymanie centralnego ośrodka władzy książęcej. Ówczesne elity sprowadzały dużo przedmiotów zbytku potrzebnych im do manifestowania wysokiego statusu oraz na ekskluzywną żywność zapewniającą wystawną konsumpcję. Skąd brali na to pieniądze? To jedna z intrygujących zagadek początków piastowskiej państwowości.

Do mniej więcej 930 roku w Wielkopolsce nie zdeponowano ani jednego „skarbu” z monetami arabskimi, które w tym czasie docierały już ze wschodu na Podlasie. W czwartym dziesięcioleciu X wieku monety te zaczęły napływać już nad środkową Wartę i Prosnę oraz w dorzecze Obry. W piątej i szóstej dekadzie skupiają się w ziemi gnieźnieńskiej, ale napływają już nie ze wschodu, lecz znad Bałtyku. Dowodzi to kontaktów z nadmorskimi siedzibami Skandynawów usadowionych: nad dolną Odrą – na Wolinie, nad Prosną – pod Kołobrzegiem oraz nad dolną Wisłą – w osadzie Truso, czyli w dzisiejszym Janowie Pomorskim.

W pierwszej połowie X wieku do ziemi gnieźnieńskiej zaczynają napływać elementy elitarnej kultury z południa. W drugiej połowie tego stulecia pojawiają się tam coraz liczniej monety wybite na terenie cesarstwa niemiecko-italskiego, jak też czeskie, węgierskie, skandynawskie, angielskie, irlandzkie oraz bizantyńskie. Część z tych monet mogła pochodzić z rabunków i trybutów wymuszanych w trakcie piastowskich najazdów na sąsiadów, ale większość jest świadectwem rozwoju wielostronnych kontaktów handlowych.

INTRYGUJĄCE „IMPORTY”

W odróżnieniu od innych znajdujących przez archeologów przedmiotów wyprodukowanych poza obszarem państwa wczesnopiastowskiego, monety oferują nieporównywalną dokładność chronologiczną i geograficzną. W przypadku wielu z nich można bowiem ustalić nawet rok i miejsce produkcji. Pozwala to sporządzić mapę kontaktów zewnętrznych, które obejmowały znaczną część Europy i sięgały znacznie dalej – na rynki śródziemnomorskie, a nawet środkowo-azjatyckie.

Co tak bardzo interesowało zagranicznych kupców, że zostawiali tu duże ilości srebra monetarnego oraz dostarczali srebrną biżuterię, kosztowną broń i oprzyrządowanie jeździeckie, ozdobne grzebienie z poroża, oselki z norweskiego łupku oraz paciorki ze szkła, bursztynu, karneolu i kryształu górskiego? Te egzotyczne, luksusowe towary wykorzystywane do demonstrowania wysokiego statusu spełniały też ważną rolę w utrzymywaniu porządku społeczno-politycznego w systemie wzajemnego obdarowywania się przez członków elit.

Te wszystkie „importy” napływały oczywiście jako zapłata za wywożone stamtąd lokalne towary. Jako że na ziemiach polskich brakowało surowców, które można byłoby korzystnie sprzedać na rynkach zewnętrznych, badacze szukali innych towarów, które można było „eksportować”. W starszej literaturze wskazywano sól oraz produkty gospodarki leśnej, takie jak futra, wosk czy miód, mówi się też o bursztynie, który w X wieku ponownie pojawił się w Czechach.

To były niewątpliwie atrakcyjne towary, ale ich wywóz na pewno nie dostarczył dużych ilości srebra monetarnego ani nie pokryłby kosztów eksportu importu. Z czasem popularność zaczęła więc zyskiwać wizja znaczącego finansowania budowy państwa przez zyskowny „eksport” niewolników. Żaden produkt nie oferował bowiem porównywalnej wartości rynkowej.

SŁOWIANIE W AFRYCE

Temat jest delikatny politycznie, gdyż wpisuje się w uproszczoną wizję Europy Środkowo-Wschodniej jako obszaru eksploatowanego przez bardziej cywilizowane części kontynentu. Wizja wczesnych Piastów jako bezwzględnych handlarzy ludźmi też nie wygląda najlepiej w zderzeniu z naszym wyidealizowanym wyobrażeniem Polski, która zawsze miała być oazą wolności, i Polaków jako ludzi nieskazitelnie szlachetnych.

Rzeczywistość sprzed ponad tysiąca lat odbiegała jednak od naszych sielankowych wyobrażeń. Porywanie ludzi w celu wyśiedlenia ich na swoje tereny albo ich sprzedaży to standardowy cel ówczesnych wypraw na słabszych sąsiadów. Tak wyglądała wczesnośredniowieczna rzeczywistość, a jej ocenianie z dzisiejszego punktu widzenia nie ma większego sensu. W tamtym świecie handel ludźmi nie był niczym wstydliwym, a wręcz przeciwnie, parały się nim powszechnie europejskie elity. To źródło dochodów niczym nie różniło Piastów od innych władców z Europy Środkowo-Wschodniej, a nawet i ludzi Kościoła, którzy chętnie uczestniczyli w tym intratnym przedsięwzięciu.

Stały i wysoki popyt na niewolną siłę roboczą generowały szczególnie ogromne rynki krajów muzułmańskich – od

HANDLARZ LUDŹMI



• **Słowiańscy i afrykańscy niewolnicy na targu w Kordobie. Miniatura pochodzi z XIII-wiecznego zbioru pieśni „Cantigas de Santa Maria” wydanego w Kastylji za panowania Alfonsa X (1221-1284)** FOT. DOMENA PUBLICZNA

kalifatu andaluzyjskiego w Hiszpanii, przez północną Afrykę i Bliski Wschód aż do Azji Środkowej. Liczne źródła arabskie potwierdzają stałą obecność wielu niewolników słowiańskich (*Saqqaliba*) w różnych częściach świata muzułmańskiego, w którym cieszyli się dużym popytem.

Nie można liczbowo oszacować handlu niewolnikami, gdyż nie ma śladów materialnych – poza nielicznymi znaleziskami kajdan. Pewne wyobrażenie dają szacunki wykonane choćby dla szlaków transsaharyjskich, którymi w IX wieku transportowano rocznie mniej więcej trzy tysiące niewolników, a w następnym stuleciu już ponad osiem tysięcy. Jeszcze trudniej oszacować udział w tej masie niewolników słowiańskich, ale źródła arabskie dowodzą, że byli bardzo cenieni i licznie obecni we wszystkich najważniejszych ośrodkach świata muzułmańskiego. Aż do początku XI wieku istniały tam skupiska słowiańskie i trwała słowiańska „kultura na wygnaniu”. Część z tych ludzi musiała pochodzić z ziem polskich, gdyż inaczej nie sposób wytłumaczyć napływu tam dużych ilości monet arabskich.

WIELKI SZLAK POD KONTROLĄ PRAGI

Uważa się, że podstawą sukcesu Wielkiej Morawy, czyli pierwszego państwa Słowian Zachodnich zorganizowanego w IX wieku, był właśnie „eksport” niewolników porywanych w trakcie wypraw na słabszych sąsiadów. Spowodowało to uruchomienie stałego szlaku handlowego, który połączył naddunajskie ośrodki w Carnuntum i w Bratysławie z Wenecją, skąd niewolników wysyłano na śródziemnomorskie rynki świata muzułmańskiego. Część z nich transportowano też Dunajem

Prof. Przemysław Urbańczyk

• mediewista, archeolog, pracuje na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz w Instytucie Archeologii i Etnologii PAN. Kwestia handlu ludźmi w okresie budowy państwa wczesnopiastowskiego będzie jednym z tematów przygotowywanego drugiego tomu monografii „Korzenie Polski”.

nad Morze Czarne, skąd docierali do Bizancjum i na muzułmański wschód.

Oba te szlaki zostały gwałtownie zakłócone po upadku Wielkiej Morawy zaatakowanej w roku 905 przez Madziarów/Węgrów. Zmusiło to kupców arabskich do szukania nowej drogi sprowadzania niewolników środkowoeuropejskich. Uruchomili więc długi lądowy szlak transkontynentalny wiodący z hiszpańskiej Andaluzji przez Bawarię do Czech i dalej przez Kraków, Przemysł i Kijów nad Morze Czarne lub Kaspijskie.

Skorzystali z tego czescy Przemysłidzi, którzy przejęli ten zyskowny proceder, kontrolując kluczową środkową część szlaku z Pragą jako jednym z najważniejszych centrów handlu ludźmi w Europie. Szacuje się, że tylko w czasie rządów Bolesława I Ukrutnego (935-972) sprzedano tam 30-35 tysięcy niewolników. Odpowiadałoby to mniej więcej 10 tonom srebra, stanowiąc znaczący wkład we wzmacnianie państwa czeskiego.

Nie bez powodu więc żydowski kupiec – i pewnie szpieg kalifa Al-Hakama II – Ibrahim ibn Yaqub pojechał w 965 roku z Andaluzji do Magdeburga i do Pragi, które były najważniejszymi targami niewolników słowiańskich. To w czeskiej stolicy zebrał pierwsze informacje

o dobrze tam widać znanym „królu północy” Mieszkowi I – władcy silnym i bogatym.

Państwo Przemysłidów było zbyt małe, aby być samodzielnym źródłem ludzi na sprzedaż. Poza tym sprzedawanie własnych poddanych byłoby w dłuższej perspektywie samobójcze gospodarczo. Monarcha bez licznych poddanych byłby tylko namiastką władcy, choćby nosił tytuł króla i rządził wielkim państwem. Wiedzieli o tym średniowieczni monarchowie, którzy wykorzystywali zwycięskie wojny do zdobycia nie tylko doraźnych łupów, ale też do przesiedlania na swoje ziemie jak największe ilości ludzi. Pełnoskalowe wojny, czy choćby doraźne najazdy rabunkowe na sąsiadów dostarczały też niewolników na sprzedaż.

Ludzie, którymi handlowano w Pradze, musieli być porywani lub sprowadzani spoza granic małego państwa czeskiego, a najbliższym obszarem, gdzie byli dostępni w większych ilościach, były tereny położone po północnej stronie Karpat i Sudetów. To właśnie poszerzanie zakresu pozyskiwania ludzi na sprzedaż może tłumaczyć czeską, a wcześniej też i morawską, ekspansję na północ. Podobnie można interpretować zainstalowanie w Przemysłu przyczółka madziarskiego/węgierskiego, poświadczonego odkryciem tam specyficznego cmentarzyska.

NIEWOLNICY A SPRAWA POLSKA

Jeżeli w chrześcijańskim cesarstwie zyski z handlu ludźmi czerpali nawet arcybiskupi Magdeburga, to nie widać powodu, dla którego państwo wczesnopiastowskie nie miałooby korzystać z tego samego źródła dochodów. Można zasadnie podejrzewać udział Piastów w dostarczaniu niewolników Czechom i Madziarom na południu oraz nad Bałtyk, skąd kupcy skandynawscy wywozili ich statkami w stronę szlaków prowadzących wzdłuż wielkich rzek Europy Wschodniej na rynki muzułmańskie.

Nie znaczy to, że sprzedawali swoich własnych ludzi, bo przyniosłoby to tylko chwilowe korzyści, w dłuższej perspektywie zaś spowodowałoby katastrofę gospodarczą, a w konsekwencji i polityczną. To nie wielkość opanowanego terytorium była bowiem najważniejszym wyznacznikiem potencjału danego władcy, lecz liczebność podporządkowanej mu populacji; przecież to nie sama ziemia płaciła podatki, lecz zamieszkująca ją ludność.

Jeżeli powyższe podejrzenia są słuszne, to udział Mieszka I w dostarczaniu słowiańskich niewolników na rynki czeskie jest niemal pewny. Ale mógł ich też „eksportować” przez porty nadbałtyckie. Dobrze to tłumaczy upartą ekspansję Mieszka Ku Bałtykowi, gdzie ujął Odrę, Parsęty i Wisły funkcjonowały skandynawskie faktorie handlowo-rzemieślnicze.

Dochody czerpane z tego „eksportu” przyczyniły się zapewne do sukcesu dynastii piastowskiej. Pozwala to lepiej zrozumieć gospodarcze okoliczności pojawienia się na scenie geopolitycznej organizacji terytorialnej rządzonej przez Mieszka I, a urządzonej już przez jego poprzedników. Handel ludźmi mógł być ważnym źródłem ich zysków, które pozwoliły sfinansować zbudowanie wielkopolskiej kolebki piastowskiej państwowości, a później regularnie zasilać skarbiec książęcy.

W zamian za niewolników Piastowie mogli sprowadzać egzotyczne towary przeznaczone do ostantacyjnej konsumpcji i opłacania lojalności politycznej. W X wieku złoto, srebro

i inne metale nieżelazne w różnej postaci – broń zachodnioeuropejska, pasy rycerskie, biżuteria, a także konie bojowe, szkło, lepsze tkaniny, wino, egzotyczne przyprawy i inne rzadkie towary były w ciągłym obiegu w systemie wzajemnego obdarowywania się przez członków elit Europy. Ich stałe dostawy były więc niezbędne do utrzymania wysokiego statusu społeczno-politycznego.

ŚWIĘTY WOJCIECH KONTRA HANDLARZE LUDŹMI

Dopiero w końcu X wieku lukratywny handel słowiańskimi niewolnikami napotkał przeszkodę w postaci umacniającego się w Europie Środkowo-Wschodniej chrześcijaństwa. Nasilało to dylematy moralno-etyczne, a czasem nawet konflikt z Kościołem. Rósł opór przeciw sprzedawaniu ludzi innowiercom i światły kler zaczął zwalczać sprzedawanie chrześcijan. Wybitną rolę odegrał w tym pryncypialny praski biskup Wojciech Ślawnikowic, czyli późniejszy męczennik Święty Wojciech-Adalbert.

Zaprotestował on w Pradze, zresztą nieskutecznie, przeciw uprawianemu tam handlowi ludźmi. To go skłóciło z czeskim księciem Bolesławem II Pobożnym (972-999), dla którego było to ważne źródło dochodów. Przy czym biskup Wojciech sprzeciwiał się tylko sprzedawaniu w niewolę chrześcijan „niewierzącym i Żydom”, uznając widocznie handel poganami i z kupcami chrześcijańskimi za dozwolony.

Można podejrzewać, że przebywając w Polsce na początku 997 roku, Wojciech-Adalbert rozmawiał z Bolesławem Chrobrym o wynikających z nauki Kościoła obowiązkach chrześcijańskiego władcy. Poruszył też zapewne ważną dla niego kwestię handlu ludźmi. Mogło to skłonić polskiego władcę do podjęcia kroków zapobiegawczych. Szerzenie się takich postaw wpływało na zmniejszanie się podaży ludzi przeznaczonych na sprzedaż.

W efekcie w pierwszej połowie XI wieku nastąpiło w Europie załamanie masowego handlu ludźmi, co zahamowało napływ do krajów muzułmańskich niewolników słowiańskich. W konsekwencji ustawał też stopniowo napływ dirhamów, które z ziem polskich znikają na początku XI wieku. Dla dworu piastowskiego oznaczało to utratę ważnego źródła dużych dochodów.

Może to przyczyniło się do ówczesnej nadaktywności militarnej Chrobrego? Może, prowadząc wojny najeżdźcze, próbował zrekompensować straty swoim ludziom, zapewniając im zyski z rabunków, haraczy, okupów, nakładanych trybutów oraz z porywanego bydła i przesiedlanych ludzi? O porywaniu ludzi przez polskiego władcę napisał w swojej „Kronice” biskup saskiego Niseburga Thietmar, który również miał na swoim dworze niewolników.

Chociaż handel ludźmi malał, to jednak nie ustał całkowicie. Papież Benedykt IX zarzucał Czechom sprzedawanie „jak bydła” chrześcijan wziętych do niewoli podczas najazdu księcia Brzetysława I na Polskę w 1038 roku. Jeszcze w XII wieku pogańscy Pomorzanie sprzedawali na wyspach bałtyckich porywanych w Polsce ludzi. Ludzi sprzedawał też słynny palatyn Sieciech.

Handel ludźmi nigdy zupełnie nie zniknął, a jedynie czasowo i lokalnie zmierał lub schodził pod ziemię. Na dużą skalę rozkwitł ponownie w XVIII wieku, kiedy objęto nim czarnych „niewolników” wywożonych masowo z Afryki. ●

weekendówka
197

WAGARY

Wzasadzie, jak to zresztą często bywa z podobnymi, nieformalnymi świętami, nie wiadomo, skąd wziął się Dzień Wagarowicza. Na pewno jest dużo młodszy niż same wagary – słowo pochodzące od łacińskiego czasownika vagari, czyli „tulać się”, „błąkać się” (no proszę, od razu wagary dostają +10 do szlachetności...). Uczniowie znacznie wcześniej zrywali się z lekcji, by się pobłąkać, dopiero potem ubrane to zostało w szatki celebry.

Być może zwyczaj wagarowania wziął się ze zwyczaju topienia przez dzieci i młodzież Marzanny, jako symbolicznego pożegnania zimy i powitania wiosny? Dzień Wagarowicza przypada wszak 21 marca, w pierwszy dzień wiosny właśnie, kiedy to tradycyjnie testuje się umiejętności pływackie wzmiankowanej. A od zorganizowanych wypraw nad rzekę ze słomianą kukłą do uczniowskiego gigantu już tylko krok...

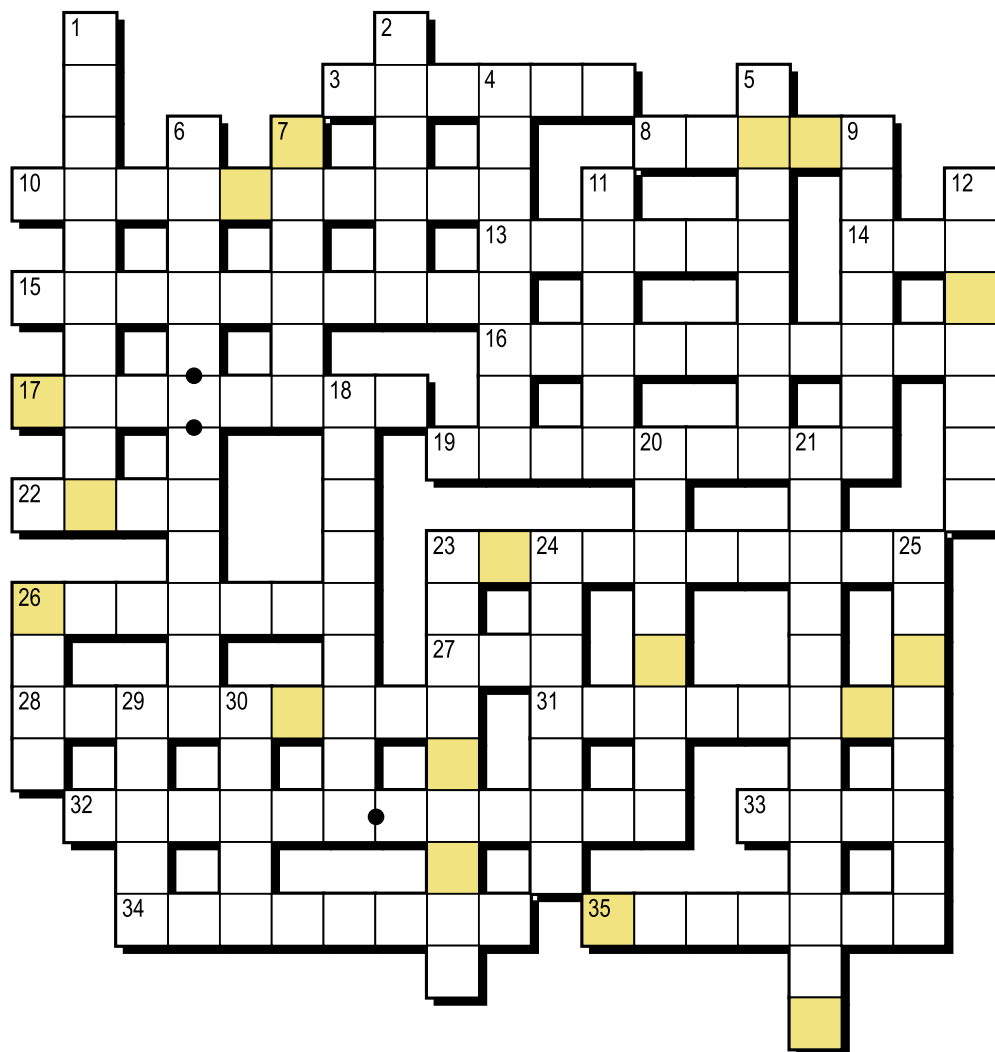
Sam nie pamiętam jakiegoś spektakularnego Dnia Wagarowicza w swoim życiu. Zmykało się z lekcji z różnych powodów, choćby po to, żeby pójść na mecz (dziś to pewnie nie do pomyślenia), tudzież wziąć udział w innych, niż wynikające ze szkolnego obowiązku aktywnościach.

Najbardziej utkwiła mi w pamięci wyprawa, którą przedsięwzięliśmy w 7. bądź 8. klasie podstawówki (na pewno nie był to pierwszy dzień wiosny), a której celem było jakieś jezioro na Ursynowie, gdzie postanowiliśmy łowić ryby. Nie były to więc takie do końca spontaniczne wagary, bowiem dwóch z nas zabrało z domu wędkę.

Z efektem miernym, bo zachowywaliśmy się zdecydowanie za głośno jak na wędkarzy (na miejscu był zdaje się jakiś prawdziwszy od nas łowca, ale zrejterował dość szybko, zupełnie jak wędkarz z „Wakacji Mikołajka”, który zrezygnował z łowienia, gdy nad wodą zameldowała się drużyna Sokole Oko).

Dzisiejszą „Weekendówkę”, z okazji Dnia Wagarowicza poświęcamy zatem wszelakim ucieczkom, nie tylko tym z lekcji. Choć właściwie wobec rosnącej popularności Dnia Wagarowicza szkoły wyszły z własnymi inicjatywami i często organizują specjalne zajęcia czy aktywności, bynajmniej nie lekcyjne, więc uciekać z lekcji naprawdę nie ma po co. Nie tylko 21 marca. Zresztą, w tym roku święto i tak wypada w sobotę. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 196 z 14.03:

Poziomo:

3) koty 5) mustyki 11) konik
polny 12) chrząszcz
13) czerwiec 14) łowiki
15) meszka 17) odraza 19) mole
20) roszciska 22) spadź
24) bzyki 25) osa 26) Afryka
28) łokas 29) żuki 32) krasnik
33) ślamazara 34) skrzydełko
38) wojny 39) pasieki
40) błonkówki 41) ryba

Pionowo:

1) Mucha 2) dzieciąt 3) kopce
4) telewizja 6) trzniew
7) kosarz 8) modliszka 9) pytek
10) pchła 15) motylek 16) serial
18) ruszałka pawik 21) cykada
23) drapieżniki 25) oczka
27) robaczki 30) uczona
31) Zagłoba 35) krew 36) dęby
37) owoc

Hasło: KOMARY I SKORKI

UCIECZKI
Liter w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

3) nazwisko autora powieści „Podróż za jeden uśmiech” o Dudusiu i Poldku, młodych autostopowiczach
8) nawiązał do zakładu karnego
10) czmychnął z lekcji
13) masowa ucieczka ludności cywilnej z terenów objętych konfliktem zbrojnym
14) ... komputerowa, np. Schoolboy Runaway (ucieczka z domu)
15) zmyka przed pościgiem
16) film, w którym główna bohaterka ucieka przed cyborgiem przystanym z przyszłości
17) Jerome, autor powieści „Busujący w zbożu”

o nastolatku uciekającym z domu na kilka dni
19) bumelanci, leserzy (chętnie nie pójdą na lekcje)
22) schronienie udzielone uchodźcy
23) np. „Casablanca”, w którym bohaterowie usiłują uciec przed z Maroka przed zawieruchą wojenną
26) nazwisko reżysera filmu „300 mil do nieba” o braciach, którzy uciekli z Polski do Danii
27) bohater „Matrixa” uciekający przed agentem Smithem (do czasu...)
28) stopień wojskowy Ryszarda Kuklińskiego (w 1981 r. uciekł z Polski do USA)
31) nagany – do dziennika, np. za wagarowanie
32) opisowo o hipisach
33) agent 007, umknął niejednemu niebezpieczeństwu

34) częsta przyczyna zwiania z lekcji
35) poniewierka, tułaczka, zły los

Pionowo:

1) potocznie o osobie, która ucieka z domu lub z poprawczaka
2) skazani na karę wygnania
4) uciekł z koszarów albo z pola walki
5) „Pojedziemy na wagary” w wykonaniu Krystyny Prońko i Andrzeja Zauchy
6) uciekli z rodzinnego Zapiecka, by odnaleźć krainę nieróbstwa
7) „Uciekający ...”, film Andrzeja Konczalowskiego
9) daleko im do grzeczniejszych; ananasy, urwisy, ancymonki
11) ... w nieznanie (ryzykowna eskapada)
12) spędza czas, włóczęg się po

mieście (zwłaszcza po Paryżu); ulicznik
18) uciekli z ojczyzny; wychodźcy
20) powieść Wiktora Hugo kojarząca się z 12 pionowo
21) pracował w nich Spartakus, nim uciekł ze szkoły gladiatorów i wzniecił powstanie
23) Aleksander, autor powieści „Szaleństwo Majki Skowron”, której bohaterka ucieka z domu
24) mieszkaniec miasta, w którym uliczników nazywano baciarami
25) film z Seanem Connerym w roli uciekiniera z Alcatraz
26) Johnny, w filmie „Czekolada” zagrał włóczęgę z rzeki
29) lubi waleś się, włóczyć po okolicy; tramp
30) ... z zachowania, obniżona za wagarowanie

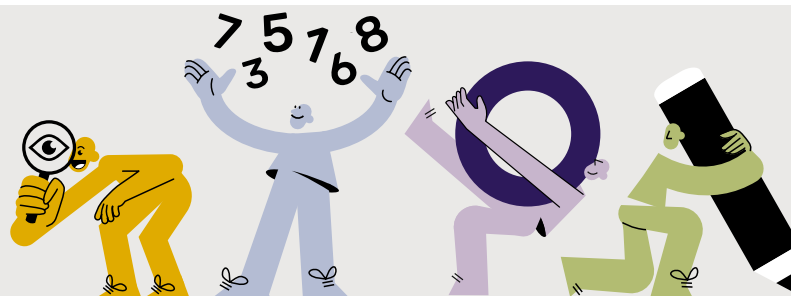
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414082

Literówka • Quizy Sudoku • Krzyżówki

Szukaj  w  APLIKACJI
WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację



wysokieobcasy

wysokieobcasy.pl



wyborcza



Gizela
Jagielska

SUPERBOHATERKA
CZYTELNICZEK
I CZYTELNIKÓW

Anna
Przedpelska-
Trzeciakowska

HONOROWA
SUPERBOHATERKA

Zuzanna
Stańska

SUPERBOHATERKA 2025

Super kobieta, super matka

MAGDALENA
KARST-ADAMCZYK



Wminiony poniedziałek odbyła się uroczysta gala Superbohaterka „Wysokich Obcasów” 2025. Nagrodę kapituły otrzymała Zuzanna Stańska, twórczyni aplikacji DailyArt, autorka jednego z najciekawszych polskich sukcesów technologiczno-kulturalnych ostatnich lat. Zuzanna jest dowodem na to, że kobiety w świecie technologii nie myślą schematami i dokonują rzeczy genialnych.

Superbohaterką Czytelniczek i Czytelników została Gizela Jagielska, niezłomna i odważna ginekolożka, zawsze wierna przysiędze Hipokratesa. Honorową Superbohaterką została natomiast Anna Przedpeńska-Trzeciakowska, powstanka warszawska, uosobienie mądrości i przyzwoitości.

Kurz i emocje po gali jeszcze dobrze nie opadły, a my w tym numerze przedstawiamy Państwu kolejną niezwykle kobietę, kolejną superbohaterkę.

Ania Lewandowska jest dziennikarką, prowadzi popularny program „Pytanie na Śniadanie”. Wiele osób zna ją jako „panią z telewizji” – profesjonalną, zawsze uśmiechniętą. Widząc mądrą, modnie ubraną kobietę, łatwo wpaść w pułapkę prostych skojarzeń i pomyśleć, że Ania, poza ekranem, wie gdzie beztroskie, „instagramowe” życie. Nic bardziej mylnego.

Dziennikarka jest mamą dwóch chłopców – 13- i 14-latką. Młodszy z jej synów, Leoś, jest dzieckiem z niepełnosprawnościami. Ma zespół jelita krótkiego, jest więc żywiony pozajelitowo, ma też gastrostomię. Oprócz tego cierpi na mózgową porażenie dziecięcą, epilepsję, obrzęki limfatyczne. Nie mówi, nie chodzi. Wymaga całodobowej opieki.

Ania i jej mąż już na etapie ciąży wiedzieli, że ich synek jest obciążony wadami. Mogli zrobić legalną aborcję, ale – bardzo świadomie i z pełnym przekonaniem – dokonali innego wyboru.

W pierwszych miesiącach po narodzinach walczyli o życie Leosia, potem – wbrew diagnozom i rokowaniom – walczyli o jego jakość. Ania zachowywała się wówczas jak lwica – była zdeterminowana, waleczna, instynktownie wyczuwała, gdzie czai się zagrożenie. Skoncentrowana na dziecku, nie zauważyła, kiedy sama kompletnie opadła z sił. W końcu dopadł ją poważny kryzys. Czuliła się niewystarczająca jako matka, przezroczysta jako kobieta, nieistotna jako człowiek. Straciła sens życia. Stała się – dosłownie – nad przepaścią.

W szczerzej rozmowie z Pauliną Reiter Ania Lewandowska opowiada o swoim życiu i pokazuje macierzyństwo bez fikcji. Dostrzegam w Ani Lewandowskiej wiele supermocy. Objawiają się one nie tylko w tym, jak walczyła o synka, ale też w tym, jak w pewnym momencie zawalczyła także o siebie.

My, kobiety, od małego karmione jesteśmy baśniami i wizją tego, że w granicznej sytuacji ktoś nas uratuje. Jakbyśmy same były bezwolne i mało sprawcze. I choć rzeczywiście w obliczu depresji pomocną dłoń podał Ani jej mąż, to w istocie Ania ocaliła się sama. A stało się to wtedy, gdy uświadomiła sobie, że potrzebuje przestrzeni do samorealizacji i spełnienia także poza macierzyństwem. Że nie chce chodzić w worku pokutnym, choć świat chętnie by ją w nim widział. Ania Lewandowska zdecydowała, że będzie rozwijać się jako kobieta i jako człowiek bez poczucia winy i wstydu. Dziś mówi z pełnym przekonaniem, że dzięki temu, że zawalczyła o siebie, jest także lepszą matką dla swoich synów. A dla mnie jest inspiracją. ▲



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **TEMAT NUMERU:** Piersi w Polsce
- **NA OKŁADCE:** Anja Rubik: Umieć mówić „nie”
- **TWARZE:** Ewa Szykulska, Paulina Młynarska, Natalia Przybysz, Kinga Preis, Maria Sadowska, Halina Poświatowska
- **PSYCHOLOGIA:** Zdrada kontrolowana ■ **TRENDY** w modzie i urodzie

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Magdalena Karst-Adamczyk

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFIKI:
Katarzyna Trzeczakowska
Marta Rozenbajger
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stoka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska
INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stoka-Felicka
Natalia Waloń
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFE PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CIA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print
ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronach 3, 9, 17, 27, 28
zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 12 (1383)
NA OKŁADCE:
ZUZANNA STAŃSKA
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL



YES

OH
YES!

Złoty pierścionek z topazami z kolekcji Megastone

YES.PL

eprasa.pl 02c0e390bb



Dziękujemy Joannie
Hawrot za ubrania do sesji,
Galerii/pracowni Dondé
za udostępnienie wnętrza



ZUZANNA STAŃSKA

Sztuka w codzienności

Gdy dzieliłam się pomysłem aplikacji o sztuce, potencjalni inwestorzy pukali się w głowy. Do dziś działamy bez zewnętrznego finansowania

Z ZUZANNĄ STAŃSKĄ ROZMAWIA JUSTYNA GROCHAL
ZDJĘCIA MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

ZUZANNA STAŃSKA – ur. w 1987 r., historyczka sztuki, założycielka i prezeska aplikacji mobilnej DailyArt oraz serwisu DailyArt Magazine. Uruchomiona w 2012 r. aplikacja mobilna DailyArt codziennie pokazuje użytkownikom i użytkownikom jedno dzieło sztuki z domeny publicznej ze zwięzłym, ciekawym opisem. Stańska zaczynała bez doświadczenia biznesowego, w świecie technologii traktowano ją raczej jako ciekawostkę. Dziś z jej aplikacji – dostępnej w 24 językach – korzysta miesięcznie 800-850 tys. osób na całym świecie, a w 2024 r. wyróżniono ją nagrodą App Store Award w kategorii „Wpływ na kulturę”.

Zostałaś Superbohaterką „Wysokich Obcasów” 2025. Jak się z tym czujesz?

– To dla mnie duży zaszczyt, bo wśród nominowanych było wiele wspaniałych kobiet. I jestem bardzo zaskoczona, bo nie mam poczucia, że robię coś wyjątkowego. Jestem po prostu szczęściarą, która wykonuje pracę, jaką sobie sama wymyśliła.

Takie wyróżnienia i nagrody motywują cię do rozwoju?

– Tak, to dla mnie duża motywacja. Nagrody App Store Awards firmy Apple są jak Oscary w świecie aplikacji. Gdy mi ją przyznano w 2024 roku, chyba pierwszy raz po-

czulałam, że robimy z zespołem naprawdę dobrą robotę i jesteśmy we właściwym miejscu.

Wyróżnienie od „Wysokich Obcasów” traktuję natomiast jako docenienie także mojej historii i drogi, jaką przeszłam. Dla mnie to bardzo ważne, bo pomaga mi też docenić samą siebie.

Pamiętam, że po naszym pierwszym wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” byłaś zaskoczona skalą pozytywnych komentarzy. Dużo było w nich wsparcia, dumy.

– Zaskoczenie wynikało chyba z tego, że w internecie na ogół jest więcej negatywnych komentarzy. Choć moja branża, czyli historia sztuki, rzeczywiście ma raczej dobrą prasę. Życzliwe komentarze były też pewnie reakcją na międzynarodowy sukces dziewczyny z Polski.

Chciałabym jednak podkreślić, że DailyArt jest efektem pracy zespołowej, bo ja i moi pracownicy stanowimy drużynę, w której każdy odpowiada za swój fragment poletka. Choć aplikacja działa od 14 lat, wciąż nie mamy inwestorów zewnętrznych, dodatkowych finansowań, dotacji. Przeszliśmy wiele zmian, by dostosować się do wymogów technologicznych czy odpowiedzieć na zmieniające się trendy. W międzyczasie podjęliśmy kilka dobrych decyzji, które sprawiły, że udało nam się wejść na rynek międzynarodowy.

W świecie start-upów jest dużo przechwałek, pompowania narracji o sukcesie, milionach na finansowanie itd. W naszej firmie od początku pracowaliśmy w trybie „dziubania” i tak jest do dziś. Nie chodzi o to, że jesteśmy skromni, bo potrafimy się chwalić, ale koncentrujemy się na tym, by robić swoje.



Nie oczekuję od moich pracowników wysiadywania godzin w biurze. *Bo praca jest ważna, ale życie jest ważniejsze*

Powiedziałas, że tytuł Superbohaterki pozwala ci docenić siebie. Jak ma się twój wewnętrzny krytyk? Odzywa się czasem i próbuje niweczyć zamiary?

– Nie, i to jest coś, z czego jestem dumna. Wiele razy się zastanawiałam, skąd to w sobie mam. Podejrzewam, że to zasługa szkoły. Chodziłam do świeckiej Prywatnej Żeńskiej Szkoły im. Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie. To szkoła z tradycją, ukończyła ją także powstanka Anna Przedpelska-Trzeciakowska, Honorowa Superbohaterka WO. Spędziłam w tej placówce sześć lat – w gimnazjum, a potem w liceum. Bardzo dużo jej zawdzięczam. Nie tylko kurs historii sztuki ze świetnym nauczycielem, który rozbudził we mnie pasję, ale też możliwość uczestniczenia w innych ciekawych zajęciach. W szkole nie słyszałyśmy od nauczycieli, że nie możemy być dobre z fizyki, bo jesteśmy dziewczynami. Nikt nie uważał chłopców za mądrzejszych albo odważniejszych.

Gdy potem poszłam na pierwsze studia, czyli stosunki międzynarodowe, znów stałam się częścią mieszanych grup. Byłam zaskoczona, widząc mądre dziewczyny siedzące w kątach jak myszki, bojące się odezwać. A chłopaki błyszczeli, nie przejmując się tym, że na przykład nie mają wiedzy albo racji.

Dzięki mojej żeńskiej szkole nigdy nie miałam poczucia, że czegoś nie mogę albo nie powinnam.

Czyli nie było ci trudno uwierzyć w siebie. A w pomysł?

– Uwierzyć w pomysł było trudniej. Do dziś nie potrafię tego racjonalnie wyjaśnić. Wiesz, ja – taka typowa humanistka, po historii sztuki i stosunkach międzynarodowych – stwierdziłam nagle, że stworzę aplikację. A przecież nie potrafiłam kodować, zresztą do tej pory nie umiem. Wiedziałam natomiast, jak ten projekt może wyglądać.

Kompletnie jednak nie wierzyłam, że ta aplikacja może przynosić pieniądze. Nie sądziłam, że ktokolwiek będzie skłonny płacić za oglądanie sztuki w telefonie. Wprowadzenie aplikacji nie wiązało się z dużymi kosztami, bo sama pisałam teksty, zaś software'owe rzeczy były na tamtym etapie dość tanie. Na początku nie podjęłam więc żadnych działań w kierunku monetyzowania tego przedsięwzięcia. Nie miałam też żadnych funkcjonalności, które by na to pozwalały. Dopiero po jakimś czasie wprowadziłam płatną wersję aplikacji, następnie wersję językową. To zmieniło wszystko.

Co byś powiedziała młodej dziewczynie, która dziś chciałaby spróbować prowadzić w świecie technologii biznes związany ze sztuką?

– Że da się to zrobić. I żeby się nie bała, ale też żeby starała się wychodzić poza schematy. Przez to, że miałam dostęp do świata start-upów, odbyłam sporo rozmów z mentorami. To bardzo życzliwa branża, wiele osób chciało pomóc i dzieliło się wiedzą. Pułapką jednak było to, że często powtarzali utarte, banalne rozwiązania.

Wydaje mi się, że jak ktoś wpadnie na nieoczywisty pomysł, warto za tym iść. I nie zrażać się, kiedy coś nie wyjdzie. W start-upach często wychodzi się od jakiegoś pomysłu, a potem życie go weryfikuje albo po drodze pojawiają się potencjalnie lepsze rozwiązania. Dlatego warto próbować.

W świecie technologicznym, zwłaszcza w przypadku projektów finansowanych zewnętrznie, istnieje magia KPI, czyli kluczowych wskaźników efektywności. Często cię pytają, jakie masz cele. To może być na przykład milion użytkowników w dwa lata. Ja nie miałam takich celów, bo zwyczajnie nie potrafię ich wymyślić. Jedyne, o czym myślałam, to żeby aplikacja sama się utrzymywała, pozwalała na rozwój, a z czasem utrzymywała pracowników, mnie i kota (śmiech).

Na początkowym etapie szukałam finansowania, ale potencjalni inwestorzy, słysząc o moim pomysle, pukali się w głowy. Mówili: „Poproszę jakieś twarde KPI”. To jest kolejna rzecz, której nie mam w swoim DNA. Nie mówię pracownikom, że mają w wyznaczonym okresie doprowadzić do miliona followersów na Instagramie.

A co im mówisz?

– Że wahania algorytmów są normalne i nie muszą się denerwować.

Jesteś dobrą szefową?

– Powiem tak: nie mamy biura, bo uważam, że choć praca jest ważna – daje przecież utrzymanie – to jednak życie jest ważniejsze. Jeżeli ktoś musi wyjść odebrać dziecko z przedszkola albo może pracować od godziny 18, to dla mnie nie ma problemu, o ile zadanie zostanie wykonane. To, jak sądzę, wynika z moich własnych potrzeb. Lubię w ciągu dnia wyjść na lekcję włoskiego albo załatwić coś na mieście.

Wysiadywanie godzin nie jest w moim stylu. Przez chwilę pracowałam w korporacji i pamiętam to długie siedzenie w biurze, żeby pokazać, że jest się dobrym pracownikiem. Wolę zrobić coś w krótszym czasie i pójść na spacer. Zależy mi więc na tym, żeby osoby, które dla mnie pracują, czuły się swobodnie. Nie muszą mi się zwierzać, ale mogą powiedzieć, że mają gorszy czas, i wtedy szukamy rozwiązania. Nie chcę udawać, że moi pracownicy nie mają życia poza pracą. Jak coś się u nich dzieje, chcę stworzyć przestrzeń, by mogli się tym podzielić bez strachu.

Czy sposób patrzenia na sztukę zmienił się w ciągu tych 14 lat?

– Bardzo. Przede wszystkim historia sztuki wyszła poza kanon. Już nie jest tak, że trzeba znać wyłącznie da Vinciego, Delacroixa, Rafaela, Malczewskiego i Matejkę. Od wielu lat mówimy o kobietach artystkach czy o sztuce mniejszości – etnicznych, narodowych, seksualnych. Zmienia się też nazewnictwo. Kiedyś mówiliśmy „sztuka naiwna”, teraz takich artystów określa się mianem samouków – artystów, którzy nie mają akademickiego backgroundu, ale tworzą sztukę. Pokazuje się coraz więcej hafciarek i kobiet robiących tekstylię – ich dzieła możemy oglądać w muzeach. Czasami, z różnych powodów, nie wiemy wiele o samych artystkach, ale ich sztuka jest dziś doceniana.

Pojawiają się też regionalne gwiazdy. Zauważyłam, że Skandynawowie robią świetną robotę w promowaniu swoich ar-

Bielenda

Skinclinic

PROFESSIONAL

BIOMIKROIGŁY



Odkryj **nowości** z bestsellerowej serii

Poznaj **skuteczność działania zaawansowanych formuł z biomikroigłami**, które dzięki zwiększonej penetracji składników aktywnych i stymulującemu działaniu na skórę przynoszą w **szybkim czasie zauważalne efekty**.



SERUM BIOMIKROIGŁOWE SERUM BIOMIKROIGŁOWE SERUM BIOMIKROIGŁOWE

**STYMULACJA
I NAWILŻENIE**

**REWITALIZACJA
I ODŻYWIENIE**

**POPRAWA NAPIĘCIA
I ELASTYCZNOŚCI**

ZAWIERA 100 000
BIOMIKROIGŁEŁ

ZAWIERA 150 000
BIOMIKROIGŁEŁ

ZAWIERA 200 000
BIOMIKROIGŁEŁ

kwasy
hialuronowy

kwasy
poliglutaminowy

beta-glukan

PDRN

neuropeptydy

adenozyna

ceramidy

booster nad+

karnozyna

Tylko tu!

ROSSMANN
Moja Drogeria

i na Bielenda.com

Odkryj
wszystkie
produkty



OGŁOSZENIE



tystów, np. w paryskim d'Orsay niemal co sezon jest jakaś wystawa nordyckiego artysty. U nas takie działania mają znacznie mniejszą skalę, ale to nie wynika z tego, że nie mamy wspaniałych artystów. Brakuje po prostu politycznej strategii kulturalnej.

Zależało mi na tym, by DailyArt promowała nie tylko nazwiska, które należy znać, ale po prostu ciekawych artystów i świetne dzieła, niekoniecznie z kanonu. Chciałam promować artystów mało znanych w naszym kręgu. Jednak, co ciekawe, zauważyłam, że jest mnóstwo osób, które chciałyby znać właśnie kanon – te dziesięć najpopularniejszych rzeźb greckich albo dzieła włoskiego renesansu. Zresztą popularność wielu osobistości internetowych zajmujących się historią sztuki wynika właśnie z faktu, że tłumaczą bazowe, podstawowe rzeczy. Dlatego niedługo będziemy robić u nas minikursy z kanonu.

Proces dobierania dzieł w DailyArt pewnie też się zmieniał?

– Przyznam szczerze, że na samym początku wrzucałam jednak tylko kanon. Sami mężczyźni, dzieła z naszego kręgu kultury. Zaczęłam chyba od Delacroix. Pokazywałam to, czego mnie uczyli w szkole i na studiach, i jeszcze założyłam, że polska sztuka nikogo nie interesuje. A potem zaczęła ze mną pracować Justyna Krupińska, która mówiła: „Musimy pokazywać kobiety artystki”. Dzięki niej zaczęliśmy rozszerzać bazę nie tylko o artystki, ale także o dzieła twórców rdzennych. Z czasem zaczęliśmy obchodzić miesiące poświęcone różnym grupom: społeczności LGBTQ+, kobietom, czarnym artystom. Nie zawsze jest to łatwe ze względu na prawa autorskie, ale robimy, co możemy.

Czyli rozwój DailyArt to też trochę zapis twojej prywatnej edukacji z historii sztuki?

– Zdecydowanie tak. W historii najpiękniejsze jest to, że ona się nie kończy. Nikt nigdy nie pozna wszystkiego. To jest wspaniałe, bo oznacza, że wciąż jest wiele do odkrycia. Na wszystko da się też spojrzeć inaczej. Są nowe badania, atrybucje.

Przez wiele lat siedziałam zakopana w sztuce artystów nieżyjących. Żartowałam, że najlepsi są tacy właśnie artyści, bo nie zabiorą głosu. W którymś momencie odkryłam jednak, że sztuka bardzo współczesna jest równie ciekawa. Odkrywam ją samodzielnie, bo nikt nigdy nie pokazał mi, jak to robić. Wciąż wiele się uczę i chłonę. To niekończąca się edukacja.

Czy to zmieniające się podejście do promowania sztuki i korygowania kanonu widzisz też na poziomie instytucji i muzeów, z którymi pracujesz?

– Tak, wystarczy spojrzeć na MSN, gdzie mieliśmy wielkie wystawy o sztuce kobiet. W warszawskim Muzeum Etnograficznym trwa wystawa o Łemkach, o których ja sama wiedziałam bardzo mało. Pokazujemy sztukę mniejszości seksualnych. Te zmiany widać również w przestrzeni nagród artystycznych. Coraz częściej wychodzimy poza kanon. W warszawskiej ASP można było obejrzeć wystawę artystek zajmujących się tkaniną, w Zachęcie trwa wystawa Krystyny Wojtyny-Drouet, wciąż aktywnej artystki tkaniny. W Lublinie mieliśmy wielką wystawę artystek dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych. Uważam, że nadążamy za tymi zmianami.

Czym dla ciebie jest sztuka, tak poza biznesem?

– To owoc jakiegoś okresu, miejsca i twórcy. Moje podejście do sztuki wyrosło z zainteresowania historią, którą uwielbiam. Zawsze mnie ciekawi, kim była osoba, która stworzyła dzieło. Interesuje mnie jej twórcza postawa, ale również ten moment w historii, w którym tworzyła. Poza wszystkim oglądanie sztuki sprawia mi też przyjemność.

Są artyści, których postawa twórcza cię inspiruje?

– Najbardziej interesują mnie osobiste historie artystów. Lubię te wszystkie bulwarowe smaczki. Mam wrażenie, że dzieła sztuki często traktuje się z pewnym nabożeństwem, a artystów stawia na piedestale, jakby byli nadludźmi. A ja lubię odkrywać, że to byli ludzie tacy jak my – ze swoimi demonami, problemami i talentami. Robili głupie czy złe rzeczy, przy okazji robiąc też rzeczy piękne, poruszające. Człowiek jest połamany, nie jest idealny.

A jest jakieś dzieło sztuki, które mogłoby być metaforą twojej drogi zawodowej, albo takie, do którego wracasz w momentach ważnych decyzji?

– Nie mam chyba takiego, ale w tym momencie pomyślałam o obrazie „Dekadentka” katalońskiego malarza Ramona Casasa. Przedstawia kobietę leżącą na łóżku z książką. Ona sobie tak „chilluje”. Dla mnie jest to opowieść o spokoju i dziś się w tym odnajduję. Jestem w dobrym miejscu, mentalnie leżę sobie z książką. Lubię, jak jest spokojnie. I jak wszystko toczy się swoim rytmem. ▲

SOLAR

Doskonałość to pojęcie, za którym gonimy z przyzwyczajenia — bez jasnej odpowiedzi, po co i co właściwie miałyby nas tam czekać... Kolekcja Wenus porusza się między symbolem a codziennością, łącząc różne języki kobiecej garderoby w jedną opowieść.



To Wenus współczesna — niejednoznaczna, wymykająca się jednej interpretacji. Zamiast tego pokazuje nas — kobiety — jako zbiór wielu prawd, współistniejących, równorzędnych, równie ważnych.

Autorski print Wenus — widoczny na chuście i t-shircie — jest wizualnym zapisem różnorodności: fragmenty twarzy i szkicowe linie budują piękną kompozycję, która odzwierciedla wizerunek kobiecości jako zbioru detali, bo każda z nas nosi w sobie więcej niż jedną historię i więcej niż jedną wersję siebie.

Na zdjęciach zachowano naturalną fakturę skóry, wraz z jej zmarszczkami i przebarwieniami.



**GIZELA JAGIELSKA**

Superbohaterka Czytelniczek i Czytelników „Wysokich Obcasów”

Odważna

Ginekolożka, która śmiała wykonywać swoją pracę

TEKST PAULINA NODZYŃSKA

Odwazna i bezkompromisowa – tymi słowami Czytelniczki i Czytelnicy „Wysokich Obcasów” najczęściej argumentowali wybór ginekolożki Gizeli Jagielskiej na swoją Superbohaterkę. Wskazywali też na jej mądrość, na wierność przysiędze Hipokratesa, powołaniu i własnym przekonaniom. Wyrażali wdzięcz-

ność za służenie kobietom i za dawanie nadziei w trudnych dla kobiet czasach.

Profesjonalna, pomocna, fachowa – mówi z kolei jej pacjentki.

Gizela Jagielska jest jedyną ginekolożką w Polsce, która pomaga kobietom potrzebującym legalnej aborcji i nie boi się o tym mówić. Za swoją odwagę i śmiałość zapłaciła jednak wysoką cenę. Najpierw przed oleśnickim szpitalem, w którym

pełniła funkcję wicedyrektorki i przyjmowała pacjentki, nieustannie formowały się agresywne manifestacje „prolajferów”.

Nasiliły się, gdy Gizela Jagielska odważyła się opowiedzieć „Wyborczej” o aborcji pani Anity, kobiety, której ciąża z późno stwierdzonymi ciężkimi wadami płodu zagrażała zdrowiu lub życiu. Lekarka pomogła pacjentce, za co spadła na nią fala hejtu, gróźb i fałszywych oskarżeń. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, gdy ktoś ujawnił prywatny adres Jagielskiej. Przykład „prolajferom” dał skrajnie prawicowy europoseł Grzegorz Braun, który po publikacji „Wyborczej” wtargnął do szpitala w Oleśnicy i osaczył lekarzkę. Hejt nakręcał też popularny i chętnie wówczas oglądany youtubowy Kanał Zero Krzysztofa Stanowskiego.

Sprawy te do dziś rozstrzyga prokuratura (chce postawić zarzuty Braunowi, ale europosłowi wciąż udaje się grać na zwłokę). W styczniowej rozmowie z „Wyborczą” lekarka mówiła, że ze względu na nieprawdopodobną skalę zjawiska wszystkich naruszeń nie sposób zgłaszać.

Od grudnia 2025 r. Jagielska przyjmowała pacjentki tylko w swoim prywatnym gabinecie. Została zmuszona, by szukać pracy w innym szpitalu, bo ten w Oleśnicy, w którym przez ostatnią dekadę współtworzyła oddział ginekologiczny, nie zdecydował się przedłużyć kontraktów jej ani jej mężowi, także lekarzowi. Powód? – Najprawdopodobniej polityczny – mówiła w rozmowie z „Wyborczą”. Tłumaczyła: – Ginekologia stała się najbardziej polityczną dziedziną medycyny. Nikt nie chce mieć pod oknami protestów. To „prolajferzy” dyktują warunki, a politycy się ich boją. A ja szłam na medycynę, nie politologię.

„Obrońcy życia” nie dawali Jagielskiej żyć. Ruszyli w trasę po Polsce i blokowali placówki, które prowadziły z Jagielską rozmowy – parkowali pod nimi ciężarówki oklejone zdjęciami martwych płodów i emitowali drastyczne dźwięki imitujące płacz dziecka. Utrudniali tym samym pracę lekarzy i uprzykrzali życie pacjentkom porodówek.

Gizela Jagielska była bliska poddania się. – Nie wiem, czy w ogóle chcę pracować jako lekarz w polskim szpitalu. Obrzydló mi to. Chcę działać zgodnie z moją najnowszą wiedzą medyczną i zgodnie z prawem, nie musząc się zastanawiać, czy to się komuś będzie politycznie podobać, czy też nie – powiedziała nam w styczniu.

Ostatecznie jednak ginekolożka wstała, otrzepała się i wróciła do pracy. Znalazła zatrudnienie w lubańskim szpitalu (woj. dolnośląskie), gdzie protestów się nie boją – pierwszy już miał miejsce i z pewnością nie był ostatnim.

Gizela Jagielska jest doświadczoną lekarką. W 2006 r. skończyła Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu (chciała zostać ginekolożką-onkolożką), potem odpowiednik polskiej specjalizacji z perinatologii w Hiszpanii. Aktualnie jest w trakcie specjalizacji z neonatologii oraz studiów podyplomowych z położnictwa wysokiego ryzyka. Oddział w Oleśnicy budowała od zera, wprowadziła tam wiele nowoczesnych rozwiązań i metod leczenia. Przyjmowano tam porody w położeniu miednicowym, obracano płody do pozycji główkowej, aby mogły rodzić się naturalnie, a ciążę bliźniacze rozwiązywano drogami natury, jeśli tylko było to bezpieczne. Podczas cesarskiego cięcia na sali operacyjnej mogły przebywać osoby towarzyszące, co w polskich szpitalach nie jest standardem. Szpital przez całą dobę oferował też dostęp do znieczulenia zewnątrzoponowego.

W grudniu zeszłego roku Prokuratura Rejonowa w Oleśnicy umorzyła postępowanie w sprawie aborcji pani Anity, którą doktor Jagielska przeprowadziła w 36. tygodniu. Zostało wszczęte – jak wyjaśniali śledczy – na podstawie „doniesień medialnych”. Prokuratura nie dopatrzyła się znamion przestępstwa, a w uzasadnieniu napisała o „decyzji podjętej w oparciu o logiczny i konkretny proces intelektualny”, ważonej przez wgląd na „dobro płodu i matki”. Śledczy wyraźnie podkreślili także, że to decyzję pacjentki w takich sytuacjach uznać należy za „wiązącą”, a pani Anita ciężko chorego dziecka urodzić nie chciała. I nie ugięła się nawet pod naciskami pierwszej prezeski Sądu Najwyższego Małgorzaty Manowskiej, która dwukrotnie złożyła zażalenie na tę decyzję.

Sama pani Anita w rozmowie z „Wyborczą” tak skomentowała umorzenie: – Ta kobieta [Gizela Jagielska] uratowała mi życie. Jestem i zawsze będę jej wdzięczna, że uszanowała moją decyzję i pomogła uchronić mojego Synka Felka przed ogromnym cierpieniem. ▲



ANNA PRZEDPEŁSKA-TRZECIAKOWSKA
Honorowa Superbohaterka „Wysokich Obcasów”

Patriotka

Nie wyobraża sobie milczeć,
kiedy innym dzieje się krzywda

TEKST **MONIKA TUTAK-GOLL**

Na półce z książkami stoi u mnie „Duma i uprzedzenie”. Starsze wydanie, w tłumaczeniu Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej, wybitnej tłumaczki literatury amerykańskiej i angielskiej, powstanki, honorowej obywatelki Warszawy, a teraz także – Honorowej Superbohaterki „Wysokich Obcasów”.

To ona przybliżyła nam Jane Austen, Jacka Londona, Josepha Cordada, Doris Lessing, Alice Munro, Williama Faulknera. Ale tłumaczy nie tylko powieści. Tłumaczy też świat, w którym przyszło nam żyć. Bo ten świat naprawdę ją obchodzi: „Przecież to jest mój świat, ja go współtworzyłam. I dopóki mogę, chcę współtworzyć”.

Bardzo często zastanawia się nad ludzką naturą. I pyta: „Czy my nie jesteśmy podobni do tamtych ludzi z XIX-wiecznej Anglii w naszych emocjach, pragnieniach? Zmieniły się tylko dekoracje”.

W literaturze znajduje ukojenie. Jane Austen towarzyszyła jej przez całe dorosłe, nielatwe życie. Była odtrutką w trudnych czasach komunizmu. I pomagała uciec od wojennych wspomnień. W wywiadzie Ali-

ny Mrowińskiej w „Wysokich Obcasach” częściej przywołuje te przedwojenne: gdy stoi na balkonie w budynku przy Polu Mokotowskim, obok jej starszy brat, Jędretek. Jest wyższy, więc głowę ma nad barierką. Bardzo chciała być wtedy taka jak on. Jędretek był dla niej wzorcem. Świat się dla niej skończył, kiedy zginął. Z taką śmiercią nie sposób się pogodzić. Zamknęła powstańcze wspomnienia w skrzyni, której długo nie chciała otwierać.

Patriotyzmu uczyła się właśnie od brata, uczyła się w Powstaniu Warszawskim. Dziś pokazuje nam wszystkim, czym tak naprawdę jest patriotyzm i jak bardzo go potrzebujemy. Patriotyzm to nie krzyki, wyzwiska, dyskryminacja. Patriotyzm to dla niej przyzwoitość. A słowo „przyzwoitość” Anna Przedpełska-Trzeciakowska traktuje bardzo poważnie. „Ten świat był i jest zdolny do największych podłości. I do największego bohaterstwa”.

Kilka lat temu Anna Przedpełska-Trzeciakowska zwróciła się razem z innymi uczestniczkami powstania do hierarchów Kościoła katolickiego o zorganizowanie i objęcie opieką ośrodka dla uchodźców na granicy z Białorusią. Czy odpowiedzieli? Nie, może to było do przewidzenia? Ale Anna Przedpełska-Trzeciakowska nie wyobraża sobie milczeć, kiedy innym dzieje się krzywda. Bo nie wyobraża sobie zaniechać, kiedy można zrobić cokolwiek. I to jest właśnie patriotyzm, którego nas uczy: życie bez winy zaniechania. ▲



Lwica wychodzi z *klatki*

Obudziłam się z pustką w głowie. Czułam się przezroczysta.
Stwierdziłam, że nie mogę tak żyć, że muszę o sobie zawalczyć

Z ANIĄ LEWANDOWSKĄ,
DZIENNIKARKĄ TVP2,
ROZMAWIA PAULINA REITER



Widzowie „Pytania na śniadanie” znają cię jako uśmiechniętą, błyskotliwą dziennikarkę. Swojej prywatnej historii chyba nigdy wcześniej nie opowiadałaś?

– Jakiś czas temu, prowadząc rozmowę w „Pytaniu na śniadanie”, wspomniałam, że mój syn jest chory. Powiedziałam też o swojej depresji i o tym, że przesłam załamanie nerwowe. To długa i bolesna historia. Bardzo osobista. Wiedziałam, że kiedyś opowiem ją, ale na swoich warunkach. Dbając o to, żeby taka szczerość dała innym siłę i nadzieję, a nie była pożywką dla sensacji.

Po raz pierwszy opowiedziałaś o tym szerzej podczas spotkania po filmie „Kopnęłabym cię, gdybym mogła”. Film opowiada o matce opiekującej się ciężko chorym dzieckiem. Powiedziałas wtedy, że doskonale rozumiesz jej emocje.

– Oglądałam ten film z ogromnym wzruszeniem, momentami z przerażeniem. W głównej bohaterce widziałam siebie sprzed lat – wyniszczoną życiem kobietę, która straciła nadzieję, że jeszcze kiedyś zapamięta nad tym, co spotkało ją i jej rodzinę.

Mam dwóch synów. Starszy – czternastolatek – jest okazem zdrowia, świetnie się uczy i ma na koncie wiele sukcesów sportowych na arenie ogólnopolskiej. Marzyliśmy, żeby drugie dziecko pojawiło się jak najszybciej po pierwszym. Sama wychowywałam się z rok starszym bratem i tego samego chcieliśmy dla naszych dzieci. Nie ukrywam, że była w tym także jakaś kalkulacja zawodowa. Praca w mediach to tak zwany wolny zawód – brzmi pięknie, ale powrót do pracy po macierzyństwie bywa bardzo trudny. Szczególnie wtedy, gdy twoja pozycja zawodowa nie jest jeszcze ugruntowana. Po przerwie często zaczyna się wszystko od zera. Dlatego świadomie postanowiłam: najpierw dzieci, potem kariera.

Kiedy zaszłam w drugą ciążę, po każdym tygodniu zaczął się koszmar. Badanie USG wykazało, że przezierność karkowa jest powyżej normy, co oznacza zwiększone ryzyko wystąpienia m.in. wad genetycznych. Zaczęła się nasza batalia. Seria rozszerzonych badań, test PAPP-A, amniopunkcja, kolejne konsultacje.

I?

– Nic konkretnego z nich nie wynikało. Lekarze mówili, że dziecko może być chore, ale wcale nie musi tak być. Podczas jednej z wizyt usłyszeliśmy, że musimy jak najszybciej podjąć decyzję: albo nasze dziecko przyjdzie na świat, albo terminacja ciąży. Nikomu nie życzę, żeby musiał stawać przed takim wyborem. To była decyzja nie tylko o życiu naszego dziecka, ale też o przyszłości i funkcjonowaniu drugiego syna, naszego małżeństwa, całej najbliższej rodziny. Dobrze pamiętam słowa mojej mamy. Powiedziała wtedy, że niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiemy, będzie z nami. To było dla mnie najpiękniejsze świadectwo macierzyństwa. Wspierała nas cała rodzina. I to dodało nam sił. Postanowiliśmy z mężem, że urodzę. Mimo że nikt nie potrafił powiedzieć, czy nasz syn będzie zdrowy, a jeśli nie, to w jakim stopniu. Pokochaliśmy tego malucha, podglądaliśmy go na USG i słuchaliśmy bicia jego serca. Był nasz. Wymarzony. I wiedzieliśmy, że będziemy o niego walczyć. Od tego momentu właściwie nie wychodziłam z gabinetów lekarskich. Diagnostycy dwukrotnie robili mi rezonans, dziecko było pod stałą opieką neurologiczną. Monitorowaliśmy jego stan, żeby mieć pewność, że robimy wszystko, co pomoże wychwycić ewentualną wadę i wdrożyć jak najszybsze leczenie jeszcze w fazie prenatalnej. Leos przyszedł na świat przez zaplanowane cesarskie cięcie. Urodził się i... w drugiej dobie życia okazało się, że odchodzi (placze). Nikt nie wiedział, dlaczego.

Pierwsza diagnoza: serce. Kiedy dowiedziałam się, co się dzieje, mimo bólu po operacji, wybiegłam z sali poporodowej na zewnątrz budynku, żeby dostać się na oddział w innym gmachu, gdzie był mój synek. Mam w głowie kilka stopklatek: upał, mój krzyk z przerażenia, płacz z bólu, ja tocząca się na OIOM. Do dziś nie wiem, skąd wzięłam na to siłę... Musiałam przekazać lekarzom, że to nie może być serce. Przecież dzień przed porodem badali je najlepsi specjaliści. Lekarze skontaktowali się z naszą kardiolożką. Zapadła decyzja, że trzeba operować Leosia, by zna-

leźć przyczynę. Okazało się, że miał zator krezki. To stan bezpośredniego zagrożenia życia. Prowadzi do martwicy jelita i bardzo często do śmierci. Leos przeżył pierwszą operację. Potem były kolejne. Ostatecznie wycięto mu niemal całe jelito cienkie. Przez miesiąc był utrzymywany w śpiączce farmakologicznej. Mogliśmy go odwiedzać tylko w wyznaczonych godzinach. Wraz ze sztabem lekarzy walczył o życie na OIOM-ie. A w domu czekał na nas jego półtoraroczny brat – prawdziwy żywioł, pełen energii i radości. Leos urodził się w lipcu. Do domu pierwszy raz przyjechał dopiero pod koniec lutego.

I jak wtedy było?

– Jedna wielka niewiadoma. Nie wiedzieliśmy, czy Leo przeżyje, czy będzie chodził, czy będzie mówił, widział, słyszał. Czulałam, jakby ktoś wciąż rzucał mi pod nogi kolejne kłody. Najpierw była ogromna radość, że mój syn żyje. A potem pojawiały się kolejne pytania bez odpowiedzi i budzące strach diagnozy. Całe szczęście, niektóre okazały się nietrafione. Wtedy miałam jeszcze w sobie dużo siły. Nigdy nie zapomniałam momentu, kiedy Leos miał mieć zabieg wdrożenia żywienia pozajelitowego, czyli włożenia portu do żyły głównej. Czekaliśmy na nią tygodniami i było jasne, że nie może w tym czasie złapać żadnej infekcji. Podczas pobytu w szpitalu dowiedziałam się od innej matki, że do naszej sali trafiło dziecko z rotawirusem. Wtedy obudziła się we mnie lwica. Natychmiast wyjechałam z łóżeczkiem na korytarz. Musiałam chronić syna. Byłam w amoku. Krzyczałam na cały oddział, aż do momentu, kiedy znalazło się dla nas miejsce na innej sali. Do dziś zastanawiam się, jak mogłam wpaść w taki szal, ale z drugiej strony myślę, że drugi raz postąpiłabym tak samo. Bo to była walka o życie mojego dziecka.

Co na to pielęgniarki?

– Były w szoku. „Pani Lewandowska, dlaczego pani ucieka z sali?”. Krzyczałam, że chcę z synem wreszcie wyjść do domu, ma już ponad pół roku. Jak moje dziecko zarazi się rotawirusem, to nie będzie operacji i tu zostaniemy. Awantura była na cały oddział, ale przyznano mi w końcu rację. Ochroniłam syna i operacja odbyła się według planu.

Wróciliście do domu. Ulga?

– Tak. I wydawało mi się, że teraz już będzie dobrze. Że ze wszystkim damy so-

bie radę. Oczywiście wiedziałam, że będą wizyty w szpitalu, ale wierzyłam, że sytuacja jest przewidywalna i pod kontrolą. Chwilę później kolejny nokaut: z twarzy Leosia zaczęła schodzić skóra. Całymi płatami. Miał potworne rany. To była jakaś bakteria. Była zima, a on był podłączony do pompy przez całą dobę. Każde wyjście na spacer było logistycznym wyzwaniem – pompę i worek z żywieniem trzeba było przemocować do wózka. Mąż mówił: „Może odpuść sobie ten spacer. Zostańcie w domu. Jak wrócę, coś wymyślimy”. Ale ja nie umiałam siedzieć i czekać.

Nie chciałaś utknąć w domu?

– Nawet jak były mrozy, wsiadałam z Leosiem do samochodu i jeździliśmy wokół bloku. Musiałam choć na chwilę zmienić otoczenie. Czułam, że to ważne dla niego. Czułam też, że to ważne dla mojej głowy.

A drugi syn?

– Był w żłobku.

Mąż pracował?

– Tak. Ja zostałam w domu. W pewnym momencie jednak doszłam do takiego stanu, że mnie już nie było... Nie chciałam żyć. Nie czułam, że jestem w jakimkolwiek sposób sprawcza, że mogę podjąć jakąkolwiek decyzję, że mogę coś zaplanować. Wiedziałam, że to nie ma sensu, bo przecież wszystko mogło się zmienić w ciągu godziny. Opiekując się młodszym dzieckiem, zawałam opiekę nad starszym. Żyłam miesiącami w ciągłym poczuciu winy. Straciłam sens życia. Straciłam wiarę w lepsze jutro. Mąż w ostatniej chwili zdjął mnie z balkonu.

Życie cię dojechało.

– Życie, ale też ludzie. Pamiętam, jak przed kolejną operacją poszłam do kościoła i poprosiłam księdza o modlitwę. Usłyszałam, że lista intencji jest już zamknięta i w mojej pomodli się za dwa tygodnie. A przecież na oddziale decyzje o operacji zapadały z dnia na dzień. To był kolejny cios. Były następne – większe, mniejsze. Każdy z nich sprawił, że z tej walczącej lwy stałam się bezsilną, bezbronną, kompletnie zagubioną kobietą. Z mężem działaliśmy jak firma logistyczna – planowaliśmy leczenie, wizyty, grafik opieki nad dziećmi. Zabrakło miejsca na nas. Myślałam, że mąż nie widzi we mnie kobiety, ja nie widziałam w nim mężczyzny.

Wasi rodzice wam pomagali?

– Zawsze. Bardzo pomagali nam przy starszym synu. Robili wszystko, żeby nas odciążyć, mimo że sami mieszkali w innym mieście, pracowali i mieli swoje obowiązki. Ja na szczęście umiem prosić o pomoc. Nie ma co czekać, aż ktoś się domyśli. Trzeba powiedzieć wprost: „Proszę cię, zrób mi rosół, bo nie mam kiedy iść do sklepu po zakupy i coś ugotować”. To mała rzecz, a może okazać się bardzo pomocna.

Co było dalej, po tym, jak mąż zdjął cię z balkonu?

– To było wieczorem. Na drugi dzień obudziłam się z pustką w głowie. Czułam się przezroczysta. Stwierdziłam, że nie mogę tak żyć, że muszę o siebie zawalczyć. Zadzwoeniłam do psychotraumatolog, którą ktoś mi polecił. Powiedziałam, że musi mi pomóc, bo nie dożyję następnego dnia. Zaczęłam terapię, później doszło leczenie farmakologiczne. To wszystko postawiło mnie na nogi.

Twój mąż musiał być przerażony twoim stanem.

– Myślę, że był, ale nie dawał mi tego odczuć. Ja zawsze byłam żywiołem, jestem z natury spontaniczna, on jest bardziej po-

bie nie widzę już ciebie. Nie chcę cię takiej widzieć i wiem, że ty też nie chcesz siebie takiej widzieć”. Kazała mi o sobie zawalczyć. Gdy wróciłam do domu, bardzo szczerze porozmawiałam z mężem. Powiedziałam, że gdy rodzi się chore dziecko, to zazwyczaj matka rezygnuje z pracy zawodowej, a ojciec zasuwa, ile może, żeby utrzymać rodzinę. Widzieliśmy wiele takich par w szpitalu. Zakomunikowałam, że ja tak nie chcę. W naszym życiu nie chciałam być tylko i wyłącznie mamą, choć to spełnienie marzeń i ogromny przywilej. Chciałam też być żoną, kobietą, dziennikarką, przyjaciółką. Jestem ambitna, wykształcona, potrzebowałam rozwijać się, być sprawczą, dostrzeżoną.

Postanowiłaś wrócić do mediów?

– Tak, ale nawet gdyby tam mi się nie udało, to mogłabym się podjąć każdej innej pracy.

Jak budowałaś to nowe życie?

– Wiem, że niektórym może być trudno uwierzyć w to, przez co przeszłam, bo dziś widzę na ekranie telewizora zawsze uśmiechniętą blondynkę z dobrą energią. Mimo że czułam się taka bezsilna, wyniszczona, to jednak gdzieś tliła się ta resztką siły do walki. Choć w pewnym momen-

Opiekując się młodszym – chorym – dzieckiem,
zawałam opiekę nad starszym. *Żyłam w ciągłym
poczuciu winy. Straciłam sens życia*

układany, dużo spraw w sobie tłumi, więc myślę, że było wiele rzeczy, o których mi nie mówił. Zagryzał zęby i brał to wszystko na klatę. Nie dość, że przejął opiekę nad dwójką malutkich dzieci, w tym jednym ciężko chorym, to jeszcze żona mu zachorowała, posypała się w drobny mak. To, że on to wszystko zniósł, że przetrwał, że nigdy nie wypominał i dał ogromne zrozumienie... (wzrusza się). Terapia bardzo mi pomogła i uświadomiła coś ważnego: dużo przeszliśmy z mężem, jesteśmy dla siebie wsparciem, mimo że czujemy się samotni w tym wszystkim, to nie jesteśmy sami, jakoś się uzupełniamy, ale jest wiele spraw, nad którymi musimy pracować.

Bardzo ważne było też dla mnie spotkanie z moją przyjaciółką. Nigdy nie zapomnę, co mi wtedy powiedziała: „Ja w to-

cie upadłam – bo nigdy nie powiem, że się poddałam – to jednak cały czas starałam się walczyć. Jak budowałam to nowe życie? Najważniejsze było to, że postawiłam granicę. Powiedziałam: „Nie chcę żyć w związku, w którym ja jestem w domu, a ty prowadzisz życie zawodowe, o jakim marzyłeś. Oczywiście kibicuję ci i chcę, żebyś się realizował, ale ja też mam swoje ambicje. Decyzja o tym, że zostajemy rodzicami, była naszą wspólną decyzją i bierzemy to rodzicielstwo z całym jego dobrem i ze wszystkimi jego wyzwaniami. Jesteśmy w tym razem. Dzielimy się obowiązkami i odpowiedzialnością”. Rozumiem, że są rodziny, które funkcjonują inaczej, i nie mnie je oceniać. Ja po prostu wiedziałam, jakiego życia nie chcę. Te dwa lata pokazały mi, że ja tak nie dam

radę. Dla mnie zamknięcie w domu to jak zamknięcie w klatce. Czułam, że z osoby empatycznej stanę się sfrustrowaną i obrażoną na cały świat matką. Nie chciałam taka być. Nie chciałam, żeby moi synowie widzieli mnie taką.

I wróciłaś do pracy w telewizji?

– Tak, ale nie od razu i nie było to proste. Przechodziłam przez różne rozmowy rekrutacyjne. W jednej z przodujących firm medialnych zaszłam bardzo daleko, ale na ostatnim etapie ktoś prześwietlił mnie w internecie i wpadł na profil mojego syna na Facebooku – Leo Supermocarz. Uznało, że moja rodzinna sytuacja dyskwalifikuje mnie i jednak nie jestem odpowiednią osobą, mimo że niewiele brakowało, żeby mnie tam zatrudnili...

Bo nie będzie można na tobie polegać?

– Tak. Ktoś założył, że nie będę w pełni dyspozycyjna. Wszystkim się wydaje, że jak ma się chore dziecko, to rodzic zawali pracę. A ja na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, odkąd wróciłam do pracy, przy dwóch dzieci, na palcach jednej ręki mogę policzyć sytuacje, w których zdarzyło się, że nie mogłam pojawić się w pracy. I nawet wtedy nigdy nie zostawiłam nikogo na lodzie, zawsze organizowałam zastępstwo. W końcu dopięłam swego i dostałam się do wymarzonej redakcji „Pytania na Śniadanie”. Zanim zostałam mamą, pracowałam bardzo intensywnie w newsach, od 9 rano do 20 wieczorem, 6-7 dni w tygodniu. Decydując się na macierzyństwo, wiedziałam,

że do newsów nie wrócę, nie dałabym rady godzić tych ról, więc chciałam iść bardziej w stronę lifestyle'u. Zresztą to zawsze mnie kręciło. Przez pierwszy rok po powrocie do pracy pracowałam właściwie na pensję niani. Na nic więcej nie wystarczało, ale uznałam, że warto. I uważam, że każdemu z nas wyszło to na lepsze – i mężowi, i dzieciom, i mnie. To była inwestycja we mnie. Dziś zarabiam nie tylko na wyspecjalizowaną, obytą ze sprzętem do rehabilitacji nianię, ale także na życie i spełnianie potrzeb i marzeń dzieci oraz naszego małżeństwa.

Mało się mówi o tym, jak praca jest ważna dla kobiet – nie tylko ze względów finansowych.

– Jest bardzo ważna. Praca to rozwój, ambicje, cel. Ważne są także pieniądze, one same przecież z nieba nie spadają. Dla mnie szczególnie ważne są spotkania z ludźmi, kontakt z drugim człowiekiem. Mnie to dużo daje, dużo czerpię od ludzi i staram się im jak najwięcej dobrego dawać. Zresztą widzę wielką zmianę w podejściu rodziców dzieci z niepełnosprawnością do samych siebie. Mówimy coraz głośniej o naszych potrzebach, nie tylko o potrzebach naszych dzieci. Kiedyś mówiliśmy tylko o tym, że potrzebujemy wsparcia dla dzieci, a dziś mówimy też o tym, że od czasu do czasu chcemy iść z mężem na randkę albo pojechać na rowerze. Kiedyś, gdy rozmawiałam ze znajomymi, dużo mówiło się o tym, że chore dziecko oznacza rozpad małżeństwa. I faktycznie, gdy byłam w szpitalu,

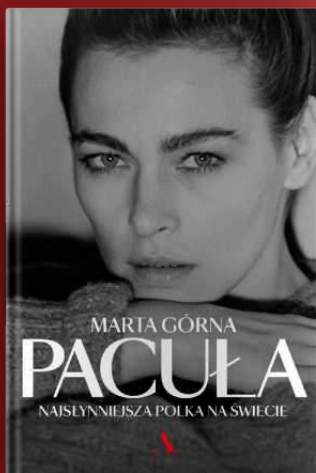
widziałam to – większość kobiet, z którymi rozmawiałam, była w rozsypce, chore dziecko i mąż, który zrezygnował z rodziny. Mówiły mi: „Fajnie, że twój mąż przychodzi, ale wiesz, że to nie potrwa długo. Nie przetrwacie, bo tu wszyscy się rozstają”. Nie chciałam tego słuchać, tych czarnych wizji. Nie było lekko, było mnóstwo kryzysów między nami. Różnych wizji na przyszłość. Ale udało się nam! Teraz naprawdę widzę w szpitalach dużo więcej ojców niż 13 lat temu. I znam dużo matek dzieci z niepełnosprawnościami, które pracują. Już nie chcemy być postrzegane jako te w workach pokutnych, które przepraszają, że żyją, i jeszcze bardziej przepraszają, że mają chore dziecko. Niektórzy oczekują, że będziemy się kłaniać, bo ludzie płacą podatki, które idą m.in. na opiekę nad naszymi dziećmi. Nie, nie będziemy się nikomu kłaniać. My też płacimy podatki. A w temacie dostępu do opieki medycznej, pomocy i systemowego wsparcia jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia, ale to temat na osobną rozmowę.

Jak wygląda teraz sytuacja? Powiedziałaś, że nie wszystkie prognozy lekarzy się sprawdziły.

– Leoś ma zespół krótkiego jelita – to jego podstawowa choroba, która powoduje, że jest żywiony pozajelitowo, czyli do żyły głównej. Dostaje odpowiednie mieszanki, które są podawane w trybie nocnym, co jest o tyle lepsze, że w dzień nie musimy już zabierać ze sobą pompy. Przypomina to kroplówkę. Ma też

OGŁOSZENIE

PREMIERA



PIĘKNA, UTALENTOWANA
I OWIANA AURĄ TAJEMNICY

**JOANNA
PACUŁA**

JEDYNA POLKA,
KTÓRA NAPRAWDĘ PODBIŁA
HOLLYWOOD

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

www.wydawnictwoagora.pl



Wydawnictwo
Agora

eprasa.pl 02c0e390bb



ANNA LEWANDOWSKA

- dziennikarka, prowadzi poranny program „Pytanie na Śniadanie” w TVP2. Pracowała także jako wydawczyni programów telewizyjnych i reporterka. Prywatnie – mama dwóch synów i miłośniczka zwierząt. Po mieście porusza się skuterem, a wolny czas spędza aktywnie – najchętniej na wodzie

Kobieta też ma prawo czuć się ważna, dowartościowana, spełniona, widoczna. *Ma prawo mieć swoje cele i marzenia*

gastrostomię, tak jak dziewczynka w filmie „Kopnęłabym cię, gdybym mogła”, czyli śladowe ilości jedzenia podajemy bezpośrednio do żołądka. Oprócz tego ma mózgowie porażenie dziecięce, epilepsję, obrzęki limfatyczne. Nie mówi, a tak bardzo chciałabym kiedyś usłyszeć „mamo”... Zrobiliśmy wszystkie dostępne na ten moment badania genetyczne, także w USA, nie wykryto żadnej wady genetycznej. To cenna informacja, także dla przyszłości naszego starszego syna, gdyby chciał mieć potomstwo. Po drodze pojawiły się różne inne problemy, ale też okazało się, że Leoś świetnie słyszy i bardzo dobrze widzi, choć musiał przejść operację na zaćmę. Nie cho-

dzi, ale porusza się na kolanach, jak małe dzieci, a w szkole specjalnej jeździ na wózku. Rusza rękoma, potrafi chwycić, chociaż w pewnym momencie usłyszeliśmy, że nie będzie tego robił. Ogromną rolę, oprócz rehabilitacji, odegrał tu nasz starszy syn Olek, który się z nim bawił, rzucał mu wytrwale piłkę, aż wypracowali funkcję chwytania.

Lwica w tobie zwyciężyła?

– Tak. Mam poczucie, że zawalczyłam o siebie i o nas – o moje dzieci i moją rodzinę. Ktoś powie – i zresztą dochodzą do mnie czasami takie głosy – że mnie jest łatwo, bo mam pieniądze, bo jestem „znaną panią z telewizji”. Naprawdę to nie było i nie jest

proste. I chyba w tej rozmowie to wszystko wybrzmiało.

Wiesz, jakie jest moje wielkie marzenie? Taki rodzinny klasyk: wyglądasz przez okno wiosną i widzisz całe rodziny na wycieczkach rowerowych. Albo wspólne wyjście na plażę. Tego raczej nie przeżyjemy razem. Leoś waży już 40 kg, więc noszenie go po plaży jest niemożliwe. A nasze kręgosłupy muszą być sprawne, Leo nas potrzebuje.

Dlaczego zdecydowałaś się opowiedzieć teraz swoją historię?

– Od kiedy raz na jakiś czas podejmuję publicznie temat wychowywania dziecka z niepełnosprawnością, dostaję ogromny odzew od kobiet, które też są w takiej sytuacji. Pytają, jak to zrobiłam, że wyszłam z domu, jakie były pierwsze kroki, jak porozmawiać z mężem, żeby go nie urazić, ale zawalczyć o siebie? Nie myślę o sobie, że powinnam być dla kogoś drogowskazem, nigdy też nie chciałam nikomu mówić, co ma robić i jak żyć. Nie czuję się kompetentna, żeby być czymś kompasem i wyznaczać mu cel. To też ogromna odpowiedzialność, a przecież każda historia jest inna. Ale zawsze szczerze odpowiadam na takie pytania. Opowiadałam też, jak dzielimy się opieką.

Mój mąż jest bardzo zaangażowanym, wspaniałym ojcem. Być może również dlatego, że zobaczył, co się ze mną działo, i widział, jak długo zajęło mi, żeby stanęła na nogi, wróciła do siebie i znów była tą dziewczyną, którą pokochał. Kluczowe jest to, żeby być w tych wszystkich ustaleniach konsekwentnym. I żeby wzajemnie szanować swoje potrzeby, żeby rozmawiać o nich. Nie wyobrażam sobie, żeby mój mąż powiedział mi: „Ty mniej zarabiasz, więc ty zrezygnuj”. No trudno, to żyjemy skromnie. Coś za coś. Kobieta też ma prawo czuć się ważna, dowartościowana, spełniona, widoczna. Ma prawo mieć swoje cele i marzenia. Dzisiaj świadomie opowiedziałam o moim macierzyństwie i życiu, które być może niektórych zaskoczy, ale chciałabym, żeby przede wszystkim było isierką nadziei dla innych matek. Dla tych wszystkich mam, które tak jak ja kiedyś zapomniały o sobie i straciły wiarę, że jeszcze mogą w życiu zająć świat. Dzięki „Wysokim Obcasom” dołączam również do osób, które mówią o swojej chorobie i długiej walce o siebie samą, by inni nigdy nie czuli się słabsi z powodu depresji. ▲

Od parkietu po tor wodny – wspólny wysiłek

Na parkiecie nie ma miejsca na przypadek. Każdy układ to matematyka ruchu i emocji – centymetry, tempo, kontakt wzrokowy. Rytm, strategia i żelazna konsekwencja są niezbędne nie tylko w tańcu, ale i na... wodzie. Jeśli coś nie zagra, widać to od razu. Kamil Mecha i Julia Tuchewicz spędzają godziny na treningach na parkiecie, a Maria Taczek doskonali technikę podczas wyczerpujących treningów wioślarskich. To bohaterowie akcji „Pomorze Zachodnie – Możesz wszystko”, kampanii pokazującej, że wielkie marzenia są w zasięgu każdego mieszkańca tego pięknego regionu.

Tworzą duet, w którym różnice są siłą. On wnosi energię i sceniczny błysk, ona precyzję i kontrolę. Zgranie nie polega na tym, że myślą tak samo. Polega na tym, że potrafią wykorzystać swoje mocne strony w tym samym momencie. Cztery lata wspólnych startów nauczyły ich czytać się bez słów. To tutaj, na Pomorzu Zachodnim, budują swoją markę jako para taneczna.

Reprezentując Danceclub Szczecin, coraz częściej wracają z turniejów z miejscami na podium. Ale najbardziej cenią moment, gdy po zejściu z parkietu wiedzą, że pokazali dokładnie to, co planowali.

– *Najwięcej zmieniło się w naszej świadomości – mówią. – Dziś tańczymy odważniej. Wiemy, kiedy zaryzykować, a kiedy zaufać technice* – podkreślają.

ICH CEL JEST KONKRETNY: ŚWIATOWA CZOŁÓWKA

Podobny ma Maria Taczek. Na Pomorzu Zachodnim sport często zaczyna się na jeziorach, Odrze, Zalewie. Maria Taczek wybrała

wioślarstwo, bo w tej dyscyplinie wszystko jest czytelne: rytm, wysiłek, wynik: albo tódź płynnie szybciej, albo nie. Zawodniczka AZS Szczecin, brązowa medalistka Młodzieżowych Mistrzostw Europy i mistrzyni Polski z 2025 roku, buduje swoją pozycję spokojnie, bez medialnego szumu. Z treningu na trening, z sezonu na sezon.

– *Najbardziej motywuje mnie progres* – podkreśla. – *Ten moment, kiedy czuję, że wchodzę na wyższy poziom i mogę utrzymać tempo do końca* – dodaje.

Jej specjalnością jest konsekwencja. Analizuje starty, pracuje nad detalem, poprawia to, co dla widza często pozostaje niewidoczne. To właśnie tam, w tych drobnych korektach, rodzi się przewaga.

Trójka młodych sportowców, trzy różne temperamenty i jedna wspólna cecha: myślenie długodystansowe. Nie opowiadają o marzeniach. Opowiadają o planach i systematycznie je realizują.



Kamil Mecha i Julia Tuchewicz



Maria Taczek

„MIŁOŚĆ, KTÓRA ZOSTAJE”,
reż. Hlynur Pálmason, w kinach

FILM

Miłość po islandzku

Zacznijmy od tego, że grająca w tym filmie Panda, islandzki pies pasterski (suka pasterska?), dostała w Cannes w zeszłym roku nagrodę Palm Dog. To nagroda przyznawana psom za wybitne kreacje na wielkim ekranie. Panda, gwiazda filmu islandzkiego reżysera Hlynura Pálmasona, w pełni na tę nagrodę zasłużyła. A teraz żarty na bok, bo „Miłość, która zostaje”, choć pełna jest subtelного humoru, to opowieść, która zasługuje na poważne omówienie.

Historia dzieje się na islandzkiej prowincji i już to może przyciągnąć do kina – opowieść o rodzinie, która się rozpada, ale jakoś nadal próbuje funkcjonować, toczy się na tle oszałamiającej, surowej natury. Jesteśmy na wichrowym klifie, z którego widok rozciąga się na morze, w nieskończoność, i w górach, które przecinają wartkie potoki, w lasach, gdzie rosną jagody i grzyby. I śledzimy losy rodziny, która żyje w małym domu na skraju lasu – tę rodzinę tworzy matka, troje dzieci i ojciec, który jest rybakiem i pracuje na kutrze, więc gdy wypłynie, nie ma go wiele dni. Ale też szybko dowiadujemy się, że małżonkowie niedawno postanowili żyć w separacji, choć spędzają czas razem ze względu na dzieci. Podejrzewać możemy, że nie rozstali się na ostrzu noża, bo widzimy, że tli się tam jeszcze miłosny ogień, ale przygasał zduszony zbyt wieloma problemami.

Sądzę, że każde zdanie, które napiszę o tym filmie, skazane jest na pewną banalność. Na przykład, że jest to film o tym, co ważne w życiu. Albo, że w czuły sposób pokazuje, jakie walki toczymy na co dzień w rodzinie. Albo, że nie zauważamy tego, co dobre, aż jest za późno. Albo, że te wszystkie małe rzeczy, które robimy razem z bliskimi – np. gotowanie

dżemu – są absolutnie fundamentalne i ważne, i nadają życiu sens. A jednocześnie ten film nie jest ani trochę banalny, a jeśli jest sentymentalny, to w sposób zupełnie niedrażniący. Jest zabawny i poruszający. Hlynur Pálmason pokazuje nam życie codzienne, które nie jest łatwe, jest w nim dużo frustracji, ale są też momenty cudowne, a nawet chwile oszałamiającego piękna.

Anna (zjawiskowa Saga Garðarsdóttir) jest artystką wizualną, która tworzy sztukę wyrastającą z kontaktu z ziemią, naturą i próbuje przebić się w skomercjalizowanym świecie galerii sztuki nowoczesnej. Pálmason rewelacyjnie rozgrywa wątek odwiedzin w jej pracowni nabzdyczonego, prze-mądrzałego kuratora, pozbawionego kręgosłupa moralnego i odrobiny przyzwoitości. Anna ma trójkę dzieci i psa, i cały dom na głowie; czasami jest tak zmęczona, że i metaforycznie, i dosłownie pada na twarz. Mąż mieszka osobno, ale często zagląda. Jednak związek ten poniósł porażkę, zawiódł nadzieje ich obojga, choć tak wiele wskazywało na to, że pasują do siebie idealnie.

Można powiedzieć, że ot, zwykła historia rodzinna. Ale wyjątkowość tego filmu polega na języku, jakim opowiada ją Hlynur Pálmason – balansując pomiędzy rzeczywistością oglądaną z zewnątrz i rzeczywistością wewnętrzną bohaterów. Film kręcił na taśmie i jego obraz ma w sobie ten walor materialny – zaszyte w sobie żywe światło. Chwilami dzieje się tu rzeczy zupełnie niezwykle – sny, lęki albo pragnienia urzeczywistniają się w obrazie. Reżyser nie stawia kropek nad „i”, nie dociska kolanem znaczeń, wierzy w inteligencję widzów, że zrozumieją i wyczują, co tu tak naprawdę się dzieje – to takie odświeżające! ▲ (Paulina Reiter)

KSIĄŻKA

Grzybnia literacka



Rzecz niezwykła i szczególnie apetyczna dla polskiego czytelnika – powieść, której akcja toczy się w Puszczy Białowieskiej, napisana przez Amerykankę, wybitną tłumaczkę m.in. powieści Olgi Tokarczuk (za tłumaczenie „Biegunów” została wraz z autorką odznaczona Międzynarodową Nagrodą Bookera), opowiadająca – na poziomie narracji – o zjeździe tłumaczy w domu wybitnej pisarki Ireny Rey, w celu przetłumaczenia jej powieści „Szara eminencja”. Tymczasem pisarka już na początku znika w tajemniczych okolicznościach. Czy do jej zaginięcia przyczynił się mąż Bogdan? A może to sprawa Rosjan? Czy komuś zależy na jej śmierci i celem mogą stać się również tłumacze (jak w przypadku Salmana Rushdiego)? Pod płaszczykiem kryminału i dowcipnej literackiej zabawy odnajdziemy całkiem poważne rozważania na temat przekładu literackiego, kultu twórcy, natury współpracy, na temat literatury i wyniszczenia przyrody. Grzyby i grzybnie pojawiają się tu nie tylko na stole i w lesie, ale i metaforycznie. Czy charyzmatyczna, wielbiona przez tłumaczy Autorka nosi cechy Olgi Tokarczuk? Kto wie, kto wie... ▲ (Paulina Reiter)

JENNIFER CROFT „Wymieranie Ireny Rey”, przekład Kaja Gucio, wyd. Pauza

FILM

Punkowa panna młoda



„Wolałbym nie”, „I would prefer not to” – powtarza konsekwentnie i po wielokroć kopista Bartleby, tytułowy bohater słynnego opowiadania Hermana Melville’a. Teraz po tę znaną frazę sięgnęła Maggie Gyllenhaal, reżyserka i scenarzystka filmu „Panna młoda” z Jessie Buckley i Christianem Bale’em, tworząc własną wersję „Narzeczonej Frankenstein”, w której tytułowa bohaterka w podobnie stanowczy sposób odmawia wypełniania roli, do której ją stworzono. Jej bunt nie jest co prawda cichy, ale kiedy Buckley jako tytułowa Panna Młoda wypowiada swoją kwestię, jest w niej podobna cicha determinacja jak u Bartleby’ego.

„Spotkałam na imprezie gościa, który na całym przedramieniu miał wytatuowaną Narzeczoną Frankenstein” – opowiadała Gyllenhaal w programie The View, w stacji ABC. „Pomyślałam sobie: »kto to? Co to?«. Wróciłam do domu, obejrzałam film. Narzeczonej Frankenstein jest w filmie »Narzeczonej Frankenstein« przez dwie minuty i nie wypowiada ani jednego słowa. Budzi się i daje tylko jasno do zrozumienia, że nie jest zadowolona, co musiało być dość radykalne w 1935 r. Wciąż zresztą jest” – mówiła Gyllenhaal, opowiadając o tym, co zainspirowało ją do nakręcenia własnej – punkowej, ambitnej i wizualnie porywającej wersji tej historii. Podobnie jak Elsa Lanchester w filmie Jamesa Whale’a, Jessie Buckley u Maggie Gyllenhaal także występuje w podwójnej roli – Panny Młodej i Mary Shelley, angielskiej poetki i pisarki okresu romantyzmu, która w 1818 r. wydała swoją książkę „Frankenstein”, gotycką powieść o naukowcu Wiktorze Frankensteinie, który próbując rozwikłać zagadkę śmierci, tworzy i ożywia przypominającą człowieka istotę. Zabawa w Boga dla wszystkich kończy się jednak tragicznie.

W przeciwieństwie do pierwowzoru jednak Pannie Młodej buzia się niemal nie zamyka. Jest wygada-

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WERSZ

Kiedy już będzie po ptakach

*moja siostra i ja
zamienimy się w grzyby
wszystko mamy przygotowane usunięte
podwójne spirale
schowane pod zlewem moje kapelusze
jej hymen hodowany w słoiku z gazą
na hymenofor. Czekamy
na zielone światło*

*nasza sytuacja jest dobra ponieważ jest stabilna
nasza sytuacja jest dobra ponieważ jest stabilna
nasza sytuacja jest dobra ponieważ jest stabilna*

OLGA JUSKOWIAK jest poetką i graficzką.

Wiersz pochodzi z jej debiutanckiego tomu „Zamawiamy gofry” (wyd. Dom Literatury w Łodzi).

MAGDALENA KILARSKA RYSUJE



na, głośna, bezkompromisowa, a do tego inteligentna.

„Panna młoda!” oszałamia nie tylko ekstrawagancką scenografią, ale przede wszystkim aktorskim popisem Jessie Buckley, tegorocznej oscarowej faworytki. Dziarsko dotrzymuje jej kroku Christian Bale, któremu udaje się pokazać głębię budzącego odrazę w ludziach Frankenstein. Jego Frank jest jednocześnie trochę zagubiony, nieporadny, ale sprokowany przerażeniem w monstrum, które widzieli w nim inni. Na drugim planie mamy zna-

komitą Annette Bening, Penélope Cruz, Petera Sarsgaarda i Jake’a Gyllenhaala. Skoro Maggie Gyllenhaal dała swojej bohaterce głos, musiała się jednak upewnić, że ta zrobi z niego dobry użytek. Jej „wolałabym nie” wybrzmiewa więc dobitnie w kontekście zgody i jej braku, stawiania granic, czy przemocy seksualnej wobec kobiet. Nie zrobiła tego nachalnie, po prostu stworzyła bohaterkę, której przychodzi to naturalnie. ▲ (Joanna Wróżyńska)

„PANNA MŁODA!”, reż. Maggie Gyllenhaal, w kinach



Moralność czujemy pod skórą

Nasze sumienie lubi zapach mydła i krzywi się na widok brudu. Bywa lepkie. Dlatego czasem łatwiej umyć ręce, niż przyznać się do winy

TEKST **OLGA WOŹNIAK**

Lubimy idealizować moralność. Myślimy o niej jak o temacie wielkiej, zakurzonej książki, którą studiują sędziowie w togach i filozofowie o siwych brodach. Albo wyobrażamy ją sobie jako zestaw paragrafów, które powinny regulować nasze postępowanie. W rzeczywistości jednak moralność mieszka w nosie, gardle i w żołądku, a nasz mózg nie widzi większej różnicy między podłym człowiekiem a zgniłym mięsem.

FIZJOLOGIA WSTRĘTU

Zacznijmy od tego, że to był prawdziwie niesmaczny eksperyment. Rok 2009, Hannah Chapman na Uniwersytecie w Toronto prosi ochotników, by spróbowali czegoś obrzydliwego. Potem pokazuje im zdjęcia brudnych toalet, paprzących się ran. Na koniec funduje im dawkę „moralnej nieczystości”: niesprawiedliwe potraktowanie w grze ekonomicznej.

Wynik? Za każdym razem – niezależnie od tego, czy ochotnicy doświadczały smaku goryczy, byli wystawieni na widok bru-

du czy mieli poczucie niesprawiedliwości – sensory przyczepione do ich twarzy wykazywały aktywację tego samego mięśnia: poruszał się *levator labii superioris*. To ten, który podciąga naszą górną wargę i marszczy nos w grymasie: „To obrzydliwe. Wyrzuć to, nie jedz, zaszkodzi ci”.

Bo wbrew temu, co nam się wydaje, kiedy myślimy o sobie jako o istotach, które kierują się etyką, nasze poczucie moralności powstało na fundamencie układu pokarmowego. Obrzydzenie moralne to po prostu „Wstręt 2.0”. Słysząc to do-

brze, kiedy mówimy, że czyjeś zachowanie jest „niesmaczne” albo że „robi nam się niedobrze” na myśl o korupcji. Bronimy swojej godności tak samo, jak nasze ciało broni się przed zatruciem pokarmowym, a nasz organizm traktuje kłamcę tak, jak toksynę, którą trzeba wypluć.

EFEKT LADY MAKBET

Skoro niemoralność jest brudem, to czy można ją zmyć mydłem? Taką intuicję miał Szekspir, każąc Lady Makbet rozpaczliwie szorować dłonie z krwi, której już dawno nie było. Nauka nazywa to dziś „efektem Lady Makbet”, ale ten gest jest znacznie starszy.

Pamiętacie Poncjusza Piłata? Rzymski prefekt wydał wyrok na Jezusa i kazał podać sobie misę z wodą, by wobec tłumu publicznie „umyć ręce”. Myślimy o tym, jak o teatralnym geście, sprytnym uniku polityka. Współczesna nauka uważa jednak, że Piłat nie tylko oszukiwał innych – on próbował oszukać własny układ nerwowy.

Dwójka psychologów, Chen-Bo Zhong z Rotman School of Management na Uniwersytecie w Toronto oraz Katie Liljenquist z Marriott School of Business w Utah, udowodniła, że związek między „czystym sumieniem” a „czystymi rękami” jest niemal dosłowny. Opisałi to w magazynie „Science”. Uczestnicy ich eksperymentu mieli przypomnieć sobie coś, co kiedyś zrobili złego lub dobrego, a na koniec wybrać jeden z prezentów: antyseptyczną chusteczkę albo długopis/olówek. Po przypomnieniu sobie nieetycznego czynu ludzie dwa razy częściej brali chusteczkę niż coś do pisania. Co więcej, fizyczne umycie rąk przynosiło im ulgę – redukowało poczucie winy do tego stopnia, że po wyjściu z łazienki rzadziej czuli potrzebę... pomocy innym. Jakby czysta skóra załatwiała też sprawę czystości moralnej.

PULAPKA DOBROCI

Sprawa zaczyna się komplikować, kiedy zdamy sobie sprawę, że nie wszyscy mamy takie samo prawo do moralnych potknięć. Nie wszystkim wolno „zmyć” winę jednym gestem i wrócić do gry. Są tacy, od których oczekuje się czystości permanentnej. To kobiety.

Istnieje ciche, niepisane porozumienie głoszące, że to kobiety są strażniczkami moralności. Że jesteśmy z natury bardziej empatyczne, łagodniejsze, bardziej skłon-

ne do poświęceń. I faktycznie, badania prof. Jessiki Kennedy z Owen Graduate School of Management na Uniwersytecie Vanderbilta w Nashville potwierdzają, że kobiety wykazują silniejszy opór wobec nieetycznych praktyk. Częściej mówią „nie”, gdy w grę wchodzi oszustwo. Ale – o ironio! – ta „moralna wyższość” jest też pułapką.

Ponieważ świat oczekuje od nas zachowań etycznych, nie wybaczają, gdy się potknijemy. Mężczyzna, który gra nieczysto, to „rekin biznesu” albo „sprytny gracz”. Kobieta w tej samej sytuacji to „potwór”, osoba, która sprzeniewierzyła się swojej naturze.

Jesteśmy oceniane surowiej, bo wmówiono nam, że moralność to immanentna cecha naszej płci. Tymczasem moralność to wybór, a nie efekt działania chromosomów. Asertywne „nie” powinno być naszym prawem, a nie obowiązkiem, za który płacimy cenę wykluczenia, gdy czasem przedłożymy siebie ponad „większe dobro”.

Ale może to w ogóle złe podejście. Może problem nie polega na tym, kto ma być moralny bardziej, a kto mniej. Może źródło etyki nie tkwi ani w płci, ani w społecznej roli, tylko w czymś znacznie bardziej pierwotnym i intymnym – w relacji, jaką mamy sami ze sobą.

CIAŁO, KTÓRE WYBACZA

Bo co, jeśli powiem wam, że klucz do bycia „dobrym człowiekiem” nie leży w czytaniu mądrych książek, realizowaniu ról społecznych, ale w tym, jak traktujemy własny brzuch, uda i zmarszczki pod oczami?

Badania nad postawą życzliwej akceptacji siebie (self-compassion), prowadzone m.in. przez prof. Kristin Neff, psychologę z Uniwersytetu Teksasu w Austin, pokazują, że ludzie, którzy lubią swoje ciało – ze wszystkimi jego niedoskonałościami, słabościami i procesami starzenia – są bardziej moralni w kontaktach z innymi. Prof. Neff wykazała, że czułość wobec siebie nie rozmiękcza kręgosłupa moralnego – przeciwnie, daje mu stabilność. Dlaczego? Bo moralność wymaga miejsca w środku. A jeśli wypełnia je nienawiść do własnego ciała, cały twój zasób uwagi pochłania mechanizm obronny. Ludzie odcięci od akceptacji siebie częściej stosują projekcję – przerzucają własny wstyd na innych. Są bardziej skłonni do surowego oceniania otoczenia, bo to odwraca uwagę od ich własnego poczucia „bycia niewystarczającym”.

Akceptacja ciała to fundament etycznej miękkości. Ale miękkość nie oznacza

łatwości. Moralność brzmi przekonująco, dopóki jest opowieścią, a nie działaniem. Dopóki trzymamy mikrofon, a nie dzwignię.

PARADOKS DZIAŁANIA

Jesteśmy świetnymi teoretykami moralności. Zapytani o „dylemat wagonika” – czy przestawić zwrotnicę tak, by nadjeżdżający wagonik zabił jedną osobę, a nie pięć – zazwyczaj wybieramy mniejsze zło. Ale kiedy naukowcy przenoszą te dylematy do rzeczywistości wirtualnej, gdzie te pojedyncze ofiary mają twarze, głosy i błagalnie patrzą nam w oczy, nasze przekonania sypią się jak domki z kart.

Działamy wbrew temu, co sami uznajemy za dopuszczalne. Dzieje się tak dlatego, że w sytuacji stresu ośrodek decyzyjny przenosi się z kory przedczołowej, w której mieszka rozum, do ciała migdałowatego, czyli do mózgowego centrum emocji. A ono zaciąga „emocjonalny hamulec”.

I właśnie dlatego potrzebujemy języka. Bo skoro w chwili próby włączają się w nas reakcje bardziej instynktowne niż racjonalne argumenty, to rozmowa staje się treningiem. Przestrzenia, w której możemy nazwać to, co w ciele działa szybciej niż myśl.

JĘZYK, KTÓRY WIDZI

Ważne jest, by nie przestać rozmawiać o etyce jak o czymś żywym. Język, którego używamy do opisu dobra i zła, buduje nasze przekonania. Jeśli będziemy mówić o etyce jedynie w kategorii kar i nagród, zgubimy to, co najważniejsze: ten „niesmak” w ustach, który jest naszym najlepszym kompasem. Przeintelektualizujemy odczucia płynące z naszych trzewi.

Nie bójmy się swojej biologii. Nie bójmy się tego, że nasze sumienie lubi zapach mydła i reaguje na zepsute jedzenie. To właśnie czyni naszą moralność ludzką, ściągając ją z pomnika i ucieleśnia.

Bycie dobrym to nie jest certyfikat, który dostaje się raz na zawsze. To nieustanny dialog z własnym ciałem, z własnym wstrętem i – przede wszystkim – z własnym odbiciem w lustrze. Bo świat nie potrzebuje ludzi idealnie moralnych. Bardziej potrzebni są mu ci, którzy podchodzą z czułością do własnych i cudzych słabości. ▲

Nasza zamczystość

Architekci mówią, że to wsteczniactwo.
Naukowcy załamują ręce. Prawnicy badają,
czy zamki powstają zgodnie z prawem.
A Polacy i tak tłumnie jeżdżą je odwiedzać

Kontrowersyjny zamek
w Stobnicy

Z KUBĄ SNOPIEM, URBANISTĄ
I BADACZEM ARCHITEKTURY,
ROZMAWIA KATARZYNA PAWŁOWSKA

Wystawa, którą otwierasz 27 marca w Zamku Królewskim w Warszawie, nosi tytuł „Ostatni Zamek” i poświęcona jest pojęciu, które sam wymyśliłeś – zamczystości. Co to za pomysł?

– Kilka lat temu doszedłem do wniosku, że w Polsce buduje się bardzo dużo zamków. I to nie tylko nowych, powstających od zera, jak Stobnica czy Zamek Królewski w Poznaniu. Jest też ogromny ruch budowlany – rekonstrukcyjny, remontowy, przebudowy, dobudowy. Ludzie nawet „zaczają” swoje domki na działkach!

Zacząłem to badać i okazało się, że Polacy tak naprawdę nie budują zamków. Oni generują wokół siebie zamczystość.

Co to znaczy?

– Zamczystość polega na tym, że zamek interesuje nas nie jako zabytek, ale jako pewnego rodzaju obraz, który wytwarzamy. Inaczej mówiąc, to właściwość obiektu architektonicznego, która pozwala społecznie rozpoznać go jako zamek – ze względu na nazwę, formę, usytuowanie – niezależnie od autentyczności obiektu, prawdy historycznej, wieku i pierwotnej funkcji. Coś wygląda jak zamek, kojarzy się z zamkiem – ale nie musi być prawdziwym zamkiem.

Sam to słowo wymyśliłeś?

– Rozmawiałem z różnymi osobami o zamkach i one zaczęły mówić: „Ta budowla jest całkiem zamczysta”. Warto wiedzieć, że po staropolsku określało się tak coś, co ma duży zamek w drzwiach (np. zamczysta furta, zamczysta brama). Dodałem znaczenie związane z zamkiem-budowlą do słowa, które kiedyś już istniało.

A czym jest ta nasza wizja zamku? Skąd pochodzi?

– Moja hipoteza jest taka, że ludzie mają pewne wyobrażenie o zamku, ukształtowane przez historię, szkołę, a w obecnych czasach, w III Rzeczypospolitej, przede wszystkim przez popkulturę. Ten archetyp jest bardzo konkretny. Na wystawie opisuję go przez dziesięć elementów – im więcej z tych kryteriów spełnia budowla, tym bardziej jest zamczysta. Taki wniosek powstał na podstawie badań: mój zespół przeanalizował 99 wizerunków najpopularniejszych zamków w światowej popkulturze. Braliśmy pod uwagę zamki istniejące – takie jak Neuschwanstein, Carcassonne, Pierrefonds – ale też zamki wymyślone, znane z „Gry o Tron” czy z gier komputerowych.

Moim zdaniem najbardziej znanym na świecie polskim zamkiem jest Kaer Morhen – zamek Wiedźmina. Nie istnieje, ale „Wiedźmin” jest tak bardzo popularny jako gra, że podejrzewam, iż więcej ludzi na całym świecie kojarzy Kaer Morhen niż Malbork.

Skoro zamczystość jest ważniejsza niż autentyczność – to co tak naprawdę budujemy, kiedy budujemy zamek?

– Zamek jest przede wszystkim przekazem. Nie tyle budowlą, ile wielkim logotypem albo totemem. Ktoś, kto go buduje, przekazuje pewne wartości. Zamek Królewski w Warszawie odbudowano, żeby pokazać, że Feniks powstał z popiołów. Wawel został przebudowany w bardzo fantastycznym stylu – mało kto spośród niespecjalistów wie, że większość kostiumu architektonicznego Wawelu to kreacja Adolfa Szyszko-Bohusza z lat 20. i 30. XX wieku.



Zamek Królewski w Poznaniu



MSN w Warszawie



Plac Pięciu Rogów w Warszawie

Dla mnie stolicą polskiej zamczystości jest Poznań. Ma dwa nowe zamki. Pierwszy został wzniesiony na początku XX w. dla ówczesnego cesarza Niemiec, dziś pełni rolę ośrodka kultury. Drugi powstał prawie dokładnie 100 lat później, po to, żeby zaznaczyć polskość miasta w opozycji do niemieckiego dziedzictwa. W teorii była to rekonstrukcja istniejącego tam rzeczywiście w średniowieczu zamku. W praktyce źródła historyczne były tak skąpe, że trzeba było od nowa wyobrażać sobie, jak mógł wyglądać.

Zamek jako taki, opowiada historię zorientowaną w stronę odległej przeszłości. Skok do przeszłości tak odległej jak średniowiecze pozwala odciąć się od współczesnych konfliktów, znaleźć się w miejscu zupełnie bezpiecznym.

Czy zamczystość niesie ze sobą konkretne wartości?

– Właśnie to mnie najbardziej niepokoi. Kultura rycerska, magnacka, honor, męstwo – to nie są wartości, które uważam za



Od lewej: Podgrodzie (woj. małopolskie). Budynek wzorowany na francuskich „chateau”. Pośrodku: wjazd na teren ROD Bajki, Wrocław. Po prawej: Niedokończona budowa w Dębince (woj. lubuskie). Gabaryty zamku odpowiadają wymiarom typowego domu mieszkalnego

najważniejsze w XXI w. Jakie jest miejsce kobiety w zamku? Co oznacza dziś rycerskość?

Jeżeli żyjemy w kraju, który tak strasznie hołubi tę zamczystość, to mocno wpływa to na kulturę.

Wspomniałeś Stobnicę i Poznań jako przykłady kontrowersyjne.

– Kiedy zawiązał się komitet odbudowy Zamku Królewskiego w Poznaniu, temat był roztrząsany na wszystkie możliwe sposoby. Czy można rekonstruować obiekt, o którym tak mało wiemy? Czy istniejące relikty archeologiczne nie są ważniejsze? Czy w XXI w. warto inwestować tyle pieniędzy w coś tak anachronicznego jak zamek? W końcu, jaka ma być jego funkcja? Podobne pytania pojawiały się w przypadku innych odbudów: Korzkwi, Tykocina, Bobolic. Powstały dekadę później zamek w Stobnicy wzbogacił tę dyskusję o kolejne pytania: o ochronę przyrody, o sposób wydawania pozwoleń na budowę, nawet o to, że budowa zamku jest widocznym symbolem rozwarstwienia ekonomicznego.

Mamy więc kontrowersje prawne, środowiskowe, etyczne. Do tego dochodzą kontrowersje branżowe – architekci mówią, że budowanie zamków to wsteczniactwo. Zamki w ogóle funkcjonują poza oficjalnym obiegiem architektury – prasa specjalistyczna rzadko o nich pisze, magazyny opisujące trendy – też.

Mnie najbardziej interesuje, co tak nas pociąga w zamkach. Jeżeli to wszystko jest tak strasznie kontrowersyjne, jeżeli jest sprzeczne z wszelkimi zasadami – to dlaczego i tak je budujemy?

Większość zamków w Polsce to tak naprawdę sztuczne twory?

– To trudne pytanie, bo tu wchodzi się w spory naukowe, które nigdy się nie kończą. Można jednak wyróżnić w podejściu do budowy zamków kilka nurtów. Pierwszy to rekonstrukcja naukowa: naukowcy analizują przeszłość, spierają się i efektem końcowym jest zamek w mniej więcej takiej postaci, w jakiej istniał np. w średniowieczu. Naukową rekonstrukcją jest Zamek Królewski w Warszawie, Zamek Ujazdowski czy Malbork. Zresztą

Malbork to prawdopodobnie najdłużej trwająca rekonstrukcja na świecie – odbudowywano go przez 200 lat.

Na drugim krańcu spektrum jest budowa od zera. Inwestorzy szukają historycznego uzasadnienia: mówią, że w tym miejscu leżał kamień, więc zamek trzeba odbudować. Ale to zazwyczaj zupełnie nowa inwestycja, rzadko poparta badaniami. I jest trzecia kategoria – ta mnie najbardziej interesuje: wszystko pomiędzy poprzednimi dwiema. Mój zespół naliczył w Polsce około 550 zamków i zamczystych budowli. Z tego 350 to budynki, które istnieją fizycznie. Można je odwiedzić. W około 100 obiektach w ostatnich latach coś się działo, trwał jakiś ruch budowlany. Czasem są to delikatne zmiany: dobudowanie windy, platformy widokowej. Ale czasem np. odbudowuje się wieżę. Fotografka Marta Ejsmont sportretowała kilka takich inwestycji. Za każdym razem efekt końcowy sprawia wrażenie, jakby to była zupełnie nowa budowla.

A czy te nowe zamki pełnią jakieś konkretne funkcje?

– Muzeum, hotel, rezydencja, sklepik z pamiątkami. Natknąłem się na wywiad z samorządowcem, którego pytano o funkcję zamku remontowanego w jego gminie. Odpowiedział, nieco rozdrażniony: „Funkcją zamku jest zamek”. I to jest, moim zdaniem, najlepsza odpowiedź.

Z zewnątrz budowla ma być zamczysta; co jest w środku – to sprawa trzeciorzędna.

Czym właściwie różni się zamek od pałacu?

– Pałac jest przede wszystkim rezydencją: wygodny do mieszkania, ma duże okna. Wiele zamków przebudowano na pałace. Zamek Królewski w Warszawie w zasadzie nim jest. Pałacowość jednoznacznie kojarzy nam się z życiem elit, zamczystość jest wielowarstwowa.

Co dokładnie oznacza?

– Największym paradoksem zamku-symbolu jest to, że kojarzy się jednocześnie ze sprawami poważnymi i z błahostkami. Z jednej strony to obrona, przeszłość, tożsamość; Polska – przede wszystkim chrześcijaństwo, tragiczna historia Zamku Królewskiego



w Warszawie. Ale z drugiej strony zamek to miejsce z bajki, zabawa, dzieciństwo, zabawki Lego, filmy Disneya, zamki z piasku nad Bałtykiem.

Ten szeroki zakres symboliczny, od rzeczy bardzo poważnych do zupełnie niepoważnych, sprawia, że zamek jest tak mocnym komunikatem. Odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie

była niezwykle ważnym wydarzeniem społecznym. Mamy teraz odbudowę Pałacu Saskiego – będzie kosztować fortunę, ale nie wzbudziła wielkiego rezonansu społecznego.

Coraz częściej architektura odwołuje się do symboliki, tworzącej tożsamość. To nie jest tylko polska specyfika, prawda? – Od kiedy okazało się, że „koniec historii” głoszony przez Fukuyamę nie nadszedł, że liberalna demokracja nie jest końcowym etapem – architektura na całym świecie odzyskała rolę, której nie miała przez ostatnie 30 lat: kreowanie tożsamości.

Każdy kraj wybiera sobie inną typologię. Donald Trump wraca do architektury imperialnej: kolumny, białe fasady. Macedonia wymyśliła sobie styl nawiązujący do Aleksandra Macedońskiego. Niemcy zrekonstruowali cały Poczdam i zamek w centrum Berlina – można powiedzieć, że tym, co łączy Niemców i Polaków, jest miłość do zamków. Rosjanie odbudowują cerkwie zniszczone przez Stalina.

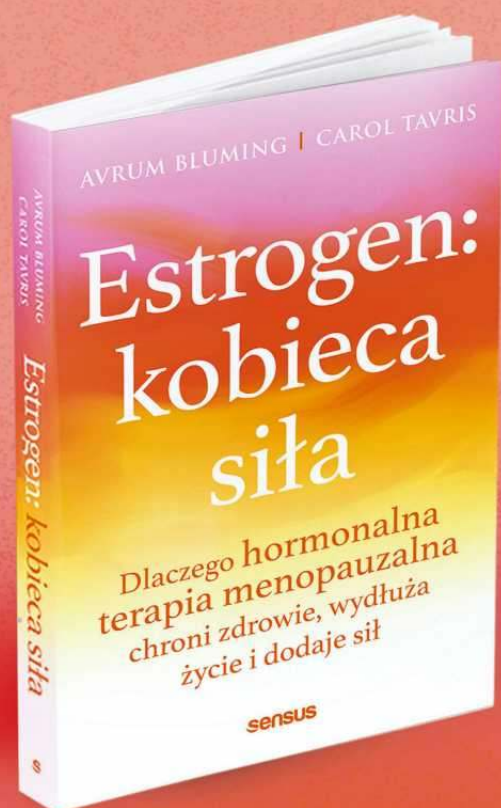
W Polsce tym nośnikiem tożsamości jest zamek.

Architektura stała się tożsamościowa, a więc polityczna?

– Tak. W czasie kampanii prezydenckiej Rafała Trzaskowskiego „oberwało się” temu budynkowi, w którym siedzimy, czyli Muzeum Sztuki Nowoczesnej – i to była część tego samego procesu. 10 lat temu wszyscy by zignorowali coś takiego albo by powiedzieli: podobą mi się albo nie. Teraz estetyka neomodernistyczna, europejska, minimalistyczna została sklejona z liberalno-lewicową postawą polityczną. Tak samo jak populistyczna prawica skleja się z architek-

OGŁOSZENIE

sensus



**Twoje zdrowie
w czasie menopauzy.
Spokojnie, rzetelnie,
z empatią**

NOWOŚĆ!

Do nabycia na www.sensus.pl
i w dobrych księgarniach!

turą tradycjonalistyczną, historyzującą. Choć mam wrażenie, że prawica robi to bardziej świadomie.

Ta tożsamościowość czy polityczność architektury pojawia się coraz częściej. Czy konflikty wokół nowych, wielkich projektów publicznych to polska specyfika?

– Ikona kontrowersji architektonicznej jest Centre Pompidou w Paryżu. Budynek wybudowany w historycznym centrum w stylu high-tech – wywrócony na lewą stronę, wszystkie instalacje ma na fasadzie. Do dziś istnieją grupy, które chcą go zburzyć i postawić coś bardziej „wpisanego w kontekst”. Powód jest prosty: na początku XX w. nastąpiła rewolucja estetyczna w architekturze. Modernizm, high-tech, postmodernizm – to jest po prostu inny język niż architektura sprzed I wojny światowej. I ten rozdział powoduje kontrowersje.

To jednak było dawno lat temu. A w Warszawie do dziś protestujemy przy każdym większym przedsięwzięciu architektonicznym czy urbanistycznym.

– Warszawa jest najnowszym wielkim miastem na Starym Kontynencie. Miastem, które ciągle się odbudowuje. Jednocześnie leży w Europie, gdzie ma się do historii bardzo duży, może zbyt duży szacunek. A to się konfliktuje z koniecznością budowania miasta. Stąd stały zgrzyt przy każdej zmianie.

Co ciekawe, te kontrowersje nie dotyczą tylko rozbiórek starej architektury, ale również tej względnie nowej. Kiedy miało zostać rozebrane multikino na Ursynowie – były kontrowersje. Plac Pięciu Rogów rozgrzał mieszkańców do czerwoności. Żyjemy w środowisku, w którym każda zmiana wywołuje zgrzyt.

Ale potem się przyzwyczajamy...

– Plac Pięciu Rogów był pilotem nowego centrum Warszawy. Urząd miejski wyciągnął z tej awantury wniosek: Warszawiacy nie lubią, kiedy w projekcie nie ma niskiej zieleni. Następne strefy pieśze są projektowane nie tylko z drzewami wystającymi z chodnika, ale również z zielenią niską. To było coś, co Anglicy nazywają „tooththing problem” – problem, który zostaje zdiagnozowany w pilotażu, i rozwiązuje się go w kolejnych etapach.

Czyli twoim zdaniem dyskusja o architekturze jest dobra sama w sobie, nawet jeśli jest głośna i nieelegancka.

– Jeżeli jesteśmy państwem demokratycznym, to potrzebujemy społeczeństwa obywatelskiego. Kiedy ludzie dyskutują o przestrzeni publicznej, zazwyczaj są z niej niezadowoleni – tak po prostu jest, wszędzie na świecie. Ważne, żeby wypracowywać mechanizmy dialogu. To, co się zaczyna jako burza w komentarzach – nieestetyczne, niesympatyczne – jest jednak pozytywne. Po jakimś czasie ludzie albo się oswajają, albo uznają, że coś jest ich, albo po prostu zapominają. Ale taka dyskusja jest konieczna

Czy można coś zrobić, żeby przebiegała w trochę mniej gwałtowny sposób?

– Trzeba włączać ludzi w projekty. Podam antyprzykład: kładka przez Wisłę była architektoniczno-komunikacyjnym suk-



KUBA SNOPEK

– urbanista, badacz, specjalizuje się w historii i teorii architektury XX wieku. Absolwent Instytutu Strelka i Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. W latach 2018–2021 był dyrektorem programowym Charkowskiej Szkoły Architektury. Jest autorem książki „Architektura VII dnia” (2013–2016) – kompleksowych badań nad architekturą kościołów katolickich wzniesionych w czasach PRL-u. Kuba Snopek jest kuratorem wystawy „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy”, którą będzie można oglądać od 27 marca do 28 czerwca 2026, w Pałacu pod Blachą przy Zamku Królewskim w Warszawie. Elementem wystawy jest też książka pod tym samym tytułem, złożona z tekstów Jakuba Marmurka, Katarzyny Uchowicz, Nicolasa Grosperre’a, Marty Ejmont, Alka Hudzika, Andrzeja Ledera i innych.

cesem i projektem wyborczym Rafała Trzaskowskiego, który miał wybrzmieć tuż przed wyborami samorządowymi, a na rok przed prezydenckimi. Ale przy okazji tego projektu przejawiała się również arogancja i brak poszanowania dla mieszkańców.

Dlaczego?

– Przy okazji tego projektu zorganizowano dla mieszkańców Warszawy konkurs na nazwę. Wygrała fenomenalna „Agrałka”. I ta nazwa została wyrzucona do kosza, a miasto zdecydowało, że nada inną. I to jest właśnie przykład, jak nie należy działać. Konkurs na nazwę dał ludziom poczucie sprawczości. To poczucie sprawczości prowadzi do tego, że jako mieszkańcy uznajemy projekt za nasz. Jeżeli wynik konkursu zostaje wyrzucony do kosza – cały ten efekt „oswajania” budowli czy projektu zostaje zaprzeczony.

Więc jak działać, żeby mieszkańcy „oswajali” nowe projekty?

– Trzeba ich angażować na różnych poziomach. Środowisko eksperckie przez konkursy. Mieszkańców przez dyskusje. Najlepszym mechanizmem są dyskusje w lokalnych mediach, ale w Polsce lokalne media są bardzo słabe.

Sama zasada jest prosta: im więcej ludzi poczuje, że coś jest wspólne, a nie narzucane z góry, tym bardziej to polubią.

Jesteś autorem książek o blokach, o kościołach, teraz o zamkach. Co je łączy?

– W architekturze najbardziej interesuje mnie to, co ona mówi. Wielu ludzi traktuje ją funkcjonalnie. Ale istnieje warstwa architektury, która jest komunikatem. Wydaje mi się, że ona staje się coraz ważniejsza. Architektura jako komunikat może budować wspólnotę albo ją dzielić. Może być narzędziem propagandy albo demokratycznego dialogu. To zależy od tego, co się w tym języku mówi. I od tego, czy ktośkolwiek słucha odpowiedzi. ▲

„Zaprojektowane po ludzku. Warszawa - miasto bardziej wspólne” to cykl, w którym chcemy pokazać empatyczne oblicze Warszawy. Bo dobrze zaprojektowana przestrzeń może budować relacje, zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. Czytaj więcej Wyborcza.pl/Zaprojektowanepoludzku

OGŁOSZENIE



**ANJA RUBIK: SAMOBADANIE PIERSI
NIE WYSTARCZY**

Halina Poświatowska: Miłość ważniejsza niż życie

Kinga Preis: Nie uspokajam sumienia

**Zdrada kontrolowana: Dlaczego jawność
może być dojrzała niż ukrywanie?**

Joga twarzy. Ćwiczenia, które zdejmują napięcie



Numer dostępny z prezentem:
płatkami złuszczałymi
SILCATIL w prezencie

S O L A R
x

*Magdalena
Lamparska*



solar.com.pl

eprasa.pl 02c0e390bb